

Nie wracaj do szkoły ■ Kamala Harris pobije Trumpa ■ Zwierzęta w niebie
Poszukiwacze ORP Orzeł ■ Moce Taylor Swift ■ Z Kieżunem po Neapolu

Kraków 31 lipca – 6 sierpnia 2024 nr 31 (3917)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

TygodnikPowszechny.pl
Katolickie pismo społeczno-kulturalne

**SPECJALNE STRONY
NA 80. ROCZNICĘ POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO**

**MILENIALSI
ZETKI
BOOMERSI
IKSY I INNI**

Koniec wojny pokoleń



Albatros travel

Przywitaj Bali

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Denpasar. Dz. 2 Przyjazd na Bali i przejazd do Candi Dasa. Dz. 3 Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz patac wodny Tirta Gangga. Dz. 4 Candi Dasa – Munduk. Dz. 5 Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. Dz. 6 Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. Dz. 7 Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. Dz. 8 Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). Dz. 9 Ubud – Sanur. Świątynia Tanah Lot. Dz. 10-13 Wypoczynek w Sanur. Dz. 14-15 Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przyjazd do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy
29/09 2024, 16/04, 22/07,
18/10 2025

od **8.998,-**

Słoneczny stan Floryda

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Miami, USA. Zakwaterowanie w hotelu. Dz. 2 Całodniowa wycieczka na południowy kraniec Florida Keys i zwiedzanie Key West, nocleg w Marathon. Dz. 3 Marathon, azyl dla żółwi, Park Narodowy Everglades, rejs łodzią airboat i Fort Myers. Dz. 4 Fort Myers, zimowa rezydencja Edisona, St. Petersburg/Clearwater, Tarpon Springs i Crystal River. Dz. 5 Crystal River. Możliwość snurkowania z krowami morskimi w ich naturalnym środowisku. Wizyta w Homosassa State Park i Orlando. Dz. 6 Orlando. Wycieczka do St. Augustine i Daytona Beach, w tym wejście do zamku Castillo de San Marcos National Monument (dodatkowo płatna). Dz. 7 Orlando. Wycieczka do Kennedy Space Center, Cape Canaveral i Cocoa Beach (dodatkowo płatna). Dz. 8 Orlando. Czas wolny lub wspólny przejazd do parków rozrywki i na zakupy do Premium Outlets. Dz. 9 Miami. Coral Gables, Coconut Grove Park i Little Havana. Spacer po dzielnicy South Beach śladem architektury art déco. Dz. 10 Miami i powrót do domu. Dz. 11 Przyjazd do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy
10/11 2024, 02/02, 16/11 2025

12.998,-

Costa Dorada i piękna Katalonia

Program wycieczki: Dz. 1 Przyjazd do Barcelony i transfer do Cambrils. Dz. 2 Spacer po Cambrils (m.in. Starówka i port) oraz czas wolny przy hotelowym basenie. Dz. 3 Region winiarski Priorat z klasztorem kartuzów, degustacja wina w Escaladai oraz piękne widoki w Siuranie. Dz. 4 Rzymskie zabytki w Tarragonie wpisanej na listę UNESCO. Dz. 5 Wizyta na targu w Cambrils i czas do własnej dyspozycji. Dz. 6 Fakultatywna wycieczka do Barcelony, zwiedzanie miasta. Dz. 7 Fakultatywna wycieczka do średniowiecznego miasta Montblanc i modernistycznego Reus. Dz. 8 Przejazd do Barcelony i podróż powrotna do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy
05/10 2024

4.498,-

Indie – Klejnot Imperium

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. Dz. 2 Przyjazd do New Delhi. Brama Indii (India Gate) oraz zwiedzanie Starego Delhi. Dz. 3 New Delhi – Jaipur. Pałac Miejski (City Palace). Dz. 4 Jaipur. Pałac Wiatrów i Fort Amber. Dz. 5 Ranthambore. Rezerwat Tygrysów. Dz. 6 Ranthambore. Safari w godzinach porannych i popołudniowych. Dz. 7 Ranthambore – Agra. Opuszczone miasto (Miasto Duchów) Fatehpur Sikri. Dz. 8 Agra. Fort i Taj Mahal. Dz. 9 Agra – New Delhi. Dzień wolny w New Delhi. Dz. 10 Wylot z New Delhi. Powrót do Warszawy lub przedłużenie pobytu.

10 dni | Wyloty z Warszawy
10/11 2024,

19/01, 02/03 2025

od **8.498,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: TP03

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: Górna granica

WŁAŚNIE WRÓCIŁEM Z PIENIN. WYŁAWIAM z pamięci wspomnienia. Pierwsze spotkanie z górami – Tatrami, krótki wyjazd do Zakopanego z kolonii w Makowie Podhalańskim z mamą i bratem. Mama uznała, że musimy zasmakować gór. Poszliśmy więc na Giewont i wjechaliśmy kolejką na Kasprowy. Wystarczyło. Góry znalazły się na stałe w moim życiu, choć kolejny raz zobaczyłem je dopiero po dobrych kilku latach.



Całe Tatry schodziłem przy wielu tam pobytach. Mieszkalem na Jaszczurówce, w domu braci albertynów, w namiocie, w góralskich szalasach, raz w eleganckim pensjonacie w Zakopanem, ostatnio w naszym zakonnym domu na Cyrhli. Jako student KUL-u ukończyłem kurs taternictwa. To był swoisty amok. Ze sprzętem, jaki wówczas był dostępny na Słowacji: lina, pętla, karabinki, haki, horoleska (wyrabiany chyba na Słowacji plecaczek), uprawiałem taternictwo wspinaczkowe (w klubie lubelskim). Nie będę o tym opowiadał, bo moje wyczyny są niczym wobec wyczynów wielkich alpinistów opisywanych w książkach. Moje wyczyny, wobec tamtych osiągnięć, nie są żadnymi wyczynami, a niebezpieczeństwa to żadne niebezpieczeństwa. Wspominam również nieocenionego mistrza i towarzysza niektórych wypraw – Pantarka (Krzysztofa Tatarkiewicza), który miał cierpliwość mądrego mistrza i talent opowiadania długich historii, które pomagały w nużącym podchodzeniu pod ścianę.

Jedną historię krótko opowiem. Spotkany na ulicy Zakopanego Suchy (takie przezwisko) powiedział mi, że z koleżanką chce pójść na wspinaczkę. Ona jednak nie ma żadnej w tej materii wiedzy, więc chce, żebym ja był na jednym końcu liny, on będzie na drugim, koleżanka w środku i wszystko będzie dobrze. Jakże odmówić. Pogoda zapowiadała się piękna. Ruszyliśmy, lecz pogoda, jak to w Tatrach, z pięknej zaczęła się robić kiepska. Szliśmy szczytami, zamierzaliśmy dojść do Rysów i zejść do Morskiego Oka, tymczasem lunął deszcz, grzmiało i tempo naszej

wędrówki wyraźnie się zmniejszyło. Ekspozycja uświadamiała nam, że nie ma żartów i trzeba iść uważnie. Deszcz wciąż padał i zrobiło się zimno. Do Rysów doszliśmy o zmierzchu, zmoknięci i zmarznięci. Nie było rady, skierowaliśmy się do Chaty pod Rysami (schronisko po stronie czeskosłowackiej). Sporo czasu rozgrzewaliśmy się przy płonącym kominku, popijając herbatę z sokiem, którą nas uraczyli gospodarze. Trzeba było jednak z nimi porozmawiać, co dalej. Chcieliśmy zanocować. Schodzenie po ciemku z Rysów mogło się okazać niebezpieczne, zresztą chwilowo mieliśmy już dość chodzenia. A było to zaraz po inwazji (także polskich wojsk) na Czechosłowację! Gospodarze-studenci także mieli następnego dnia opuścić schronisko. Przyjęli nas na noc, prosili tylko, byśmy wyszli możliwie wcześniej, bo potem przychodzi milicja. Nie mieliśmy ze sobą pieniędzy, jako raczej symboliczną zapłatę przyjęli od nas taternicki młotek. Szczęśliwie zeszliśmy do Morskiego Oka.

Teraz słowo o tym, jak się z taternictwem rozstałem. Nie wiem, jak jest teraz, ale wtedy taternicy cieszyli się estymą. Byli ciągle jeszcze pionierami. Sport to był fascynujący. Wciągnął mnie i robiłem, co mogłem, żeby jechać, choć na krótko, w góry. I nagle przyszedł koniec fascynacji. Przekonałem się, że podejmuję śmiertelne ryzyko. Nagła konstatacja, że pasja może odebrać życie, i to w mgnieniu oka. Zostawiłem sprzęt tam, gdzie go zawsze zostawiałem. Nigdy już go nie tknąłem.

Oczywiście, dalej z przyjemnością chodziłem po górach w Polsce i we Włoszech, już się nie wspinałem. Ludzi dotkniętych tą pasją rozumiem i podziwiam, sam jednak nigdy już tej pasji nie poczułem. Kłops...

© P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz,
jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego”

Sto lat temu umarł JOSEPH CONRAD, czyli JÓZEF TEODOR KONRAD KORZENIOWSKI

- Jak do tego doszło, że syn romantycznego poety i powstańca styczniowego, urodzony pośród ukraińskich stepów, został najważniejszym pisarzem morza i anglosaskiej nowoczesności?
- Dlaczego „Jądro ciemności” stało się jedną z najważniejszych opowieści światowej literatury (i nie tylko)?
- I najważniejsze: czy dziś wciąż warto czytać autora „W oczach Zachodu”?

Na te i inne pytania w następnym numerze spróbuje odpowiedzieć Michał Sowiński

A już teraz zapraszamy Państwa do specjalnego serwisu FESTIWAL CONRADA na naszej stronie internetowej.



Jestem mileniałsem. Rozpoznaję się w charakterystyce, którą w Temacie Tygodnika kreśli **MARCIN NAPIÓRKOWSKI**. Pokolenie naszych wychowawców kazało nam być na wszelki wypadek dobrymi we wszystkim, bo wysłało nas w nieznany sobie, potransformacyjny świat. Wmawiano nam uroki multitaskingu, uczono zaciskania zębów i ścigania się o wyniki. Może dlatego tak moją generację oburza postawa kolejnego **POKOLENIA**, Zetek, wobec pracy. Ich „niewiara w związek między ciężką pracą a sukcesem w życiu” brzmi nam bluźnierczo. Zetki, pisze Napiórkowski, bardziej cenią samoekspresję i wierność wartościom, uważają, że są rzeczy ważniejsze niż sukces.

Temat pokoleń przewija nam się przez cały ten numer. O **TAYLOR SWIFT** jako autorce „hymnu pokolenia psychoterapii”, oddającej „nastrój pokolenia” Zet, pisze **MONIKA OCHĘDOWSKA**, zwracając przy okazji uwagę, jak skupione jest ono „na punkcie własnego bezpieczeństwa, także tego związanego z przestrzenią publicznej debaty”. To też irytuje mileniałsów. Ale wynikające z tego patologii *cancel culture* nie uprawiają tylko Zetki – pisze o niej **TOMASZ STAWISZYŃSKI**, pytając, jak to możliwe, że powszechnie lubiany **PROF. BRALCZYK** nagle stał się obiektem hejtu.

A my w tym właśnie tygodniu świętowaliśmy **90. URODZINY KS. ADAMA BONIECKIEGO**, co dyskusji o pokoleniach przydaje niespodziewanego kontekstu. Jego generację (lata 1928-1945) nazwano Cichym Pokoleniem. Doświadczeni lękiem – II wojnę przeżywali jako dzieci – żyjący z jednej strony w cieniu wojennych bohaterów, a z drugiej wypierani przez ekspansywnych i mnogich boomersów, nie demonstrowali, nie lansowali siebie, lecz po cichu robili swoje. I czegoś tam jednak dokonali: stworzyli ruch praw obywatelskich i rock’n’rolla, wysłali ludzi w kosmos, urządzali wspólną Europę. Otóż wedle przywoływanej przez Napiórkowskiego

teorii Straussa i Howe’a, pokolenia występują w cyklach – i Ciche Pokolenie w poprzednim cyklu odpowiada właśnie dzisiejszej generacji Z. Przy wszystkich różnicach, jakoś ich jednak łączy doświadczenie – zachowując proporcje – traumy, skupienie na wartościach, owa cichość w robieniu swojego.

Żeby uwolnić się, co postuluje Napiórkowski, z pułapki pokoleniowych konfliktów, dobrze sobie na początek skomplikować wizję świata myślą, że Adam Boniecki wyrósł z Zetki. ©P

MICHAŁ KUŹMIŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Zastępca redaktora naczelnego, dziennikarz nominowany do Grand Press, twórca podcastu TP, współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło”, autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni”.



40 Kim jest Kamala JAN SMOLEŃSKI

To, co wcześniej odbierano często jako jej dziwaczność, teraz sprawia, że w oczach młodych Kamala Harris jest człowiekiem z krwi i kości.



80. ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

52 Sprawa rodzinna PATRYCJA BUKAŁSKA

W sierpniu 1944 r. w rodzinie Katarzyny Kusocińskiej do powstania poszły wszystkie kobiety: ona, jej dwie siostry i mama.



66 Matrioszka MONIKA OCHĘDOWSKA

Fenomen Taylor Swift: ta gwiazda muzyki pop skrywa w sobie wcielenia, które wiele mówią o nas.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Olimpijczycy: najpiękniejsza wersja ludzkości
SZYMON ŁUCYK

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Szkołę pora pozamiatać
MARCIN KĘDZIERSKI: *W Polsce dzieci z uprzywilejowanych domów żyją w innym świecie niż reszta uczniów*

24 Bez konkretów
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Koalicja 15 Października jest mniej niż PiS sprawcza w realizacji obietnic. Czy za to zapłaci?*

27 Orła cień
MAREK RABIJ: *Legendarne polskiego wraku za własne pieniądze poszukuje garstka zapaleńców*

■ ■ WIARA

30 Zwierzęta, nasi bracia
ROZMOWA ŁUKASZA KWIATKA I PIOTRA POPIOŁKA: *Czy zwierzęta umierają, czy zdychają? I czy będą zbawione? Dyskutują teolog i popularyzator nauki*

34 Mnich w dżinsowym habicie
ZUZANNA RADZIK: *o zakonniku pomagającym uchodźcom*

36 Pistolet i krzyż
DOMA MATEJKO: *Fawelami Rio rządzi samowznający pastor i mafijny boss w jednej osobie*

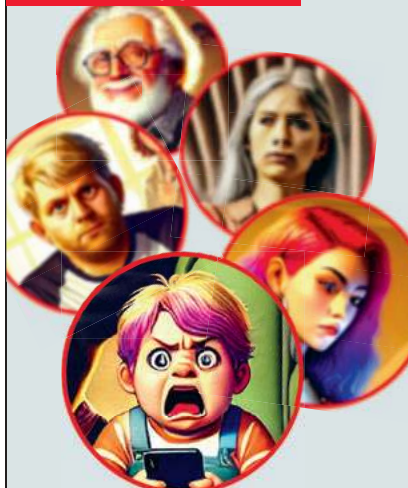
■ ■ ŚWIAT

40 Kim jest Kamala
JAN SMOLEŃSKI

43 Rosja patrzy na Amerykę
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Po decyzji Bidena gotowe już scenariusze Moskwa musi pisać od nowa*

45 Cóż, jeśli nie wolność
ANTONINA PALARCZYK: *Nestor Machno to ikona buntowników z całego świata*

TEMAT TYGODNIKA

**12 Koniec wojny pokoleń**

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Przed laty boomerzy powtarzali: „Nie ufaj nikomu powyżej trzydziestki”. Dziś sami słyszą pogardliwe: „Dobra, dobra, dziadku”. Czy da się wyjść z generacyjnych okopów, tym głębszych, im szybciej zmienia się świat?

■ ■ WYDARZENIE ■ ■

80 Adam jak cedr

JACEK TARAN

Jak świętowaliśmy 90. urodziny ks. Adama Bonieckiego

84 Zapytaj Adama

Czytelnicy pytają, ks. Boniecki odpowiada

■ ■ FELIETONY ■ ■

39 ZUZANNA RADZIK **65** ELIZA KĄCKA

78 OLGA DRENDA **79** PAWEŁ BRAVO

90 TOMASZ STAWISZYŃSKI

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
MK / MKZ / DALLE-E (AI)

■ ■ Z ODDECHEM

48 Siła krajobrazu
ROZMOWA Z DORTHE NORS:
Nie potrafię żyć bez widoku rozległego horyzontu

■ ■ HISTORIA

52 Sprawa rodzinna
PATRYCJA BUKALSKA

56 80 lat, 20 lat
PATRYCJA BUKALSKA: *W Muzeum Powstania weterani spotykają ludzi, którzy mają tyle lat, ile oni w sierpniu 1944 r.*

59 Rozmowa pokoleń
ROZMOWA Z JANEM OŁDAKOWSKIM:
Stawianie oporu złu jest ważne także dziś. Zwłaszcza że nasza część świata znów nie jest bezpieczna

■ ■ NAUKA

62 Wirusami w bakterie
ANNA BARTOSIK: *Dziś, gdy bakterie coraz trudniej zwalczają antybiotykami, powraca pomysł znany już od stu lat: terapie fagowe*

■ ■ KULTURA

66 Matrioszka
MONIKA OCHEŃDOWSKA

70 Zawsze jest przedwiośnie
JAKUB MAJMUREK:
„Notesy” Andrzeja Wajdy to fascynujący autoportret artysty politycznego, wręcz narodowego – przy pracy

73 Miasto nad morzem
PIOTR KOSIEWSKI: *„Odesa”: wystawa o zmianach w ukraińskiej tożsamości*

76 Rzeźbienie w pulpie
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Love Lies Bleeding” w reż. Rose Glass

77 Zakazane oblicza
LEKTOR o „Furii i innych opowiadaniach” Silviny Ocampo

■ ■ ZMYŚŁ

86 Lista przebojów
BARTOSZ KIEŻUN:
Osobisty przewodnik po Neapolu

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę

zobacz na trzeciej stronie okładki



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OLIMPIJCZYCY: NAJPIĘKNIEJSZA WERSJA LUDZKOŚCI

„Fluctuat nec mergitur”, głosi łacińska dewiza Paryża, „nie tonie, choć fale nim miotają”. Można ją śmiało odnieść również do idei igrzysk olimpijskich.

**SZYMON ŁUCYK
Z PARYŻA**

ŚMIAŁA”, „ZUCHWAŁA”, „zapierająca dech w piersiach” – to bodaj najczęstsze słowa, jakimi francuskie media określały deszczową ceremonię otwarcia letnich igrzysk olimpijskich w Paryżu. Rzeczywiście, spektakl przełamał wiele konwencji. Po raz pierwszy imprezę przeprowadzono poza stadionem, w dodatku – na Sekwanie. Twórcy postawili na *diversité* – pochwałę różnorodności kulturowej w wersji francuskiej. Stąd melanz rodzajów, gatunków i wrażliwości, poczynawszy od wielości rozmiarów i kształtów 85 statków, którymi płynęli olimpijczycy z ponad dwustu krajów.

Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy Lady Gagę we francuskim repertuarze rewiowym, popularną malijsko-francuską piosenkarkę Ayę Nakamurę (z towarzyszeniem Gwardii Republikańskiej), ale też francuski heavy metal i hip-hop. Nie zabrakło klasyki, w tym mocnego polskiego akcentu – solowego występu cenionego na całym świecie kontratenora i tancerza breakdance (ta dyscyplina właśnie debiutuje w Paryżu), Jakuba Józefa Orlińskiego. Kankan tancerek z Moulin Rouge sąsiadował z popisami młodego gwiazdora Opery Paryskiej, Guillaume’a Diopa.

Kulminacją imprezy było pojawienie się Céline Dion, która z wieży Eiffla odśpiewała „Hymn do miłości” Edith Piaf. Występem w stolicy Francji kanadyjska gwiazda wróciła na scenę po

czterech latach przerwy spowodowanej przewlekłą chorobą.

Ten prawie czterogodzinny spektakl był pełen odniesień do francuskiej historii i kultury. Znalazło się w nim miejsce zarówno na artystyczny hołd dla budowniczych katedry Notre Dame, jak i liczne odniesienia do rewolucyjnego dziedzictwa Francji.

Do znanej dewizy „Wolność Równość Braterstwo” dołączono „Siostrzeństwo”: znad Sekwany wychynęły złote podobizny wybitnych kobiet-feministek, w tym rewolucjonistki Olympe de Gouges, promotorki kobiecego olimpizmu Alice Milliat czy Simone Veil, autorki francuskiej ustawy legalizującej aborcję.

Najwięcej dyskusji – głównie poza granicami Francji – wywołał układ choreograficzny z udziałem drag queens, w którym dopatrzone się parodii „Ostatniej Wieczery” Leonarda da Vinci. Francuski episkopat w specjalnym komunikacie, chwalać zresztą całą ceremonię, ubolewał nad – jak to ujął – „scenami kpin z chrześcijaństwa”. Thomas Jolly, dyrektor artystyczny ceremonii otwarcia, odpiął te zarzuty, mówiąc w niedzielę, że nie inspirował się płótnem mistrza, a chciał jedynie przedstawić ucztę olimpijskich bogów z Dionizosem na pierwszym planie. Jeśli poszukiwać wpływów, bliżej mu było do XVII-wiecznego malarstwa holenderskiego.

Internetowe polemiki z pewnością szybko przeminą. Tego wieczoru Francja, rozdzierana

ostatnio politycznymi konfliktami, pokazała światu swoją artystyczną *soft power*. Ale nad samymi igrzyskami wiszą poważniejsze zagrożenia, nie tylko ze strony islamistów. W nocy przed igrzyskami w kilku miejscach Francji dokonano skoordynowanego sabotażu na super-szybkiej kolei TGV. W wyniku podpalenia lub przecięcia kabli kolejowych sparaliżowano przemieszczanie się 800 tys. pasażerów. Śledztwo wciąż nie wykryło sprawców, choć, według dziennika „Liberation”, niektóre tropy prowadzą w stronę rodzimych organizacji anarchistycznych przeciwnych igrzyskom.

Trzeba dodać, że ze względu na bezpieczeństwo ceremonii otwarcia centrum Paryża już w połowie lipca przemieniło się w twierdzę, dostępną jedynie dla wybrańców ze specjalnymi przepustkami. Czy zablokowanie miasta i dziesiątki tysięcy mundurowych to konieczna cena sportowej imprezy? To zasadne pytania.

Szef jej komitetu organizacyjnego, Tony Estanguet, mówił, że „olimpijczycy są najpiękniejszą wersją ludzkości”. To miłe słowa, tyle że na czas igrzysk ani w Ukrainie, ani w Strefie Gazy nie zawieszono broni. Przeciwnie.

„Fluctuat nec mergitur” – głosi łacińska dewiza Paryża – czyli: „nie tonie, choć fale nim miotają”. Można ją śmiało odnieść także do idei igrzysk olimpijskich. Jasnej, a zarazem zawieszanej w powietrzu, niczym balon nad paryskim niebem.

©P

OBOK:
Balon ze zniczem
olimpijskim,
Paryż, 28 lipca 2024 r.





Czas ubezwłasnowolnienia minął

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

JAKO OSOBA, NAD KTÓRĄ WISI WIDMO tego, że nie będę w stanie wyartykułować swojej woli, jestem żywo zainteresowany tymi rozwiązaniami. Mówię jasno – czas ubezwłasnowolnienia w Polsce minął! – powiedział w zeszłym tygodniu podczas posiedzenia Parlamentarnego Zespołu ds. Osób z Niepełnosprawnościami Łukasz Kraśko (na zdjęciu), rządowy pełnomocnik tej grupy, od 7. roku życia cierpiący na dystrofię mięśniową (cytat za portalem niepełnosprawni.pl).

W Polsce może być do 100 tys. osób całkowicie ubezwłasnowolnionych (jest też mniejsza grupa ubezwłasnowolnionych częściowo). Oznacza to sądowe pozbawienie zdolności do podejmowania czynności prawnych, np. podjęcia pracy, zawarcia małżeństwa, zgłoszenia w wyborach czy sprawowania władzy rodzicielskiej. Instytucja ubezwłasnowolnienia jest od lat krytykowana, m.in. przez kolejnych rzeczników praw obywatelskich. W styczniu tego roku Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiedziało całkowitą jej likwidację, a niedawno pojawił się projekt ustawy, zgodnie z którym ubezwła-

snowlonienie zostałoby zastąpione tzw. wspieranym podejmowaniem decyzji.

– Ubezwłasnowolnienie odnosi się do całości funkcjonowania człowieka w obrocie prawnym – tłumaczy dr Krzysztof Kurowski, prawnik i specjalista w dziedzinie praw człowieka, przewodniczący Polskiego Forum Osób z Niepełnosprawnościami.



– We wspieranym podejmowaniu decyzji chodzi o to, by każdorazowo sprawdzić, czy dana osoba [np. z ograniczoną świadomością albo niepełnosprawnością intelektualną – red.] jest w stanie samodzielnie podjąć decyzję, a następnie zrobić wszystko, by tak się stało. Potrzebne jest do tego wsparcie, choćby osoby, która dostarczy informacji o skutkach danej decyzji w języku łatwym do zrozumienia dla człowieka ją podejmującego. Chodzi o alternatywne i wspomagane sposoby komunikacji, bazujące np. na piktogramach.

Zmiana byłaby rewolucją w przestrzeganiu praw człowieka w Polsce. Likwidację ubezwłasnowolnienia zapowiadają od lat kolejne rządy, ale na zapowiedziach się kończy. ©P

NA PUNKTY

KOMENTARZ I CZUJNOŚĆ REWOLUCYJNA

„Świat bez nieba, narodów i religii. To jest wizja komunizmu, niestety” – powiedział dziennikarz sportowy TVP Przemysław Babiarczyk o „Imagine” Lenona, wykonanym podczas ceremonii otwarcia igrzysk w Paryżu i to wystarczyło, by zawiesić go w obowiązkach. Zdaniem władz stacji komentator naruszył standardy „wzajemnego zrozumienia, tolerancji i pojednania”.

WIADOMOŚCI I PRZEPROSINY

TVP w specjalnym oświadczeniu przeprosiła Donalda Tuska za wielokrotne publikowanie w czasach poprzedniej ekipy wyrwanego z kontekstu fragmentu wystąpienia, w którym używa frazy „für Deutschland”, a także przedstawianie go „w czerwonej poświacie z celownikiem nakierowanym na klatkę piersiową”.

SENSACJE I POMÓWIENIA

Kolejne przeprosiny mogą paść ze strony prawicowych publicystów, sugerujących, że społeczna asystentka Tuska, pochodząca z Ukrainy Kristina Voronovska, może mieć powiązania z Rosją. Przed dołączeniem do grona współpracowników lidera PO kobieta była sprawdzana przez polskie służby.

©P

FILIP NAUMIENKO / REPORTER



Czy grozi nam sabotaż na kolei

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

CAŁA AKCJA TRWAŁA KILKADziesiąt sekund i nawet nie wyglądała jak kradzież. Na nagraniu z monitoringu widać mężczyznę, który wchodzi do magazynu, wynosi z niego dwa pudełka i po krótkiej rozmowie z dozorcą odjeżdża.

W pudełkach skradzionych w połowie czerwca znajdowały się radiotelefony F-804/2/M – elementy cyfrowego systemu, który pozwala zdalnie zarządzać ruchem na kolei i umożli-

wia wysyłanie sygnału Radio Stop, by zatrzymać pociągi w kilku lokalizacjach naraz.

Łłodzieja – 44-letniego Polaka – zatrzymano na początku lipca, ale sprzętu nie odzyskano. Co więcej, po kradzieży ktoś próbował wyłudzić dane do jego konfiguracji.

Zagrożenie sabotażem jest realne. Służby badają wątki rosyjski i białoruski, bo przez Polskę transportowana jest broń dla Ukrainy i to właśnie koleją inte-

resowała się rozbita w zeszłym roku siatka szpiegów zza wschodniej granicy. Jednocześnie w zeszłym roku odnotowano średnio ponad dwa przypadki nielegalnego użycia Radio Stopu dziennie (łącznie 775 razy). Wystarczy do tego proste urządzenie za kilkaset złotych. PKP PLK deklaruje, że wymienia system na cyfrowy – taki, jakiego elementy skradziono.

Jednak nawet przy nowoczesnej infrastrukturze

i pełnej gotowości służb obrona jest trudna. W dniu otwarcia igrzysk sabotażyści podpalili urządzenia sterujące ruchem na trzech z czterech linii TGV do Paryża.

Wystarczyły prymitywne urządzenia zapalające, by 800 tys. ludzi utknęło lub doświadczyło opóźnień.

Problemem nie są konkretne rozwiązania techniczne. Współczesne społeczeństwa opierają się dziś na technologii w stopniu, który agresorowi chcącemu przeprowadzić paraliżujący atak, daje niezliczone cele. To luka, której nie da się łatwo zamknąć. ©



Jak za wodę

MAREK RABIJ

DO LISTY PRODUKTÓW, KTÓRYCH CENY OBSERWujemy z uwagą podsyty niepokojem, dołącza właśnie woda bieżąca i ścieki. Przez Polskę przechodzi fala podwyżek.

Białystok. Tutaj od lipca koszt dostarczenia do mieszkania metra sześciennego wody wraz z odbiorem ścieków kosztuje – jak podaje serwis money.pl – 12,25 zł, czyli aż o 49 proc. więcej niż ostatnio. Mieszkańcom Łodzi opłaty wzrosły o 34,9 proc. Opolanie płaci za wodę 28,6 proc. więcej, a w Warszawie i Wrocławiu rachunki wzrosną odpowiednio o 19,7 i 19,5 proc. W Poznaniu podwyżka wyniosła 16,37 proc., zaś w Krakowie – 10,4 proc. W najlepszej sytuacji są mieszkańcy północnej Polski. W Gdańsku i Szczecinie podwyżki nie przekroczyły 10 proc. W Toruniu i Olsztynie wyniosły 3,1 i 0,2 proc., zaś w Bydgoszczy cena na razie nie uległa zmianie. W Elblągu, jak piszą do mieszkańców władze miasta, „początkowe wyliczenia zakładały co prawda prawie 60 proc. podwyżki, jednak ostatecznie – po przeprowadzonych analizach służb prezydenta – ich wartość obniżono do 27,3 proc., czyli mniej niż skumulowana inflacja, która za ostatnie trzy lata wyniosła 34,4 proc.”.

Samorządowcy przekonują, że nie mają wyjścia. Ceny dostaw wody i ścieków muszą zostać urealnione, aby pokrywały koszty ich świadczenia.

Przez kilka ostatnich lat możliwości zmian stawek blokowały Wody Polskie, centralna agencja rządowa utworzona przez Prawo i Sprawiedliwość, na którą sędowano większość zadań związanych z gospodarką wodną. Do Wód Polskich należy również zatwierdzanie cenników komunalnych w części dotyczącej wody i ścieków – i dotychczas korzystały z tej prerogatywy konsekwentnie, blokując gminom próby podwyżek. W rezultacie koszty świadczenia usług rozjechały się z ich ceną. W Białymstoku spółka komunalna prowadząca miejscowe wodociągi musiała w 2022 r. zaciągnąć kredyt, żeby uregulować bieżące płatności.

Nowe władze Wód Polskich zmieniły kurs i akceptują podwyżki. Jednocześnie w resorcie infrastruktury trwają prace nad ustawą, która prawo do kształtowania cen wody przywróci samorządom. Rząd chce jednak, aby pierwszy tysiąc litrów był darmowy lub oferowany za złotówkę. ©P



AGNIESZKA OZGA-WOŹNICA / PMM

**MAŁGORZATA OŁASIŃSKA-CHART,
POLSKA MISJA MEDYCZNA:**

Nie ma dziś na świecie trudniejszego terenu dla pracowników humanitarnych niż Strefa Gazy

KRZYSZTOF STORY: Dwa miesiące temu, gdy izraelska armia wydała rozkaz ewakuacji Rafah, jako bezpieczne miejsce wskazywano pobliskie miasto Chan Junus. Od tygodnia to z Chan Junus muszą uciekać dziesiątki tysięcy ludzi.

MAŁGORZATA OŁASIŃSKA-CHART: Ci ludzie uciekają często już po raz piąty albo szósty w trakcie tej dwięciomiesięcznej wojny. Według ONZ z domów uciekło prawie dwa miliony Palestyńczyków, co oznacza, że 90 proc. osób w Strefie Gazy to uchodźcy wewnętrzni. Teraz wielu z nich kieruje się do Deir al Balah, gdzie pracują jordańscy lekarze wspierani przez Polską Misję Medyczną.

Wraz z organizacją Jordan Health Aid Society wysyłamy do Gazy zespoły ratownicze. Jeden składa się z 5 osób, to głównie lekarze z Jordanii, Kataru i Omanu. Władze Izraela wydają im miesięczne przepustki i pozwolenia na pracę w szpitalu, gdzie wspierają palestyńskich lekarzy.

Jak wygląda ich praca?

Szczególnie ważne są dyżury nocne, bo palestyńscy lekarze, jeśli chcą choć trochę czasu spędzić z rodzinami, muszą wychodzić wcześniej, by nie łamać godzin policyjnej. Rozmawialiśmy ostatnio z Zaidem, ortopedą z Jordanii. Mówił, że przyjmuje około 200 pacjentów dziennie, wykonuje 30-40 zabiegów. Skala potrzeb jest ogromna. To nie przypadek, że większość lekarzy to chirurdzy i ortopedzi. Niestety. Tereny, na które ewakuowani są cywile, są bezpieczne tylko z nazwy, tam też spadają

bomby. W szpitalu wiele zabiegów to amputacje kończyn, dla Zaida najcięższe momenty to te, w których pacjentem jest dwu-, trzyletnie dziecko. Niestety wielu z tych amputacji można by uniknąć, gdyby ludzie trafili do szpitala wcześniej albo mieli dostęp do antybiotyków. Przez wojnę i braki w zaopatrzeniu amputacja staje się jedynym ratunkiem.

Jest szansa na poprawę sytuacji?

Nie ma dziś na świecie trudniejszego terenu dla pracowników humanitarnych niż Strefa Gazy. 83 proc. jej obszaru nie jest już dostępne dla cywilów. My cały czas prowadzimy zbiórki (więcej informacji na: pmm.org.pl/wp/acam), ostatnio złożyliśmy też do Kancelarii Premiera wniosek o dofinansowanie misji do końca roku: np. w Polsce mieszka 9 lekarzy z obywatelstwem palestyńskim, wszyscy są chętni pojechać i pomagać, ale niezbędne są środki.

Wasi lekarze na miejscu są bezpieczni?

Muszą uzyskać zezwolenie na każdą podróż, nawet ze szpitala do hotelu. Nie zdarzyło się jeszcze ostrzeżenie konwoju, ale pozwolenia czasami są odwoływane w ostatniej chwili. Każdy zespół powinien spędzić w Strefie Gazy 4 tygodnie, ale jedna zmiana musiała zostać prawie miesiąc dłużej, bo ze względu na sytuację nie dostała pozwolenia Izraela na przejazd powrotny. ©P

MAŁGORZATA OŁASIŃSKA-CHART
Członkini zarządu PMM. Pierwsza w Polsce certyfikowana trenerka pomocy humanitarnej RedR UK.

Zbrodnia w Madżdżal Szams

WZGÓRZA GOLAN ■ To miał być spokojny sobotni wieczór, jeden z wielu podczas tych wakacji, gdy dzieci z Madżdżal Szams, na północy Wzgórz Golan, wybiegały na boisko, by wziąć udział w piłkarskim treningu. W ciągu jednej chwili trening zamienił się w rzeź: na skutek uderzenia rakiety zginęło 12 druzyjskich dzieci i nastolatków, a rannych zostało kilkadziesiąt innych osób. Przerażeni rodzice rzucili się w stronę ciał, rowerów i hulajnóg.

O 11 ofiarach media informowały krótko po ataku. W niedzielę, późnym wieczorem, potwierdzono śmierć kolejnej. Był nią 11-letni Jivara Ibrahim Ibrahim, w dniu ataku uznany za zaginionego. Przez 24 godziny rodzina poszukiwała chłopca, objeżdżając lokalne szpitale. Dopiero badania DNA drobnych szczątków znalezionych na miejscu ataku potwierdziły ich najgorsze przypuszczenia. Rakietą prawdopodobnie trafiła wprost w niego.

Gdy ulicami Madżdżal Szams przechodziły tłumy, niosąc w tradycyjnym druzyjskim pochodzie pogrzebowym 11 białych trumienek, w mediach uderzono w wojenne tarabany. Izraelskie Siły Zbrojne poinformowały, że rakietą została wystrzelona przez oddziały Hezbollahu z południowego Libanu. Sam Hezbollah nie przyznał się do ataku, ale Izrael w te zapewnienia nie wierzy, wskazując na pozostałości Falaq-1 – rakiety produkcji irańskiej, wykorzystywane już wcześniej w tym regio-

nie, załadowanej 50 kilogramami ładunków wybuchowych. Niemal od początku wojny z Hamasem dochodzi na północy Izraela do starć z Hezbollahem, a rakiety spadają tam codziennie. Mimo że większość zostaje przechwycona, do tej pory zginęło od nich w tym regionie ponad 20 osób.

Sytuacja druzyjskiej wioski jest skomplikowana. Druzowie to grupa etniczna związana z krajem, pod którego flagą żyje. W Izraelu uchodzą za lojalnych obywateli, okazujących wierność m.in. służbą wojskową. Ale w Madżdżal Szams, leżącym na północy Wzgórz Golan, uznawanych – poza samym Izraelem – za terytorium okupowane, mieszkańcy wywieszają flagi syryjskie, a część z nich posiada syryjskie obywatelstwo. Rakietą Hezbollahu, zaprzyjaźnionego z syryjskim reżimem, uderzyła więc tym razem w „swoich”. Ten maleńki skrawek ziemi pokazuje, jak skomplikowane i niejednoznaczne są relacje między społecznościami w obliczu trwającej obecnie krwawej wojny na Bliskim Wschodzie.

Ale atak w Madżdżal Szams to nie tylko tragedia dwunastu druzyjskich rodzin. Od tego, jak Izrael zareaguje na tę zbrodnię, będzie zależało, czy rozpocznie się pełnoskalowa wojna z Hezbollahem. To niebezpieczna perspektywa, grożąca rozognieniem trwającej wojny i przybliżającą Izrael do ostatecznej konfrontacji ze swoim największym wrogiem – Iranem.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



LEO CARREA / AP / EAST NEWS

Pogrzeb ofiar ataku rakietowego w Madżdżal Szams, Wzgórz Golan, 28 lipca 2024 r.



DANIEL LEAL / AFP / EAST NEWS

Biurowiec przy Sloane Avenue 60 w Londynie, sprzedany w 2022 r. za 218 mln euro (kilka lat wcześniej Watykan kupił go za ok. 300 mln euro)

Papieskie pałace wystawiane na sprzedaż

WATYKAN ■ Wydatki Watykanu rosną szybciej niż jego dochody, a deficyt pokrywany jest ze sprzedaży nieruchomości. To najważniejsze wnioski z opublikowanego niedawno raportu finansowego. Sekretariat ekonomiczny Stolicy Apostolskiej od trzech lat publikuje informacje o funduszu „Obol św. Piotra” (zwanym też świętopietrzem), na który spływają ofiary z całego świata. Analiza raportów pokazuje, że w 2023 r. hojność wiernych była nieco większa niż w latach poprzednich (48,4 mln euro, w porównaniu do 43,5 mln w 2022 r. i 44,4 mln w 2021 r.), ale za to wydatki funduszu wyniosły aż 103 mln euro. Było to możliwe, bo sięgnięto do rezerw wypracowanych w poprzednich latach, głównie ze sprzedaży watykańskich nieruchomości.

Powodem zmartwień dla sekretariatu ekonomicznego jest jednak nie sam deficyt, co struktura wydatków. Utrzymanie watykańskich instytucji kosztowało w ub. roku o 132,7 mln euro więcej niż w roku 2021. I na to też szły pieniądze ze świętopietrza, mimo że jego podstawowym celem ma być „wspieranie misji Kościoła”. W 2023 r. fundusz dołożył do kurii aż 90 mln euro, czyli 87 proc. swoich wydatków. Na cele charytatywne przeznaczono pozostałe 13 proc.

Reforma finansów, o której od lat tyle się mówi, nie przyniosła spodziewanych efektów. Zresztą sprowadzono ją do kosmetycznych zmian, bo na poważne cięcia nikt – włącznie z papieżem – nie chce się zgodzić. „Żeby załatać deficyt samymi oszczędnościami, musielibyśmy zamknąć 80 proc. instytucji w kurii” – mówił rok temu prefekt sekretariatu ekonomicznego Maximino Caballero Ledo. Na co nikt się nie zgodził. W oczekiwaniu na wzrost hojności wiernych zaczęto wyprzedawać nieruchomości. Watykan ma ich poro (w samych Włoszech ponad 4 tys., kolejne 1,2 tys. za granicą). Może wystarczyć.

© P EDWARD AUGUSTYN

Żelazo na smoczych zębach

EWOLUCJA ■ Niezbyt bezpiecznie jest zaglądać smokom z Komodo (*Varanus komodoensis*) w zęby. To największe na świecie jaszczurki – samce osiągają nawet 3 metry długości i mogą ważyć 150 kg. Wprawdzie nie zioną ogniem, ale wydzielają jad i szlachtują swoje ofiary 60 ostrymi jak brzytwa, zakrzywionymi zębami.

Aaron LeBlanc z King's College London i współpracownicy zwrócili jednak uwagę na pomarańczowy nalot widoczny na zębach waranów – zwłaszcza ich czubku oraz w części przypominającej brzeszczot. Odkryli, że nie jest on zanieczyszczeniem ani próchnicą, tylko nieznaną wcześniej adaptacją: w szkliwie znajduje się warstwa żelaza. To ona nadaje zębom tych gadów niezwykłą wytrzymałość i odporność na działanie kwasów, a także poprawia ich ostrość, mimo że pokrywająca je warstwa szkliwa jest bardzo cienka.

W raporcie z badań opublikowanym pod koniec lipca w „Nature Ecology & Evolution” zespół LeBlanca przyjrzał się także zębom innych współczesnych waranów oraz krokodyli – na nich również zaobserwowano warstwy żelaza, choć smoki z Komodo są pod kątem jego ilości rekordzistami. Ponieważ gady te traktowane są jak współczesny model wymarłych już teropodów, takich jak



NICK GARBUIT / B&W

Waran z Komodo

tyranozaury – dzięki takim porównaniom jesteśmy w stanie lepiej wyobrazić sobie ich zachowanie – badacze postanowili poszukać śladów żelaza także w skamieniałościach gadów żyjących w dawnych epokach.

W tym przypadku nie udało się dojść do jednoznacznej konkluzji – ślady żelaza w szkliwie nie zostały u wymarłych gadów odkryte, ale nie musi to oznaczać, że ta adaptacja ma stosunkowo młody rodowód. Drapieżne dinozaury też mogły mieć zęby pokryte warstwą żelaza, tyle że mogła ona nie przetrwać procesu fosylizacji.

Z drugiej strony autorzy badania zauważyli, że szkliwo u tyranozaurów miało specyficzną, falowaną strukturę, która sama w sobie zwiększała ostrość ich zębów – być może więc mogły się one obejść bez zewnętrznej warstwy metalu.

Co ciekawe, żelazo w szkliwie obserwowano już wcześniej wśród niektórych ryb oraz ssaków – m.in. w siekaczach gryzoni, takich jak bobry czy nutrie – jednak w przypadku smoków z Komodo warstwa metalu tworzy unikatową, niespotykaną u innych zwierząt strukturę. © ŁUKASZ KWIATEK

Pierwiastek 120: chemicy mówią o przełomie

WSZECHŚWIAT ■ Naukowcy z Lawrence Berkeley National Laboratory ogłosili, że przy zastosowaniu innowacyjnej metody udało im się wytworzyć liwermor, należący do najcięższych znanych pierwiastków. Ten przełom przybliży badaczy do syntezy niezaobserwowanych dotąd pierwiastków o liczbach atomowych 119 i 120.

O tożsamości pierwiastka i jego miejscu w układzie okresowym stanowi liczba protonów zawartych w jądrze, czyli

liczba atomowa. Pierwiastki, których jądra zawierają przynajmniej 104 protony, nazywane są superciężkimi. Nie występują one w naturalnych warunkach na Ziemi. Gdy dojdzie do powstania tak ciężkiego jądra atomowego, w wyniku rozpadów promieniotwórczych błyskawicznie przekształca się ono w jądro stabilne. Nie wiadomo, czy te znikające w mgnieniu oka pierwiastki kiedykolwiek znajdą praktyczne zastosowanie. Jednak według postawionej w latach 60. XX w. hipotezy wyspy stabilności, istnieć mają pierwiastki jeszcze cięższe, które dzięki specyficznej kombinacji nukleotydów nie rozpadają się. Obecne badania dążą między innymi do wytyczenia granic tej wyspy.

By wytworzyć pierwiastek superciężki, trzeba doprowadzić do połączenia dwóch jąder o odpowiedniej liczbie protonów. Można to osiągnąć, przyspieszając wiązkę jąder lżejszego z pierwiastków i kierując ją ku tarczy złożonej z atomów cięższego. To dobór wiązki i tarczy spędza fizykom sen z powiek. Dotychczas najcięższe zaobserwowane pierwiastki (o liczbach atomowych od 114 do 118) stworzono przy użyciu wiązki atomów wapnia. Nie nada się ona jednak do wytworzenia pierwiastka 120. Musiałaby zostać skierowana na tarczę zbudowaną z atomów o jądrach składających się z przynajmniej 100 protonów, a odpowiednie izotopy są mało stabilne i trudno dostępne.

Rozwiązaniem jest stworzenie wiązki atomów pierwiastka cięższego od węgla, takiego jak tytan, która może współdziałać z tarczą zbudowaną z praktyczniejszego, choć wciąż kosztownego kaliforniu (pierwiastka 98). Jednak stworzenie wiązki tytanowej pociąga za sobą liczne trudności techniczne. Synteza liwermoru (pierwiastka 116) przez badaczy z Berkeley świadczy o tym, że udało się je przezwyciężyć. Potwierdza też, że grupa nosi się z zamiarem dodania kolejnych pierwiastków do układu okresowego. Jednak ze względu na czas potrzebny na przygotowanie eksperymentu i samo bombardowanie tarczy wiązką badacze szacują, że stworzenie pierwiastka 120 zajmie kilka lat. © MARTA LOTKA



TEMAT
TYGODNIKA

KONIEC WOJNY POKOLEŃ

Przed laty boomerzy powtarzali: „Nie ufaj nikomu powyżej trzydziestki”. Dziś sami słyszą pogardliwe: „Dobra, dobra, dziadku”. Czy da się wyjść z generacyjnych okopów, tym głębszych, im szybciej zmienia się świat?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

KOLEJNE BADANIA POKAZUJĄ, ŻE RÓŻNICE MIĘDZYPOKOLENIOWE i związana z nimi nieufność stały się dziś większe niż kiedykolwiek w historii. Milenialsi szydzą z „przedpotopowych” boomerów, pracodawcy z pokolenia iksów z przerażeniem patrzą na „przewrażliwione i roszczeniowe” zetki.

Znajoma świeżo po studiach niedawno zaczęła pracę w starszym zespole. „Oni są jednak inni” – stwierdziła po

pierwszym dniu. Na pytanie o najważniejsze różnice odpowiedziała: „Obliczają ręcznie wszystkie te rzeczy, które program mógłby wygenerować automatycznie!”.

To typowa sytuacja. Pewien stopień biegłości technologicznej jest dla najmłodszych pokoleń tak oczywisty, jak dla boomerów czytanie i pisanie. A to dopiero wierzchołek góry lodowej!



MK / MKZ / DALL-E (AI)

Globalna synchronizacja

Moda na pokolenia trwa już od co najmniej dwóch pokoleń. W roku 1991 William Strauss i Neil Howe publikują książkę „Generations” („Pokolenia”), ujmując historię USA w formie szeregu czteropokoleniowych cykli. W każdym cyklu następują po sobie: pokolenie buntowników obalających stary porządek, generacja nomadów porządkujących świat po katastrofie, pokolenie bohaterów i pokolenie artystów. W ostatnim cyklu buntownikami byłoby urodzeni w trakcie powojennego wyżu demograficznego „baby boomers” z masowymi protestami i kontrkulturą lat 60., sprzątało po nich pokolenie X, brzemień bohaterstwa spada na generację Y (znaną dziś jako milenialsi), a artystami schyłku cyklu miało zostać nienarodzone jeszcze w dniu publikacji „Generations” pokolenie Z.

Zaproponowana przez Straussa i Howe’a typologia była bardzo ogólna, oparta raczej na uniwersalnych archetypach niż na twardych danych. Miejskami bardziej przypominała astrologię niż socjologię. Jednak niezależnie od pewnych nieścisłości, sama koncepcja „pokoleń kulturowych” podbiła zbiorową wyobraźnię. Dotychczas o generacjach

myślano w kategoriach „pokoleń rodzinnych”, a więc relacji między rodzicami a dziećmi. Howe i Strauss proponowali podział na wyraźnie wyodrębnione kohorty wiekowe, kształtowane nie przez relacje domowe, lecz przez kluczowe wydarzenia („punkty zwrotne”) przypadające na okres ich młodości.

Dziś wiele ciekawego dzieje się wokół tak rozumianej koncepcji pokoleń. Świat zmienia się coraz szybciej, więc generacje są coraz krótsze. Jednocześnie wiek urodzenia pierwszego dziecka wciąż się przesuwa, a długość życia zwiększa, więc „pokolenia kulturowe” coraz bardziej rozjeżdżają się z tymi „rodzinnymi” (np. dziećmi boomerów nie są zazwyczaj iksy, lecz milenialsi).

Pokolenia stają się też coraz bardziej zsynchronizowane globalnie. Książka Howe’a i Straussa opowiadała o Ameryce i opisy starszych pokoleń zwykle nie przystawały do polskiej rzeczywistości. Dziś większość publikacji opisujących milenialsów i zetki, ale w coraz większym stopniu także starsze generacje, całkiem nieźle oddaje także nasze, lokalne doświadczenia. Nie ma się co dziwić – wszak korzystamy z tych samych smartfonów, oglądamy te same filmy, a nasi lokalni politycy i celebryci bez wstydu kopiują zachodnich kolegów i koleżanki.

W dawnym świecie bycie starszym dawało ogromną przewagę doświadczenia. Dziś młodzi wygrywają znajomością technologii. Kultura staje się więc coraz bardziej prospektywna

– nakierowana na młodych, zafascynowana nowością, pełna obaw przed „pozostaniem w tyle”. Dlatego im szybciej zmienia się świat, tym większe stają się międzypokoleniowe różnice.

Nic więc dziwnego, że głównym tematem mody na pokolenia są przepaści między „młodymi” a „starymi”. Zwykle zwracamy uwagę na aspekt negatywny różnic. Od słynnej „generation gap” z lat 60. aż po kolejne fale paniki wokół „dziwnych dzieci”. Przed półwieczem boomerzy powtarzali: „nie ufaj nikomu powyżej trzydziestki”. Dziś sami słyszą od młodych pogardliwe „OK, boomer” („dobra, dobra, dziadku”).

Tymczasem pokolenia potrzebują siebie nawzajem. Oddzielnie nie mamy szans poradzić sobie w zmieniającym się świecie, w którym przydaje się zarówno zręczna adaptacja, jak i stabilne zakorzenienie. Różnice między generacjami musimy więc przekuć w atut. Widzimy to coraz wyraźniej, w miarę jak nasze rozumienie pokoleń zaczyna się karmić twardymi danymi. Od astrologii przechodzi do solidnej nauki.

Ukształtowani przez media

Jedną z pionierek nowej fali badań nad pokoleniami jest Jean Twenge. W wydanych także po polsku książkach „iGen” oraz „Pokolenia” ta amerykańska psycholożka wykorzystuje narzędzia statystyki do porównania ogromnych zbiorów danych gromadzonych od lat w USA. Dzięki nim luźne przecucia w rodzaju tych formowanych przez Straussa i Howe’a (albo sąsiadkę narzekającą w warzywniaku) można zweryfikować i zamienić na twarde fakty.

Okazuje się, że pokolenia kulturowe naprawdę istnieją, a ich przedstawiciele dzielą istotne różnice dotyczące wartości, stylów życia czy podejmowanych wyborów. Najciekawszym wnioskiem z badań Twenge jest jednak odkrycie kluczowego czynnika decydującego o międzypokoleniowych różnicach. Okazuje się nim technologia.

Kolejne generacje różnią się od siebie tak bardzo nie tylko dlatego, że na okres ich dojrzewania przypadają odmienne kluczowe wydarzenia, lecz przede wszystkim z tego powodu, że dorastały w świecie kształtowanym przez inne technologie. Na przykład rozpowszechnienie się pralek i zmywarek zwolniło czas kobiet, wcześniej obciążonych większością prac domowych, i stworzyło przestrzeń dla ich rozwoju osobistego i zawodowego. W połączeniu z dostępnością antykoncepcji doprowadziło to do radykalnej przebudowy modelu rodziny. Kluczową grupą z technologii kształtujących generacje są jednak media. Od radia, przez telewizję, po komputery z internetem i smartfony z mediami społecznościowymi przebiegają kolejne fale zmian radykalnie redefiniujących pokoleniowe tożsamości.

Każda nowa technologia ma swoją „krzywą adaptacji” – czas, w którym przyjmuje się w społeczeństwie i przechodzi drogę od eksperymentu. Przez prototyp, nowinkę technologiczną aż do oczywistego sprzętu w każdym gospodarstwie domowym (ilustruje to wykres towarzyszący temu tekstowi). Te krzywe są coraz bardziej strome – nowe technologie adaptowane są coraz szybciej. W dodatku młodzi przyjmują nowinki chętniej niż starzy. Stąd coraz większe różnice międzypokoleniowe.

Znaczenie technologii dla danej kohorty wiekowej wyznacza to, na którym etapie jej życia owa technologia się pojawi. Kluczowy jest tu czas nastoletni. Technologie, które pojawiły się

→ się później, można wprawdzie opanować w rozsądnym stopniu, w starszym wieku nie sposób już jednak zostać „technologicznym tubylcem”.

Co istotne, technologia wpływa na nas nawet wówczas, gdy jej nie używamy. Współczesny nastolatek bez smartfona i tak wychowuje się w grupie rówieśników, którzy smartfony mają. Nie porozmawia z nimi na przerwie obiadowej, jeśli wszyscy będą mieli nosy w ekranach. Podobnie jak pięćdziesięciolatek niekorzystający z internetu będzie na co dzień oglądał telewizyjne kanały informacyjne, których treść i forma w coraz większym stopniu kształtują się pod presją mediów cyfrowych.

Niespieszni indywidualiści

Twenge wskazuje na dwa główne długofalowe trendy kształtujące zmiany pokoleniowe w ostatnich dekadach. Po pierwsze – rosnący indywidualizm kosztem kolektywizmu. W dawnym świecie ograniczonej mobilności i niewielkiego dostępu do zewnętrznych informacji bliskie relacje z rodziną i lokalną wspólnotą były kluczowe dla przetrwania. Konformizm i przestrzeganie grupowych norm okazywało się lepszą strategią niż indywidualizm i podkreślanie różnic. W ciągu ostatnich stu lat technologie dokonały tu radykalnego odwrócenia.

Drugi trend, bezpośrednio związany z pierwszym, to dominacja wolnych strategii życia nad szybkimi. Szybka strategia oznacza wczesną samodzielność i małżeństwo oraz dużo dzieci urodzonych w młodym wieku. Dziś dzieciństwo trwa coraz dłużej, decyzja o małżeństwie, jeśli w ogóle podejmowana, odkładana jest na koniec trzeciej lub wręcz na czwartą dekadę życia. Dzieci rodzą się coraz później i jest ich coraz mniej. W następstwie (statystycznie) bardziej dojrzałych i zamożnych rodziców mogą im poświęcać więcej czasu, co jeszcze wzmacnia ten efekt w następnych generacjach.

Zobaczmy teraz, jak w świetle dostępnych danych wyglądają z perspektywy tego modelu kolejne pokolenia.

Mapa pokoleń

BABY BOOMERS, czyli pokolenie powojennego wyżu demograficznego. Ukształtowało ich radio, muzyka z płyt i wielkie festiwale, a na nieco starszym etapie życia – telewizja. Boomerzy stworzyli świat komputerów (Bill Gates i Steve Jobs urodzili się w roku 1955), nigdy jednak nie staną się jego tubylcami. W młodości byli wyjątkowo liberalni, radykalnie kwestionujący reguły polityki i obyczajowości. Pigułka antykoncepcyjna przyniosła im bezprecedensowy czas wolności seksualnej (trwający aż do epidemii AIDS).

Co ciekawe, badania pokazują, że dziś jest to pokolenie, które przeszło największy w historii zwrot ku konserwatyzmowi. Wielu boomerów zgadza się z opinią, że świat trzeba było zmienić, ale konieczne zmiany już się dokonały. W Polsce jest to głównie pokolenie odpowiadające za przełom roku 1989, które od tamtego czasu nieprzerwanie rządzi krajem. Lech Wałęsa (1943) metrykalnie jest jeszcze wprawdzie przedstawicielem końcówki tzw. cichego pokolenia, ale już Jarosław Kaczyński (ur. 1949) i Donald Tusk (1957) to stu procentowi boomerzy.



POKOLENIE X – zaskakująco często pomijane w mediach zafascynowanych sporem między boomerami a milenialsami – wychowało się na podwórku. Cechała ich bardzo wczesna samodzielność i dużo swobody, co iksy uwielbiają wypominać młodszemu. Ale w dzieciństwie mnóstwo czasu spędzili też przed telewizorami. Tyle

że oglądanie było dla nich praktyką wspólnotową – jeden telewizor w domu i mało kanałów oznaczało, że wszyscy oglądali to samo i zwykle robili to w kilka osób. Pewnie dlatego dziś jest to wyjątkowo nostalgiczne pokolenie – to ich dzieciństwem karmi się dziś twórcy „Stranger Things” czy kolejnych części „Gwiezdných wojen” albo „Indiany Jonesa”. Muzykę poznawali na MTV, a potem słuchali z kaset lub walkmanów. W Polsce to pierwsza generacja, która mogła studiować biznes i robić kariery w międzynarodowych korporacjach. Pionierzy cyfrowych technologii, a w Polsce w ogóle pionierzy biznesu. W polityce jednak muszą czekać na swój czas rekordowo długo – rosnąca długość życia i czas aktywności sprawiły, że boomerzy przez długie dekady nie ustępują im miejsc na szczycie.

MILENIALSI w liceum mieli komputer z internetem, ale nie smartfona. Nie uczestniczyli aktywnie w przełomie roku 1989, ale ich młodość napiętnowały ataki z 11 września i kryzys ekonomiczny z lat 2007-08. Pionierzy mediów społecznościowych (Mark Zuckerberg) – stworzyli je, ale nie korzystali z nich w okresie dojrzewania. Muzyki słuchali z płyt CD, a później z plików mp3. W młodości pełni optymizmu, boleśnie rozczarowali się kryzysowym rynkiem pracy.



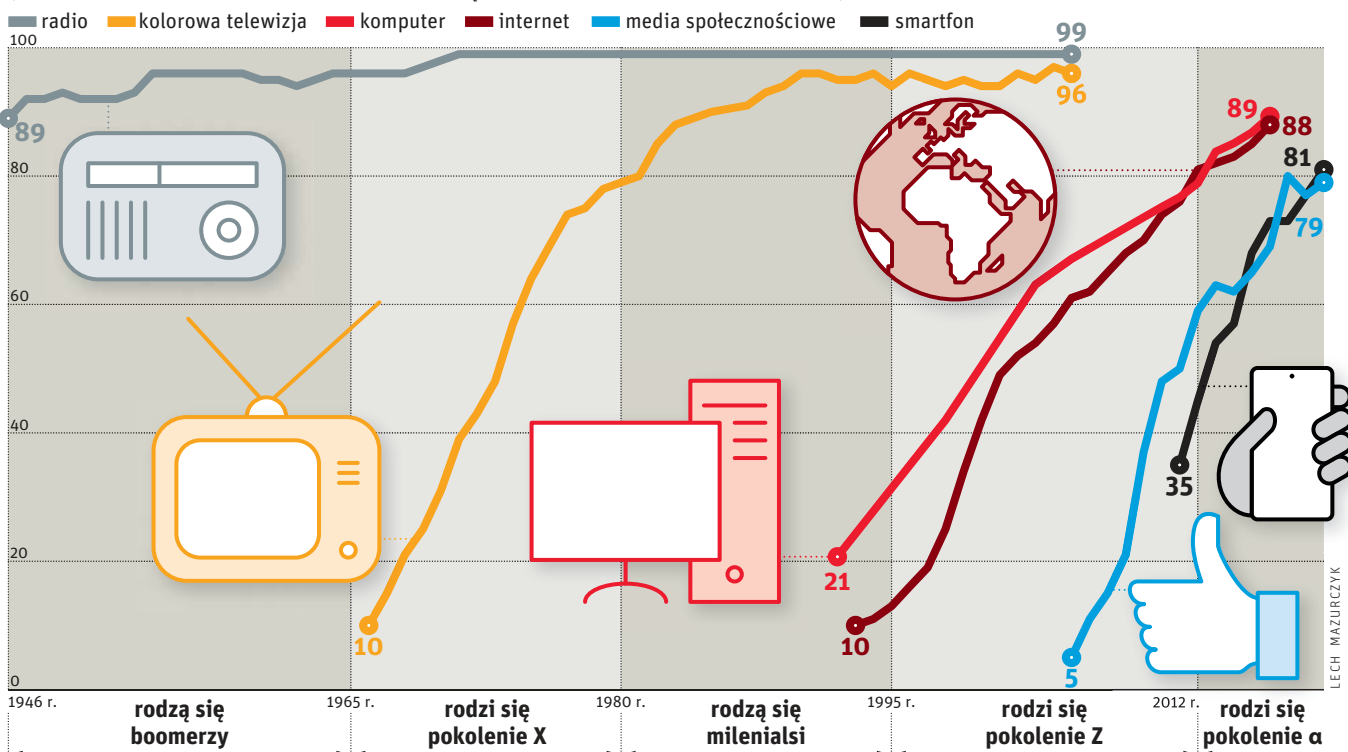
POKOLENIE Z ukształtował błyskawiczny ciąg wydarzeń z lat 2005-2012. 14 lutego 2005 – otwarcie YouTube’a; 29 czerwca 2007 – premiera pierwszego iPhone’a; 9 lutego 2009 – Facebook wprowadza przycisk „like”, zmieniając media społecznościowe w maszynę do eksploatowania pragnienia akceptacji; 24 czerwca 2010 – premiera iPhone4 z kamerą skierowaną na przód – rozpoczyna się kultura *selfie*;

2012 – połowa gospodarstw domowych w USA ma już smartfon. To najszybsza krzywa adaptacji technologii w historii! Zetki w wiek nastoletni wchodzą więc już w epokę smartfonów. Internet jest z nimi wszędzie. Media społecznościowe i gry są dla nich naturalnym środowiskiem budowania relacji. Muzyki słuchają na YouTube lub w serwisach streamingowych. Ich wejście na rynek pracy opóźniła pandemia covid-19.

POKOLENIE ALFA Jean Twenge proponuje nazwać „pokoleniem polarnym” – od polaryzacji politycznej oraz roztopiających się lodowców. Sądzę jednak, że to mogą wcale nie być kluczowe wyzwania dla urodzonych po roku 2012. Jestem niemal pewien, że to raczej AI będzie kluczową technologią, która zmieni ich życie. Będą pierwszą generacją, która w czasach licealnych będzie równie często rozmawiała z botem jak

ADAPTACJA TECHNOLOGII

(ODSETEK GOSPODARSTW DOMOWYCH KORZYSTAJĄCYCH Z WYBRANEJ TECHNOLOGII W USA)



z człowiekiem, a interakcje te będą praktycznie nie do rozróżnienia. Zdjęcie czy film będą miały dla nich taką samą wiarygodność jak opowieść albo rysunek – w końcu AI może na jedno kliknięcie wygenerować dowolny obraz. Niekoniecznie będą słuchali piosenek w formie, jaką znały poprzednie pokolenia, skoro algorytmy mogą dla nich na bieżąco generować idealną muzykę dopasowaną do ich gustu, samopoczucia, a nawet rytmu serca czy wykonywanej aktualnie czynności.



Alfa będą ostatnim pokoleniem wychowanym przez ludzi, które we wczesnym dzieciństwie nie będzie prowadzić długich rozmów o życiu i przemijaniu z inteligentnym pluszowym misiem zdolnym odpowiedzieć na niemal każde pytanie. No i nie zapominać, że to generacja, której pierwsze świadome lata przypadły na czas maseczek, lockdownów i zdalnej nauki.

Różni w pracy

Kolejne raporty o młodych na rynku pracy pokazują ich szczególny stosunek do obowiązków zawodowych. Milenialsi pod wieloma względami byli pokoleniem rozczarowanym. Obserwując trajektorie rozwoju starszych koleżanek i kolegów z pokolenia X, mieli wygórowane oczekiwania i bardzo wysoką ocenę własnych kompetencji. Tymczasem na rynek pracy trafili w okresie kryzysu gospodarczego (2007). Dlatego w dorosłym życiu nastoletni optymizm często ustąpił u nich miejsca pesymizmowi.

Badania zarówno globalne, jak i polskie pokazują, że zetki mają jeszcze inny stosunek do pracy – niższe oczekiwania, ale i niskie przywiązanie. Nigdy nie spodziewali się wiele po życiu zawodowym, więc z łatwością i bez żalu rzucają pracę, która nie spełnia ich oczekiwań. Nie zamierzają się przemęczać. Ma to nawet specjalną nazwę. *Quiet quitting*, czyli „ciche rzucenie pracy”, nie oznacza, wbrew pozorom, że zetka następnego dnia nie pojawia się w biurze (choć i tak się zdarza). Zamiast tego, niczym kopista Bartleby z noweli Hermana Melville’a, odpowiadają „wolałbym nie” i po prostu odmawiają wykonywania części obowiązków, wyraźnie wyznaczając swoje granice. W polskiej wersji nazywa się to dosadnie „sprzeciwem wobec kultury zapierdolu”. Nie ma sensu się spalać, są ważniejsze rzeczy. Zetkom łatwo tak postępować, nie wierzą bowiem w związek między ciężką pracą a sukcesem w życiu. W dodatku ważniejsze niż praca i sukces są dla nich samoekspresja i wierność wartościom.

Dlatego też w pracy zetki raczej żądają, niż proszą (co starsze pokolenia uznają za roszczeniowość). Dla zetki jest to postawa uczciwa i korzystna dla obu stron. „Nie podoba nam się współpraca? Po co się męczyć? Po prostu pójdę gdzieś indziej”.

Pandemia jeszcze te różnice pogłębiła. Milenialsi pokochali pracę z domu. Dla zetki była to nierzadko w ogóle pierwsza forma pracy – innej nie poznali. Iksy i boomerzy z różnych powodów pozostają bardziej przywiązani do stacjonarności. Decyduje o tym nie tylko mniejsza biegłość w posługiwaniu się narzędziami cyfrowymi. Starsze pokolenia w większym stopniu doceniają społeczny wymiar pracy – nawiązywanie przyjaźni, wymianę informacji. Wbrew pozorom te zjawiska przekładały

→ się na sukces firm i skuteczność studiów! Dziś wyobcowanie, fragmentacja i brak drużynowego ducha wyraźnie osłabiają jakość pracy i nauki, a także czynią je mniej satysfakcjonującymi.

Nacisk kładziony na wyrażanie siebie, w połączeniu ze wspomnieniami pandemicznej pracy z domu, zwiększył u młodych oczekiwanie tolerancji dla swobodnego stroju i zachowania w pracy. Dla zetek normalne jest spłaszanie hierarchii i skrócenie dystansu – nie tylko prezes może mieć dobre pomysły (to akurat z kolei coś, czego – jak pokazują badania – starsi managerowie powinni się od młodszych uczyć dla dobra firm).

Zetki otwarcie krytykują swoich przełożonych. Zarazem, paradoksalnie, dla nich samych kluczowa staje się potrzeba, by uniwersytet czy miejsce pracy były bezpieczną przestrzenią. Odważnie wykazują zerową tolerancję na jakiegokolwiek zachowania mobbingowe, ale zarazem w ogóle mniejszą tolerancję na wszelką krytykę, presję czasową, stres czy wręcz wydawanie poleceń.

Na tym nie koniec paradoksów. Młodzi ludzie żądają bezpiecznej przestrzeni, lecz jednocześnie oczekują, że firmy, szkoły i uniwersytety będą odważnie zabierać głos w sprawach politycznych, co z kolei przeraża boomerów i iksy zaniepokojonych „upolitycznieniem wszystkiego” oraz „cancel culture” czy „nadmierną poprawnością polityczną”.

Radykalizacji pod wpływem mediów społecznościowych uległy wszystkie pokolenia, ale najbardziej te najmłodsze, które w internecie spędzają najwięcej czasu. To tu największe okazują się też różnice związane z miejscem zamieszkania, wykształceniem, ale też płcią. W Polsce także widać to wyraźnie – młode kobiety i młodzi mężczyźni głosują dziś całkiem inaczej.

Sami w domu

Wyobraź sobie taką sytuację. Twoja córka kończy dziesięć lat, a natchniony miliarder proponuje jej udział w misji na Marsa. Twierdzi, że dziewczynka ma dobre wyniki w szkole i wiele cech osobowości, które przemawiają za tym, że będzie świetną osadniczką (nie przypominasz sobie, żebyś wysłał do miliardera jakieś dane lub udzielał mu zgody na ich wykorzystanie). Dzieci w ogóle nadają się do misji najlepiej, ze względu na swą elastyczność. Nikt wprawdzie nie przebadał dokładnie, jak niska grawitacja, promieniowanie i zamknięcie w bazie wpłyną na ich rozwój, ale przecież nie będziemy powstrzymywać innowacji tylko z tego powodu, że nie wszystko jeszcze wiemy, prawda? Córka kocha kosmos, a poza tym wszyscy jej przyjaciele już się zapisali. Pozwolisz jej lecieć?

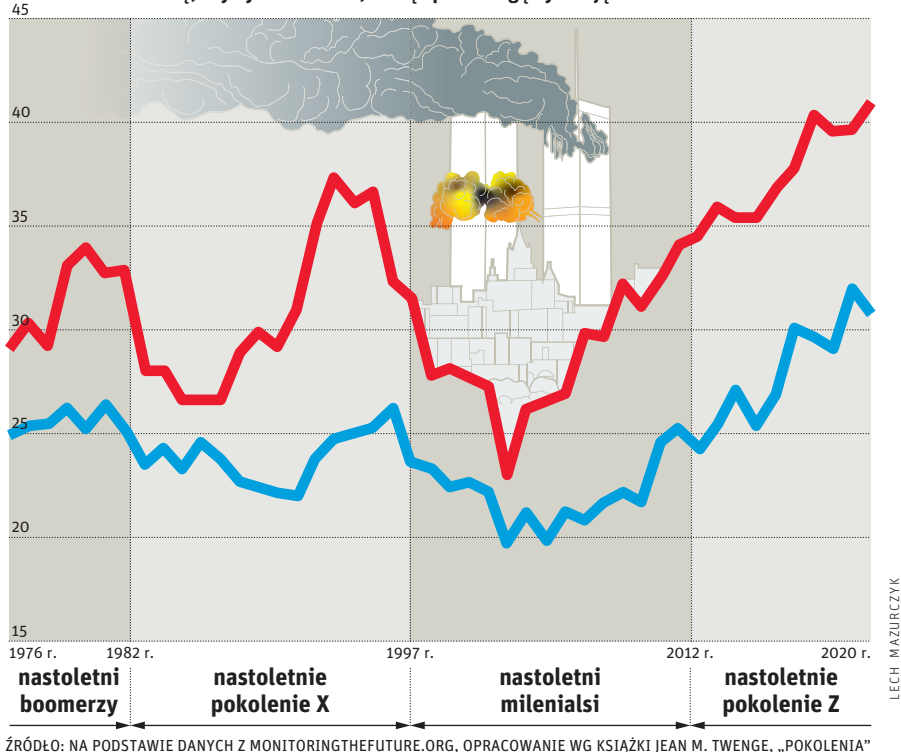
Od takiego eksperymentu myślowego rozpoczyna się wydana kilka miesięcy temu książka „The Anxious Generation”

ROŚNIE PESYMYZM NASTOLATKÓW

ODSETEK NASTOLATKÓW, ZGADZAJĄCYCH SIĘ Z PONIŻSZYMI STWIERDZENIAMI:

trudno z nadzieją patrzeć w przyszłość

zastanawiam się, czy życie ma sens, biorąc pod uwagę sytuację na świecie



ŹRÓDŁO: NA PODSTAWIE DANYCH Z MONITORINGTHEFUTURE.ORG, OPRACOWANIE WG KSIĄŻKI JEAN M. TWENGE, „POKOLENIA”

(„Pokolenie lęku”) Jonathana Haidta. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wysłałby dzieci na marsjańską misję – argumentuje amerykański psycholog społeczny – jakim cudem więc wpuściliśmy dzieci bez nadzoru w całkowicie nieprzebadane środowisko smartfonów i mediów społecznościowych?

Bazując na pracach Twenge i jej technologicznej teorii pokoleń, Haidt analizuje niepokojące dane dotyczące wpływu, jaki na pokolenie Z wywarły media społecznościowe i smartfony. Lęk, depresja, choroby związane z odżywianiem, trudności z koncentracją i kontrolą emocji – wszystkie te zjawiska nasiliły się wśród młodzieży w bezprecedensowym stopniu. Towarzyszy temu fala samookaleczeń i samobójstw.

Im więcej czasu młodzi ludzie spędzają w wirtualnym świecie i im wcześniej się w nim zanurzają, tym silniej dotyka ich kilka poważnych problemów. Po pierwsze, brak bezpośrednich kontaktów międzyludzkich i niechęć do ich poszukiwania. Dotyczy to wszelkich rodzajów relacji: zabawy, przyjaźni, miłości, nawet stosunków seksualnych. Wizja rozseksualizowanych nastolatków, jaką proponuje nam np. popularny serial „Euforia”, jest nieprawdziwa – w rzeczywistości nastolatki i młodzi dorośli uprawiają dziś mniej seksu niż poprzednie pokolenia. Następnie deprywacja snu i fragmentacja uwagi utrudniająca skupienie się dłużej na czymkolwiek. Wreszcie – uzależnienie.

Haidt zwraca uwagę na jeszcze jeden czynnik współodpowiedzialny za kryzys psychiczny młodzieży. Nadopiekuńczy rodzice, chcąc chronić dzieci przed niebezpieczeństwem, dodatkowo zachęcają je do rzadszego wychodzenia z domu i opóźniają wiek samodzielnego poruszania się po okolicy. Dzieci najpierw rzadziej

opuszczają dom, a potem granica między „w domu” a „poza domem” się zaciera.

Oprócz depresji i problemów psychicznych młodzież dotyka dziś rekordowa fala pesymizmu (zob. wykres). Po optymistycznej erze nastoletnich milenialsów rekordowo dużo młodych zgadza się ze stwierdzeniami takimi jak „świat zmierza w złym kierunku”, „zastanawiam się, czy życie ma sens”. To zapewne, przynajmniej częściowo, także efekt mediów społecznościowych, bombardujących użytkowników nadmiernie uproszczonym, posępnym obrazem świata.

Aż strach pomyśleć, co będzie z kolejnymi pokoleniami, od urodzenia otoczonymi przez smartfony, tablety i gry. Zwłaszcza gdy do zakresu sztuczek wielkich korporacji dojdzie sztuczna inteligencja umożliwiająca w zasadzie dowolną personalizację. Po co wychodzić z domu czy rozmawiać z kimkolwiek, jeśli algorytm błyskawicznie dopasuje treści na ekranie do tego, czego akurat najbardziej pragniesz?

Tu ciekawej lekcji mogłyby pewnie udzielić najmłodszym iksy. Badania pokazują, że jako młodzież też byli dość depresyjni i pesymistyczni. Wyrosli jednak na zdrowych, aktywnych dorosłych. Być może ważny udział w tym miało podwórko i telewizyjne dzieciństwo celebrowane z paczką przyjaciół?

Jak znaleźć mordercę

Zmyślny eksperyment przeprowadzony przez Katherine W. Phillips i jej zespół świetnie pokazuje, jak działa różnorodność. Studentów podzielono na niewielkie grupy. Niektóre z nich były jednorodne – wszyscy uczestnicy mieli podobny wiek, wykształcenie i poglądy. Inne grupy zawierały „outsiderów” – osoby celowo dobrane tak, żeby odróżniać się od reszty zespołu. Następnie każda drużyna miała za zadanie rozwiązać za-

Pokolenia potrzebują siebie nawzajem. Oddzielnie nie mamy szans poradzić sobie w zmieniającym się świecie, w którym przydaje się zarówno zręczna adaptacja, jak i stabilne zakorzenienie.

gadkę kryminalną i na podstawie rozproszonych wskazówek ustalić, kto dokonał (fikcyjnego) morderstwa.

Wynik? Grupy jednorodne rozwiązywały zadania znacznie szybciej i lepiej się przy tym bawiły. Grupy z outsiderami mężczyły się z zadaniami dłużej, a po ich zakończeniu nie miały ochoty podejmować kolejnych. Kluczowa różnica polegała jednak na tym, że grupy niejednorodne rozwiązywały zadanie... poprawnie! Wszystkie zagadki były tak skonstruowane, by szybko naprowadzić uczestników na fałszywy trop. Grupy jednorodne od razu ten

trop podchwytowały i, wiedzione wewnątrzgrupowym konformizmem, mknęły zgodnie i szybko, tyle że w niewłaściwym kierunku. Tymczasem grupy niejednorodne były stale opóźniane przez pytania outsiderów. „A skąd to wiecie?”, „Czekajcie, bo nie nadążam”, „Gdzie tu się klika, żeby zobaczyć odpowiedź?”.

Konieczność kwestionowania własnych założeń, wyjaśnienia ich komu innemu oraz uwzględnienie różnych perspektyw czyni nas lepszymi. W miejscu pracy, na uniwersytecie, ale też w rodzinie, grupie przyjaciół, lokalnej społeczności. Różnorodność jest trudna i bywa bardzo denerwująca. Ale umiejętnie wykorzystana daje ogromną siłę.

Ilekoć mam okazję pracować na materiale związanym z różnicami międzypokoleniowymi, zawsze myślę o tym eksperymencie. Paradoksalnie – im większe są różnice między nami, tym większą moc mogą nam dać, jeśli tylko nad dzielącymi nas przepaściami zdołamy przerzucić mosty. Odmienności wynikające z technologii i kultury pora przekuć w atut. Eliminować samotność i wykluczenie, które coraz częściej (choć w różnej formie i z różnych powodów) dotyczą najmłodszych i najstarszych. Nauczyć się patrzeć na świat oczyma rodziców, dziadków, dzieci albo wnuków. Jednocześnie.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rąbaj, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdań, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Mateusz Gawron, Lech Krupa, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Promocja: promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Niepokorne*



TO NIEOMAL NIEMOŻLIWE: MOJŻESZ – prawodawca Izraela, największy z proroków judaizmu, rozmawiający z Najwyższym „twarzą w twarz” – nie zna odpowiedzi na pytanie dotyczące prawa żydowskiego. A jednak. Taka sytuacja ma miejsce

dwukrotnie. W pierwszym przypadku chodzi o świętowanie Pesach przez osoby nieczyste rytualnie w wyznaczonym czasie (zob. Lb 9, 6-12), w drugim – o schedę po ojcu, który nie pozostawił męskich potomków. Jak wygląda ten drugi casus? Przyjrzyjmy mu się nieco bliżej.

Jesteśmy nadal u wrót Ziemi Obiecanej. Izraelici ulegają wdziękom Moabitów uprawiających nierząd sakralny w służbie Baal-Peora i spada na nich kara. Plaga przetrzebia nieco ich szeregi i Bóg nakazuje Mojżeszowi oraz jego bratankowi Eleazarowi (Aarona nie ma już wśród żywych), by dokonali spisu mężczyzn w przedziale wiekowym 20-60 lat. Ze sprawozdania dowiadujemy się m.in., że „Celaftchad zaś, syn Chefera, nie miał synów, a tylko córki, a imiona córek Celaftchada: Machla i Noa, Chogla, Milka i Thyrcza” (Lb 26, 33; Cyłkow). Ta strzelba Czechowa wystrzela w kolejnym rozdziale, kiedy Najwyższy wyłuszcza, jak losowo przyporządkować klanom działy ziemi w ramach terytoriów ich szczepów. Slangowa „wiadomka”: rzezione kobiety – przez wzgląd na płeć – nie dostaną nic. Jednak miast pochylić głowę przed nieomylnością autorytetów, delikatnie acz stanowczo rzucają rękawicę patriarchalnemu status quo: „I przystąpiły córki Celaftchada, stanęły przed Mojżeszem i rzekły: »Ojciec nasz umarł na pustyni synów nie mając. Czemużby zginąć miało imię ojca naszego z pośród rodziny jego, dla tego, że syna nie miał? Daj nam posiadłość między braćmi ojca naszego!«” (Lb 27, 1-4).

Mojżesz przedstawia sprawę Najwyższej Instancji i dzięki umiającym zawalczyć o sprawiedliwość dziewczynom zyskujemy nowe prawo: „Ktokolwiekby umarł, a syna nie zostawił, przeniesiecie tedy udział jego na jego córki” (wers 8). Jeden midrasz wkłada w usta Celofchadowych córek przekonywający i logiczny spójny talmudyczny wywód. Drugi stwierdza, że „ich oko widziało to, czego nie widziało oko Mojżesza” – miały lepsze od niego wycucie w kwestiach dziedziczenia. Wszyscy jak jeden mąż zdają się mówić: drogie panie, upominajcie się o swoje prawa – właśnie tedy droga!

©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: *Szorty i Biblia*



ZACZEŁO SIĘ OD INTERNETOWEJ WYPOWIEDZI księdza na temat stosowności, a raczej jej braku, przychodzenia do kościoła w krótkich spodniach. W letnie upały, w ciasnym i dusznym kościele rzeczywiście w długich spodniach i koszuli z rękawami

można się solidnie spocić zamiast namodlić. Z drugiej strony nie chodzi tylko o świątynię, ale np. o restaurację, gdzie nawet zimne piwo przestaje smakować, gdy jest się zmuszonym oglądać włochaty tors gościa i jego brzuszysko albo ledwie zakryte pośladki jego towarzyszek. Powiadają też, że gdzieś tam jakiś biskup wezwał na dywanik księdza, który na plaży odprawił mszę dla nudystów. Na pytanie: „o czym ksiądz myślał, patrząc na tych golasów?” ten odpowiedział: „o tym, gdzie oni trzymają pieniądze na tacę”. Stare przysłowie mówi, że jak cię widzą, tak cię piszą, i nie chodzi w nim tylko o robienie dobrego wrażenia, ale o coś bardziej istotnego.

Pod wpisem księdza zaroilo się od komentarzy, szczególnie jeden zwrócił moją uwagę. Głosił on, że „katolicycy duchowni to współcześni faryzeusze, czyli hipokryci”, ponieważ „wiążą wielkie ciężary i wkładają je ludziom na barki, sami zaś nie chcą ich ruszyć swoim palcem. Wszystkie swe uczynki spełniają, żeby ich ludzie widzieli. Lubią najpocześniejsze miejsce na wieczarach i pierwsze siedzenia w synagogach, i pozdrowienia na rynkach, i lubią być przez ludzi nazywani Rabbi. Ale wy nie dajcie się nazywać Rabbi, bo jeden jest wasz nauczyciel, natomiast wy wszyscy jesteście braćmi. I nikogo na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem, bo jeden jest wasz Ojciec, ten niebiański”. I tak od szortów doszliśmy do Biblii.

To zderzenie przypomniało mi pierwsze spotkania ze świadkami Jehowy i moją bezradność wobec ich interpretacji Biblii. Później, już poduczony, próbowałem z nimi rozmawiać, ale oni, zorientowawszy się, że mają do czynienia z księdzem, przerywali dyskusję i odchodzili. Dzisiaj chciałbym im podziękować właśnie za to, że burząc moje dobre samopoczucie, rozbudzili we mnie ciekawość i zmusili do zajęcia się Biblią, jak też i za to, że, pewnie wbrew ich intencjom, jestem tu, gdzie jestem.

©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Gliniane serce

Smutek bierze się
z pozbawienia przyjemności,
czy to obecnych,
czy oczekiwanych.
Niemożliwe jest, abyśmy
odparli tego wroga,
gdy jesteśmy namiętnie
przywiązani
do czegoś na tej ziemi.
Tam bowiem zastawia on
pułapkę, gdzie ku czemuś
najbardziej się skłaniamy.

EWAGRIUSZ Z PONTU



Kto postępuje
sprawiedliwie,
ścieżką rozpaczy
nie kroczy.

BHAGAWADGITA



„PRZECHOWUJEMY [ten] skarb w naczyniach glinianych, aby z Boga była ta przeogromna moc, a nie z nas” – wyzna-

nie św. Pawła, zapisane w liście do Koryntian (2 Kor 4, 7), przywołano ostatnio w Liturgii. Jaki skarb, jakie naczynie? Odpowiedź kryje się we wcześniejszym wersecie: „Albowiem Bóg, Ten, który rozkazał ciemnościom, by zajaśniały światłem, zabłysnął w naszych sercach, by olśnić nas jasnością poznania chwały Bożej na obliczu Chrystusa” (2 Kor 4, 6). Skarbem jest „poznanie chwały Bożej na obliczu Chrystusa”. Skarbem jest twarz Jezusa i wszystko, co można z Niej wyczytać o Bogu. To doświadczenie, które rozjaśnia światłem każdą ciemność. Odtąd wszystko widzę. Mogę się poruszać bez obawy upadku. Wszystko jest „jasne”.

A naczynie? To serce. Przywykliśmy już do pouczenia, że ostatecznie wszystko w naszych relacjach z Bogiem rozstrzyga się na poziomie serca: „do każdego, który słucha słowa o Królestwie, a nie rozumie go, przychodzi Zły i porywa to, co zasiane jest w jego sercu” (Mt 13, 19); „ten lud czci Mnie wargami, lecz sercem daleko jest ode Mnie” (Mt 15, 8); „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem” (Mt 22, 37). Ale co z rozeznaniem, że to naczynie jest gliniane? To nie jest łatwa diagnoza: zatrzymujemy Jezusa w sercu,

bo przecież nie sposób Go nie pokochać. Nie sposób też Go zatrzymać inaczej, jak tylko „więzami miłości”. Tak samo jednak – mówi Paweł – jak Go w sercach zatrzymujemy, tak równie łatwo tracimy. Nasza miłość jest gliniana. Nasza wiara przestaje być miłością, przestaje być najważniejszą w życiu relacją osobistą, redukuje się do przyzwyczajenia, prawa, obowiązku. Serce zaczyna gonić za innymi doznaniem.

Właśnie dlatego tak ważna jest obietnica „nowego serca”, złożona przez Boga ustami Ezechiela (Ez 11, 19; por. 18, 31): „Dam wam nowe serce, (...) usunę serce kamienne, a dam serce z ciała”. W różnych lekcjach tekstu „nowe serce” obiecanie jest jako serce „inne” albo „pojedyncze”, „zjednoczone”. To obietnica serca nie rozproszonego, nie zdekoncentrowanego, lecz skupionego na Tym, którego chcę w sercu zachować. Obietnica na szczęście nie jednorazowa, lecz nieodwołalna – wierna, jak wierny jest Ten, który nas pierwszy pokochał.

PS. Drogi Księżu Adamie, wszelkiego dobra! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 VIII)

18. niedziela zwykła: Wj 16, 2-4. 12-15;
Ps 78; Ef 4, 17. 20-24; J 6, 24-35;
Poniedziałek: Jr 28, 1-17; Ps 119; Mt 14, 13-21;
Wtorek: Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 97; Mk 9, 2-10;
Środa: Jr 31, 1-7; Jr 31; Mt 15, 21-28;

Czwartek: Jr 31, 31-34; Ps 51; Mt 16, 13-23;
Piątek: Oz 2, 16b. 17b. 21-22; Ps 45; Mt 25, 1-13;
Sobota: 2 Kor 9, 6-10; Ps 112; J 12, 24-26;
19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 4-8;
Ps 34; Ef 4, 30 – 5, 2; J 6, 41-51.

Wybrał PIOTR SIKORA

SZKOŁĘ PORA POZAMIATAĆ

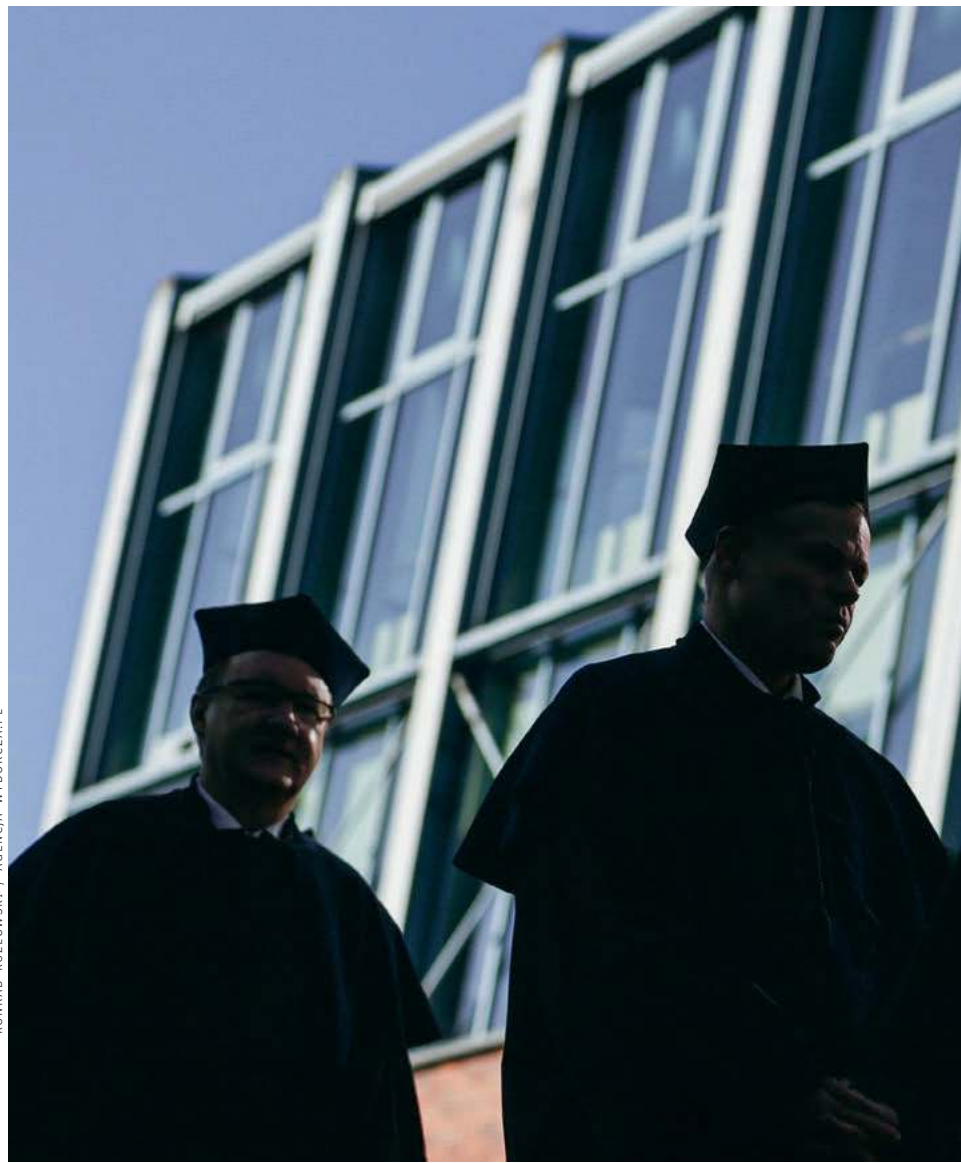
Polska znajduje się w grupie trzech krajów, w których placówki edukacyjne najszybciej podlegają społecznej i ekonomicznej segregacji. Dzieci z uprzywilejowanych domów żyją w innym świecie niż reszta uczniów.

MARCIN KĘDZIERSKI

SĄ WAKACJE, A WIĘC NAJLEPSZY CZAS, żeby powiedzieć sobie kilka zasadniczych prawd o polskiej edukacji. W galopie jej bieżących problemów brak na to czasu, a poza tym przynajmniej wreszcie: wszelkie spory dotyczące naszej polityki edukacyjnej były w ostatnich latach czysto fasadowe. Nikt bowiem nie kwestionował dominującego, przestarzałego systemu, opartego na neoliberalnym modelu konkurencji między szkołami, uczniami, a w praktyce także rodzicami. Niezależnie od tego, czy u sterów MEN zasiadałaby Barbara Nowacka, Przemysław Czarnek, Anna Zalewska, czy też Joanna Kluzik-Rostkowska – zarządzaliby oni tylko mierną rekonstrukcją historyczną.

Proroczy raport

Rok 1972 był dla Europy przełomowy. Opublikowano wówczas słynny raport Klubu Rzymskiego „Granice wzrostu”, dokument uznawany dziś za proroczy w kwestiach kryzysu środowiskowo-klimatycznego. Ale powstał też wtedy równie ważny, sygnowany przez UNESCO dokument, choć znacznie mniej znany, pod znamienym tytułem „Uczyć się, aby być: świat edukacji dziś i jutro”. Instytucje międzynarodowe wydały niemal równocześnie raporty alarmujące globalną opinię publiczną o skali czekających nas wyzwań.



Lektura raportu UNESCO po ponad 50 latach nic nie straciła na aktualności. Autorzy wskazują bowiem, że kluczowym problemem edukacji jest „alienacja, niedowartościowanie i okaleczenie osoby ludzkiej”. Bierze się on z oddzielenia intelektualnego wymiaru edukacji od innych ważnych jej komponentów: fizycznych (jak sport), estetycznych, moralnych (w tym metafizycznych) czy wreszcie społecznych. Co to dla nas oznacza?

Problem z tym oddzieleniem widać dziś w polskiej szkole doskonale, choćby w ramach tworzenia tzw. kart przedmiotów. Moje koleżanki i koledzy na uczelni często zachodzą w głowę, co wpisać w pozycji „postawy społeczne”, które obok „wiedzy” i „umiejętności” stanowią część składową każdej kompetencji (używając technokratycznego języka tzw. procesu bolońskiego) albo mówiąc prościej: efektu kształcenia. Nie jest to jednak wyłącznie trudność świata akademickiego –

także na „niższych” poziomach edukacji pozaintelektualne komponenty następczą nauczycielom kłopotów.

Autorzy proroczego raportu nie mogli jednak przewidzieć, jaki kształt, skalę i tempo przybierze rewolucja informacyjna, która gruntownie przeorała myślenie o edukacji w ostatnich kilkunastu latach. Zakończył się bowiem wielowiekowy etap historii, w którym to nauczyciele byli lokalnymi apostołami wiedzy. Współcześnie nie ma ani potrzeby, ani sensu, by nauczyciel koncentrował swoje wysiłki wyłącznie na przekazywaniu informacji, które uczeń ma w zasięgu smartfona. To ma radykalne konsekwencje dla całości systemu edukacji, włącznie z architekturą klas czy sal wykładowych.

Utrwalanie hierarchii

Gdybyśmy wzięli na poważnie dokonane zmiany, musielibyśmy zlikwidować sztywny układ stolików zwró-

conych w kierunku nauczycielskiego biurka czy akademickiej katedry. Trzeba by stworzyć demokratyczną i elastyczną przestrzeń co-workingową, ułatwiającą współpracę nie tylko między uczniem a nauczycielem-mentorem, ale także pomiędzy samymi uczniami.

Pomimo wspomnianej rewolucji kształt systemu niespecjalnie się zmienił, a edukacja stała się jeszcze bardziej nieadaptacyjna i oderwana od rzeczywistości niż 50 lat temu. Pozostały stare konwenanse i teatr, który wszyscy – nauczyciele i uczniowie oraz studenci – odgrywamy. Jego ostantacyjną pozostałością są dyplomy – życie szkolne kręci się przecież wokół nich. Ale właściwie dlaczego? Nie potwierdzają przecież kwalifikacji, służą wyłącznie podkreśleniu statusu. I nikt nawet nie udaje, że chodzi o coś innego.

No właśnie – w systemie edukacji idzie o wszystko, tylko nie o edukację, a przynajmniej nie o to, co potocznie „edukacją” nazywamy. A że chodzi w niej przede wszystkim o status, pokazało niedawne ogłoszenie wyników egzaminów maturalnych. W końcu dobrze zdana matura to zarówno sygnał mówiący o aktualnej wartości ucznia (i jego rodziców, którzy w niego inwestowali czas i pieniądze, oraz szkoły, która go wypromowała), jak i o jego przyszłej „wycenie społecznej”. Dotarła do nas zatem choroba, która zainfekowała szkołę na Zachodzie już kilkadziesiąt lat temu. Wbrew obietnicy wyrównania szans na awans na społecznej drabinie, które u progu Oświecenia i pierwszej rewolucji przemysłowej miało nam przynieść upowszechnienie edukacji, szkoła stała się narzędziem utrwalania hierarchii klasowej.

Choć nie doszukiwałbym się w tym zjawisku jakiejś spiskowej teorii dziejów, nie ulega dla mnie wątpliwości, że cały proces „ustatusowania” edukacji nie jest zupełnie przypadkowy. Utrwalanie hierarchiczności z jednej strony, a z drugiej strony promocja konkurencyjności pomiędzy uczniami sprzyjają tylko rozwojowi indywidualistycznego, neoliberalnego kapitalizmu. Szkoła i cały współczesny system edukacji w żadnym razie nie służy wszechstronnemu, integralnemu rozwojowi człowieka. Służy utrzymaniu społecznych podziałów →



*Inauguracja roku akademickiego,
Kraków, 3 października 2023 r.*

→ i takiemu sformatowaniu absolwentów, by karnie funkcjonowali w kapitalistycznym świecie. Ostatecznie, najważniejsze decyzje podejmuje w nim, bez naszego udziału, właściciel kapitału. Bałamutna obietnica „możesz wszystko!” dotyczy głównie tych, którzy do tego kapitału mają dostęp, nierzadko na drodze dziedziczenia.

Po prawdzie trzeba przyznać, że powszechna edukacja od samych swych początków była sformatowana pod potrzeby systemu kapitalistycznego – w historii cywilizacji obie te „instytucje” pojawiły się przecież niemal równolegle. Jak celnie wskazuje Michael Sandel w „Tyranii merytokracji”, od wieków lubimy się oszukiwać i wierzyć, że edukacja to bezstronne, sprawiedliwe i oparte na obiektywnym systemie oceniania narzędzie społecznego awansu.

Najważniejszy jest „papier”

Nasze polskie spory o strukturę systemu, takie jak choćby ten wokół likwidacji gimnazjów, są wtórne wobec fundamentalnej kwestii: jaki jest właściwie cel edukacji? Na to pytanie nie ma jednej poprawnej odpowiedzi, bo i szkoła powinna realizować równolegle kilka celów, z różnym natężeniem.

Skoro są wakacje, to warto przypomnieć o jednym zupełnie zapomnianym, jakim jest pełnienie funkcji opiekuńczej wobec dzieci i młodzieży, kiedy ich rodzice z przyczyn zawodowych nie mogą się nimi zająć samodzielnie. Z ogromnym zdumieniem śledzę debaty rodziców, utyskujących na kłopoty z zapewnieniem dzieciom opieki w okresie wakacyjnym (w Polsce letnie wakacje są relatywnie bardzo długie, co generuje mnóstwo innych problemów, także *stricte* edukacyjnych), a jednocześnie jak dotąd nie słyszę głośniejszych postulatów, aby szkoła w jakimś zakresie dalej pracowała przez lipiec i sierpień. A przecież powinna, gdyby tę funkcję potraktować poważnie, nieprawdą?

Równie dojmująca (jeśli nie bardziej) jest wówczas pustka uniwersyteckich kampusów. Przez jedną czwartą roku ogromne publiczne przestrzenie leżą odłogiem (a doliczając inne przerwy, doszlibyśmy niemal do połowy roku). Gdybyśmy na poważnie jako wspólnota polityczna potraktowali ideę *lifelong learning*, uczelniane sale powinny tętnić życiem niemal przez 365 dni w roku. Ktoś po-

Istnieje coraz
powszechniejsze przekonanie,
że absolwent uczelni
ma umieć czytać i pisać.
Reszty nauczysz się w pracy.

wie, że przecież mamy do czynienia z takimi formatami jak uniwersytet dzieci czy uniwersytet trzeciego wieku. Tyle że wobec skali możliwości i potrzeb to jedynie marne erzace.

Jeśli już padło hasło „uczenia się przez całe życie”, nie sposób nie wspomnieć o innym celu: kształtowania kompetencji, które w domyśle będą przydatne w przyszłości na rynku pracy. Ta funkcja jest najbardziej oczywista, ale jednocześnie, zwłaszcza na poziomie szkolnictwa wyższego, bywa traktowana po macoszemu. Ocena pracy nauczycieli akademickich wciąż w bardzo małym stopniu zależy bowiem od jakości dydaktyki, a i wielu studentów ma to głęboko w nosie, bo przyszli na studia po „papier”.

Co więcej, istnieje coraz powszechniejsze przekonanie, zwłaszcza w sektorze prywatnym, że absolwent ma po prostu umieć czytać i pisać; reszty i tak trzeba będzie go nauczyć w pracy, od nowa. Tym bardziej że zarówno szkoły, jak i uczelnie są instytucjami mocno oderwanymi od rzeczywistości i wbrew obietnicom, które składają swoim adeptom, nie przygotowują ich do wejścia w dorosłe życie zawodowe (zresztą w prywatne też nie – wystarczy spojrzeć na kompetencje komunikacyjne istotne choćby przy tworzeniu związków).

Wskaźniki izolacji

Jak już się wszyscy w tym połapią, ktoś w końcu zada pytanie: po co ładować miliardy publicznych środków w edukację, w tym zwłaszcza szkolnictwo wyższe, skoro przedsiębiorcy oczekują od absolwentów kompetencji z poziomu nauczania początkowego, rozszerzonych o jakiś język nowożytny? Ten cały teatr z togami, gronostajami czy uroczystymi graduacjami nie jest wyczerpnie wart aż takich pieniędzy, nawet jeśli szkoła i uniwersytet są dziś radykalnie niedofinansowane. Może to jest właśnie powód, dlaczego tak się dzieje – politycy wbrew po-

zorem to dość racjonalni ludzie, którzy muszą podejmować trudne decyzje, gdzie kierować ograniczone zasoby publiczne. Być może nie jesteśmy jeszcze tak bogaci, żeby hojną ręką finansować marną rekonstrukcję historyczną.

Cel w postaci kształcenia kompetencji nie budzi jednak kontrowersji, w przeciwieństwie do kolejnego: budowy wspólnoty narodowej i pielęgnowania jej dziedzictwa. Poprzedni rząd tak mocno, wręcz obsesyjnie akcentował ten element edukacji, że obecnie nie sposób prowadzić skutecznych działań w tym kierunku. Pamiętny podręcznik do przedmiotu „Historia i teraźniejszość” autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego został gremialnie odrzucony przez środowisko nauczycielskie i rodziców. Można było odnieść wrażenie, że im bardziej MEN przykręcał „patriotyczną” śrubę, tym bardziej odwrotne rezultaty uzyskiwał.

To jednak wcale nie oznacza, że powinniśmy sobie ten cel całkiem odpuścić. Tym bardziej że jest on powiązany z innym: budową więzi społecznych. Szkoła jest instytucją, która może łączyć ludzi reprezentujących różne grupy społeczne i uczyć ich, jak w praktyce dnia codziennego żyć w zgodzie i szacunku. Niestety, choć socjalizacja i budowa więzi społecznych mogą być nawet ważniejsze niż samo kształcenie, luźną ręką na nie machamy. Jak pokazuje OECD w ostatnim raporcie z badań PISA, jedno dziecko na pięcioro z rodzin o najniższych dochodach i najmniejszym kapitale kulturowym nie spotyka w szkole kolegów z domów o innym statusie.

Wśród uczniów pochodzących z najbardziej uprzywilejowanych rodzin, co czwarte nie ma kontaktu z mniej uprzywilejowanymi dziećmi. Ten wskaźnik „izolacji” obydwu grup wyższy niż w Polsce jest tylko w Czechach, na Słowacji, w Rumunii i na Węgrzech. Co więcej, jeśli porównamy najnowsze wyniki z poprzednią edycją PISA z 2018 r., to Polska znajduje się w grupie trzech krajów, w których szkoły najszybciej podlegają segregacji pod względem społeczno-ekonomicznym – pozostałe to Katar i Węgry.

Czy na studiach wyższych jest inaczej? Niespecjalnie, ale jest to też naturalne pokłosie procesów występujących we wcześniejszych fazach procesu edukacji. Nawet nie chodzi już o to, że matu-



MICHAŁ ZEBROWSKI / EAST NEWS

Protest studentów Uniwersytetu Warszawskiego przeciwko korporyzacji wyższych uczelni.
Warszawa, 2 października 2023 r.

cyne czy prawo na najlepszych polskich uczelniach. Z każdym rokiem rośnie bowiem odsetek uczniów, którzy po zdaniu egzaminu dojrzałości wyjeżdżają na studia za granicę. Zjawisko to raczej nie tworzy motywacji do poprawy jakości kształcenia na polskich uczelniach, bo najbardziej wpływowa politycznie grupa, czyli osoby o najwyższym statusie społeczno-ekonomicznym kompletnie nie są zainteresowane tym, co się tam dzieje. To już nie jest ich problem.

Myślenie bezkrytyczne

To wszystko ma przełożenie na zdolność systemu edukacji do realizacji ostatniego z katalogu celów: wyrównywania szans, a także promocji postaw społecznych i obywatelskich. Owszem, o nierównościach mówi się i pisze już dość dużo (nawet jeśli niewiele z tego wynika). Jednak, choć tak wielu z nas utyskuje na mowę nienawiści, skalę fake newsów czy rzeczywistość postprawdy, to rzadko pytamy wtedy o szkołę. A kto inny miałby nam dać zaawansowane kompetencje w zakresie krytycznego myślenia? Kto inny ma nas nauczyć weryfikacji informacji? Mówimy przecież o jednej z najważniejszych kompetencji przyszłości.

Tak więc debata wokół celów, funkcji i zadań edukacji albo w ogóle się nie toczy, albo dotyczy zagadnień wtórnych i trzeciorzędnych, jak choćby zadań domowych. Ktoś może mi zarzucić, że w tej analizie celów systemu edukacji niepotrzebnie mieszam szkolnictwo podstawowe i średnie ze szkolnictwem wyższym. Prawda jest jednak taka, że ten podział jest nie tylko archaiczny, ale i sztuczny. Poza funkcją opiekuńczą dla

najmłodszych dzieci, reszta celów i problemów jest zasadniczo tożsama. Czym bowiem różni się edukacja 14-latków od edukacji 22-latków? Zwłaszcza w dobie idei *lifelong learning*?

Kiedy pomyślę o swoich zajęciach na uczelni, nieraz wolałbym mieć na nich zaangażowanego i zainteresowanego ucznia klasy ósmej szkoły podstawowej niż zbłaźnionego studenta III roku. Analogicznie, nie widzę wielkiego problemu, aby na moich zajęciach obok 14-latka siedziała osoba w wieku 40+. Jeśli myślę o edukacji przyszłości, która uczy krytycznego myślenia i zdolności uczenia się, podział na poziomy edukacji traci sens. Aby to dostrzec, trzeba jednak zakwestionować paradygmat dyplomowo-statutowy i uwierzyć, że szkoła (także wyższa) to przestrzeń integralnego rozwoju człowieka.

Już dziś część rodziców wybierając szkołę podstawową uwzględnia aspekt, czy dobrze przygotuje ona dziecko do egzaminu ósmoklasisty, by potem trafić do lepszego liceum, uzyskać lepsze wyniki matury i dostać się na lepsze studia, dające lepszy dyplom. Wcale nie zdziwię się, jeśli za kilka lat do tej sztafety zaczniemy zaliczać także przedszkola, które już dziś prześcigają się w atrakcyjności oferty edukacyjnej od najmłodszych lat. Te wszystkie poziomy zaczynają się zlewać w jedno.

Nie twierdzą oczywiście, że należy całkowicie rozmontować strukturę systemu edukacji – przydaje się ona choćby z przyczyn czysto organizacyjnych. Chodzi mi jednak o to, żeby jej nie fetyszyzować, jak miało to choćby miejsce w przypadku likwidacji gimnazjów (choć tamta decyzja była wyjątkowo bezsensowna i pochłonięła mnóstwo kosztów). Tym bardziej że

niezależnie od struktury, na końcu i tak pozostaje nie zawsze wypowiedziane wprost pytanie – po co to wszystko? Czy instytucja szkoły i uniwersytetu nadal ma sens? Jeśli uznamy, że w edukacji chodzi wyłącznie o status i karierę, która i tak w dużym stopniu jest determinowana klasowym pochodzeniem, a inne cele zepchniemy na dalszy plan, to szkoła w dzisiejszej postaci przestanie istnieć z prostego powodu – kosztuje nas za dużo pieniędzy. I to niezależnie od tego, czy mówimy o szkolnictwie publicznym, czy też niepublicznym.

Koniec fiksjacji

Rosnącą świadomość takiego stanu rzeczy widać zarówno w spadającym współczynniku skolaryzacji na poziomie wyższym, jak i eksodusie dzieci do edukacji domowej, choćby w tak szybko zyskującej na popularności „Szkoła w Chmurze”. Ludzie powoli, ale jednak orientują się, że cały system edukacji skapitulował na najważniejszym odcinku integralnego rozwoju człowieka – nawet jeśli przyczyną ucieczki od szkoły jest zdecydowanie więcej. Warto jednak dodać, że także biznes powoli orientuje się, że te fasadowe dyplomy, i to nawet najlepszych uczelni, są niewiele warte. Możliwe zatem, że fiksjacja na wynikach matur, którą mogliśmy zaobserwować w ostatnich tygodniach, to agonalny zryw powszechnego systemu edukacji. Powszechnego, bo w przypadku elit za wiele się nie zmieni – one dalej będą miały swoje enklawy, tak jak i miały je tysiąc, pięćset czy sto lat temu.

Co zatem zrobić, aby przywrócić sens szkole i uniwersytetowi? Przede wszystkim na poważnie porozmawiać o tym, czego od tych instytucji oczekujemy. Zważywszy jednak na fakt, że współcześnie nie istnieje realnie przestrzeń, gdzie taka poważna rozmowa mogłaby się odbyć, same szkoły i uczelnie muszą wziąć na siebie ten obowiązek. Moja obawa dotyczy tego, że już nawet to zadanie je dziś przerasta. Warto jednak próbować, nawet jeśli problematyka jest szalenie złożona, a poruszanie się po niej – co widać także po tym tekście – bywa miotaniem się pomiędzy różnymi paradoksami. I dobrze obserwować otoczenie, bo opisane wyżej problemy nie są wyłącznie polską specyfiką. Ta dyskusja stoi bowiem, jakkolwiek górnolotnie to zabrzmiało, przed całą ludzkością. © MARCIN KĘDZERSKI



BEATA ZAWRZEŁ / REPORTER

Konwencja Koalicji Obywatelskiej pod hasłem „100 konkretów na 100 dni”. Tarnów, 9 września 2023 r.

Bez konkretów

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Koalicja 15 Października różni się od PiS dużo słabszymi tendencjami do zawłaszczania państwa w imię partyjnego interesu. Różni się też jednak mniejszą sprawczością w realizacji obietnic. Czy nie zapłaci za to wysokiej ceny?

FIASKO PRÓBY DEPENALIZACJI ABORCJI oraz niezadowolenie społeczne, jakie ona przyniosła, pokazały obecnej koalicji rządowej, że niewypełnianie wyborczych zapowiedzi może być kosztowne. I to nawet w sytuacji, gdy ustawa nie miała szans na wejście w życie z uwagi na niemal pewne weto prezydenta Andrzeja Dudy. Koalicja zdążyła już bowiem zapracować sobie na opinię formacji, która własne obietnice traktuje z dezynwolturą. Ale czy kiedykolwiek traktowała je inaczej?

Gdy we wrześniu 2023 r. na konwencji Koalicji Obywatelskiej przedstawiono program „100 konkretów na sto dni”, można było się domyśleć, iż jego realizacja jest raczej nierealna. Wielu wyborcom to nie przeszkadzało, gdyż zamknięcie epoki PiS wydawało się nadrzędnym celem. Kłopot w tym, że 75-procentowa frekwencja oznaczała, iż do lokali wyborczych poszli nie tylko zdeklarowani zwolennicy opozycji, ale też Polki i Polacy, których mogły przekonać właśnie obietnice Donalda Tuska. Ich obecne roz-

czarowanie widać już w niektórych sondażach.

Mało ważny świstek?

Prof. Andrzej Rychard, dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN uważa, że publikacja „Stu konkretów” nie była do końca przemyślana, dała bowiem oponentom i opinii publicznej instrument do ataku na nową władzę. – Moim zdaniem zabrakło w tym zestawie określenia wyraźnych priorytetów – ocenia socjolog.

Użycie w programie ówczesnych pretendentów do władzy słowa „konkret”, przy jednoczesnym zakreśleniu terminu ledwie trzech miesięcy z małym hakiem, pokazywało prawdziwy stosunek polityków do własnych, spisanych słów. Potraktowali je jak mało ważny świstek. Bo choć – jak zwraca uwagę prof. Antoni Dudek, politolog i historyk z UKSW – rzeczywistym programem obecnego rządu jest znacznie bardziej ogólnikowa umowa koalicyjna z listopada 2023 r., dziś wszyscy rozliczają władzę głównie ze „Stu konkretów”. Więcej, robi tak nawet sama Koalicja Obywatelska,

zaznaczając na swojej stronie internetowej różnymi kolorami, które z obietnic zostały spełnione, które są w fazie realizacji, a których nie ruszono.

Nie jest to obraz dla obecnej władzy korzystny. Spełnione postulaty można policzyć na palcach dwóch rąk. To m.in. pozyskanie funduszy z KPO, podwyżka dla nauczycieli, zamrożenie cen gazu, tzw. babciowe, rządowy telefon zaufania dla dzieci, miesiąc wolny od składek dla przedsiębiorców, zniesienie obowiązkowych prac domowych w podstawówkach, nowy rzecznik praw dziecka czy Ministerstwo Przemysłu na Śląsku. Część obietnic zrealizowano „na słowo honoru”, jak choćby pigułkę „dzień po” bez recepty – ustawę w tej sprawie zawetował prezydent, więc rząd wypełnił to zobowiązanie „tylnymi drzwiami”.

W niedawnej analizie Klub Jagielloński przywołał dane serwisu Demagog, z których wynika, że po stu dniach z obiecaniej setki w pełni zrealizowano tak naprawdę tylko sześć zapowiedzi, a częściowo – 15. 77 tematów nie podjęto. „Naszym zdaniem to nie kryzys, lecz rezultat. Polityka stała się po prostu odezwana od programowych obietnic i merytorycznego konkrety. Hasło »szuflady pełne ustaw« brzmi jak niezrozumiały żart z jakiejś dawno zapomnianej epoki” – komentuje w analizie prezes KJ Paweł Musiałek.

Wiele ważnych konkretów, które mogły skusić wyborców jesienią, ma w ogóle niewielkie szanse na spełnienie. Z powodu stanu finansów i grożącej Polsce unijnej procedury nadmiernego deficytu mało realne jest np. podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, druga waloryzacja rent i emerytur w przypadku inflacji wyższej niż 5 proc., zniesienie podatku Belki, podniesienie świadczeń z funduszu alimentacyjnego z 500 do 1000 zł, 0 proc. VAT na transport publiczny czy też 3 mld zł na budownictwo socjalne. Wątpliwa jest też realizacja postulatów zdrowotnych, takich jak bezpłatne znieczulenie przy porodzie, pełny dostęp do darmowych badań prenatalnych oraz zniesienie limitów NFZ w lecznictwie szpitalnym.

Z powodu braku zgody w ramach samej koalicji może być niemożliwe zniesienie zakazu handlu w niedzielę, wprowadzenie legalnej aborcji do 12. tygodnia oraz uchwalenie ustawy o związkach

partnerskich, choć ten ostatni postulat ma pewne szanse w wersji okrojonej. Z obiektywnych powodów coraz trudniejsze wydaje się też, przynajmniej dopóki prezydentem jest osoba związana z PiS, skuteczne naprawienie wymiaru sprawiedliwości, czyli reforma TK i KRS.

Podobnie jest ze zmianami w mediach publicznych, czyli likwidacją Rady Mediów Narodowych i „uspołecznieniem mediów publicznych”. Problemy, jak widać po przykładzie Marcina Romanowskiego, napotyka nawet zwykłe rozliczanie PiS, więc raczej nie ma co marzyć o zapowiadającym szumnie w „Stu konkretach” postawieniu przed Trybunałem Stanu Andrzeja Dudy, Mateusza Morawieckiego, Zbigniewa Ziobry, Jacka Sasina i Adama Glapińskiego.

Ugrzęzły również takie zapowiedzi, jak likwidacja Funduszu Kościelnego czy wprowadzenie zasady, że religia jest tylko na pierwszej i ostatniej lekcji. Niektórzy upatrują tu wpływów lobby kościelnego w bardziej konserwatywnej części rządu.

Winy jest Pałac

Jednocześnie są poważne problemy z realizacją znacznie bardziej ogólnych zapisów powyborczej umowy koalicyjnej. Jest w niej mowa m.in. o stworzeniu czytelnych kryteriów naboru do władz spółek Skarbu Państwa, ograniczeniu uprawnień służb specjalnych, likwidacji CBA czy też wprowadzeniu do Kodeksu karnego zasady ścigania z urzędu „mowy nienawiści”.

Mało tego, niektóre z zapisów każde z ugrupowań koalicyjnych rozumie inaczej. To np. „unieważnienie wyroku TK z 2020 roku” (dotyczącego aborcji) albo wprowadzenie „korzystnych i czytelnych zasad naliczania składki zdrowotnej” przedsiębiorcom.

Jakie są realne różnice w kwestiach aborcyjnych, można było ujrzyć ostatnio przy sprawie ustawy depenalizacyjnej. Odmienne zdania są też w sprawie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, którą Trzecia Droga chce obniżyć, a lewica nie ma na to ochoty. Oraz w kwestiach mieszkaniowych, bo Trzecia Droga przeciwstawia się pomysłowi KO wprowadzenia „zerowego” kredytu na mieszkanie.

Prof. Antoni Dudek zaobserwował, że koalicja rządowa tłumaczy swoją niemoc kilkoma powodami, ale głównie zrzuca

winę na prezydenta, który nie chce podpisywać ustaw. – Mnie to nie przekonuje, bo konkretne projekty ustaw dotyczące wymiaru sprawiedliwości i innych sfer powinni składać, a potem niech Duda je wetuje. Tyle że, moim zdaniem, oni nie są merytorycznie przygotowani oraz dogadani w wielu sprawach, dlatego zwalają wszystko na głowę państwa. Tak jak kiedyś Kaczyński uzasadniał rozwałkę Trybunału Konstytucyjnego, tłumacząc, że na pewno zablokuje 500 plus – ocenia politolog i dodaje: – Po wyborach prezydenckich zrobi się dramatyczny problem, bo jeśli wygra kandydat związany z obecną władzą, nie będzie już żadnych uzasadnień dla nierealizowania obietnic.

Prof. Radosław Markowski z Uniwersytetu SWPS zwraca z kolei uwagę na szereg obiektywnych ograniczeń. Po pierwsze jest nim oczywiście postawa prezydenta, zapowiadającego weta do ustaw lub ich odsyłanie do „atrasy Trybunału Konstytucyjnego”. Jego zdaniem to, że Andrzej Duda po wyborach powołał najpierw dwutygodniowy rząd Morawieckiego, spowodowało, że Koalicja 15 Października zaczęła swoje rządy w praktyce po nowym roku. Ponadto, jak dodaje Markowski, przez ostatnich 8 lat mieliśmy do czynienia z PiS-owskim „państwem bezprawia”, którego naprawienie wymaga czasu i angażuje siły. Wreszcie, przypomina, wiosną były dwie kampanie wyborcze, które też miały swoją logikę i wpływ na implementację różnych pomysłów. – Obecną władzę można rozliczać ze spokojnej realizacji programu właściwie dopiero od miesiąca – ocenia prof. Markowski. – Co nie znaczy, że pewnych rzeczy nie można by robić szybciej – przyznaje.

Sprawczy jak PiS

Niemniej swobodny stosunek obecnej ekipy rządzącej do własnych obietnic odróżnia ją od PiS. Ta formacja, przynajmniej w społecznym odbiorze, zapowiedzi wyborcze realizowała. Przede wszystkim najważniejszy dla jej zwolenników postulat „500 plus”, co spowodowało, że potem bardziej przez palce patrzyli oni na to, jak wiele obietnic pozostało na papierze. Na czele z szumnie zapowiadanim programem „Mieszkanie plus”. PiS-owi nie zaszkodziło też we własnym elektoracie fiasko „Polskiego Ładu”. Negatywne konsekwencje na wsi miała →

→ na pewno „piątka dla zwierząt”, z której jednak formacja Kaczyńskiego w porę się wycofała.

W tym kontekście Radosław Markowski zauważa, że PiS realizując obietnice, kierował się nieodpowiedzialnością budżetową. – To jest populistyczna partia, która swoich wyborców chciała przekupywać, nie troszcząc się długoterminowo o finanse publiczne. Wyprowadzenie 400 miliardów poza budżet, których nikt nie może znaleźć, nie jest odpowiedzialnością wobec państwa. Dla tego elektoratu dane statystyczne nie są główną troską, ważniejsze jest to, co się wydobywa z ust prezesa – ocenia. Tymczasem elektorat obecnej władzy tworzą ludzie zazwyczaj lepiej wykształceni, w tym przedsiębiorcy, dla których odpowiedzialna polityka gospodarcza jest wartością.

Czy jednak brak realizacji obietnic przez obecną ekipę nie będzie miał dla niej negatywnych skutków? Czy wpłynie na wynik wyborów prezydenckich i parlamentarnych?

Antoni Dudek przypomina, że w tych najbliższych, prezydenckich, brak realizacji zapowiedzi programowych KO ma mniejsze znaczenie. Ma je natomiast poziom ogólnego zadowolenia Polaków z sytuacji ekonomicznej w kraju. – Wybory prezydenckie staną się częściowo oceną rządu. PiS-owski kandydat na prezydenta będzie nieustannie mówił, że Tusk i jego pomagierzy obiecywali podwojenie kwoty wolnej od podatku czy inne rzeczy, i tego nie dotrzymali. Jeśli ludzie będą generalnie niezadowoleni ze swej sytuacji materialnej, trafi to do nich. Natomiast jeśli będą zadowoleni, nie kupią tej narracji – mówi politolog. Jego zdaniem, gdyby wybory prezydenckie odbywały się dziś, kandydat PiS miałby jeszcze niewielkie szanse.

Z kolei Andrzej Rychard uważa, że polska polityka jest mocno obciążona emocjami wywołanymi polaryzacją. To nieco uodparnia główne ugrupowania na problem braku realizacji zapowiedzi programowych. Zarazem jednak istnieją bardziej niecierpliwe grupy społeczne, dla których rozczarowania mogą być silniejsze niż to, co skłonni są uznać za sukcesy. Do takich zawiedzionych środowisk, uważa Rychard, należą np. kobiety, których zdecydowana większość oczekiwała szybkich zmian w prawie aborcyjnym. – Szczególnie trudny paradoks

Zdaniem prof. Antoniego Dudka obecna ekipa nie jest merytorycznie przygotowana do wielu spraw, dlatego zwala wszystko na prezydenta.

Tak jak kiedyś Kaczyński na Trybunał Konstytucyjny.

dla koalicji polega na tym, że największe rozczarowania są w środowiskach, które w dużym stopniu przyczyniły się do zwycięstwa 15 października, czyli wśród osób młodych. Komunikat w rodzaju: każdego dnia odkrywamy nowe złe rzeczy, które uczyniło Prawo i Sprawiedliwość, z dużym trudem się do takich środowisk przebija – sądzi socjolog, w którego opinii obecna sytuacja niepokoi wyborców koalicji rządzącej, zwłaszcza jeśli jednocześnie widzą oni pewne elementy ciągłości z epoką PiS. – Jeżeli minister nauki Dariusz Wieczorek z lewicy przygotowuje nowy projekt ustawy o PAN, który całkowicie ją podporządkowuje władzy i czyni właściwie departamentem ministerstwa, to taki ruch, niszczący niezależność ważnej instytucji, jest ruchem w stylu PiS-owskim – mówi dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

Rządzącym brakuje motywacji do realizacji obietnic także dlatego, że – tak sądzi Antoni Dudek – premier Donald Tusk nie popędza podwładnych, ale koncentruje się na rozliczaniu PiS i poganianiu Adama Bodnara. Premier i jego ekipa nigdy nie słynęli z zapału we wprowadzaniu poważnych zmian, a przez lata obowiązywała ideologia „cieplej wody w kranie”. Gdy zaś zdecydowali się na poważną reformę i podwyższyli wiek emerytalny, PO przegrała wybory. – Nie spodziewam się po premierze żadnych zmian – przewiduje.

Nie tylko rozliczenia

Jeśli obecna władza nie chce, by jej polityka przyniosła negatywne skutki polityczne, powinna uporać się z dwoma problemami. – Pierwszy polega na tym, że stwarza się wrażenie, iż wszystko, co PiS nabroili, da się rozliczyć na sali sądowej. To jest nieprawda, choć rozliczenia

prawne są oczywiście koniecznością – uważa Andrzej Rychard. – PiS oprócz tego, że niejednokrotnie złamał podczas swoich rządów prawo, uczynił też wiele zła, które nie ma charakteru kryminalnego, tylko instytucjonalny. Popsuł procedury, zbudował różne praktyki promujące konformizm – mówi Rychard. Stąd, jego zdaniem, proces przywracania demokracji w Polsce nie powinien koncentrować się tylko na rozliczeniach o charakterze kryminalnym, ale też na działaniach politycznych i naprawie instytucji.

Drugi problem to wyodrębnienie najważniejszych postulatów programowych, na których realizację położyć się nacisk, by nie było wrażenia, że wszystkie „konkrety” są tak samo ważne, na dodatek przysłonięte rozliczeniami epoki PiS. Jeżeli tej części pozytywnej nie będzie, uważa socjolog, każda ewentualna wpadka w warstwie kryminalno-prawnej będzie uzyskiwała dodatkowe znaczenie.

Radosław Markowski uważa z kolei, że na konsekwencje polityczne dla obecnej władzy będą miały wpływ sprawy od niej niezależne: sytuacja geopolityczna, stan Unii Europejskiej, wojna na Ukrainie, a także to, kto zostanie prezydentem USA.

Podobnie sądzi Antoni Dudek. – Nie-realizowanie obietnic na razie nie powinno przynieść koalicji politycznych strat. Zacznie się to dynamicznie zmieniać z początkiem przyszłego roku, gdy ruszy kampania prezydencka, zwłaszcza jeśli zmieni się też sytuacja geopolityczna – ocenia politolog. W jego opinii pomysł Tuska na rządzenie w tej kadencji polega na tym, by rozliczać PiS oraz straszyć, że stoimy na progu wojny. – Dlatego problemem dla obecnej władzy będzie nie tylko zmiana prezydenta u nas, ale i kwestia zawieszenia broni na rosyjsko-ukraińskim froncie. Potem trzeba będzie już wymyślić nową metodę uprawiania polityki – uważa politolog.

Z kolei prof. Przemysław Sadura z Uniwersytetu Warszawskiego sformułował w TVN24 tezę, że jeżeli po wygranych wyborach prezydenckich koalicja rządząca nie przeforsuje liberalizacji aborcji, po prostu się rozpadnie. Nasi rozmówcy również dopuszczają taki scenariusz. Wtedy kwestia „stu konkratów” przestanie być w ogóle ważna.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



Poszukiwacze ORP „Orzeł” podczas analizy obrazu z echosondy.

Orła cień

MAREK RABIJ

Gdyby ten wrak był legendą marynarki holenderskiej, szukałby go cały kraj. ORP „Orzeł” pływał jednak pod banderą państwa, którego historia toczy się na lądzie. Dlatego za własne pieniądze poszukuje go garstka zapaleńców.

PRZEŁOM LAT 60. I 70. ZESZŁEGO WIEKU. Kilkuletni wówczas Tomasz Stachura spaceruje z rodzicami nadbrzeżem portowym w Gdyni. Ojciec mówi coś o zacumowanych statkach. Mama palcem wskazuje na jednostki mające dalej na horyzoncie, ale chłopiec patrzy gdzie indziej. – To jedno z moich pierwszych wspomnień, ale wyraźnie pamiętam, że gapiłem się w wodę – wspomina. – Już wtedy towarzyszyło mi poczucie, że jej lustro wyznacza jedynie granicę znanego nam świata, za którą rozciąga się inny, bardziej interesujący od tego na powierzchni.

Rok 2013. Tomasz Stachura – już doświadczony pletwonurek, znany eksplorator bałtyckich wraków i zarazem właściciel prężnej firmy produkującej skafandry nurkowe – przegląda wiadomości. Jeden z artykułów donosi o fiasku wojskowej misji, która wyruszyła na Morze Północne w poszukiwaniu słynnego okrętu podwodnego ORP „Orzeł”. Jesienią 1939 r. o brawurowej ucieczce polskiej jednostki z Tallina, gdzie załódze skonfiskowano mapy, mówiły media w całej nieogarniętej jeszcze wojną Europie. Bez kapitana, który został w estońskim szpitalu i praktycznie bez nowoczesnej nawigacji, złożona z młodziutkich marynarzy załoga zdołała przebić się aż do Szkocji, zaciekle ścigana po drodze przez połowę bałtyckiej obsady Kriegsmarine.

23 maja 1940 r. ORP „Orzeł” z 63 osobami na pokładzie wyszedł z portu w szkockim Rosyth na patrol bojowy. Osiągnięcie wyznaczonej pozycji w sektorze A3 pośrodku Morza Północnego załoga miała wedle niektórych źródeł potwierdzić nazajutrz zaszyfrowanym radiogramem. Na wysłany 1 czerwca rozkaz przejścia do sąsiedniego sektora A1 już nie odpowiedziała. Bez odzewu pozostało także wydane 6 czerwca polecenie powrotu do portu.

11 czerwca 1940 r. kontradmirał Jerzy Świrski, szef kierownictwa Marynarki Wojennej podpisał komunikat, w którym stwierdził, że „z powodu braku jakichkolwiek wiadomości i niepowró-

cenia z patrolu w określonym terminie – okręt podwodny Rzeczypospolitej Polskiej »Orzeł« uważać należy za stracony”.

Tomasz Stachura: – Jak każdy chłopak urodzony za PRL-u, legendę „Orła” znałem niemal na pamięć. O jego zaginięciu od zawsze dużo mówiło się także w środowisku eksploratorów bałtyckich wraków, w którym obracałem się od lat 80., jednak nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego go nie odnaleziono. Wydawało mi się naturalne, że powinno na tym zależeć państwu polskiemu. Czytając tamte wiadomości, przeżyłem więc coś na kształt szoku. Okazało się, że polska marynarka wojenna po zaledwie jednej próbie nie planuje wznowienia poszukiwań. Rzuciłem temat naszej grupie poszukiwaczy wraków, wypłaciłem pieniądze z konta i wyruszyliśmy do Szkocji. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, że dziesięć lat później nie tylko nie będę wiedzieć, gdzie spoczywa „Orzeł”, ale że nawet nie będę mieć pomysłu, gdzie jeszcze poszukać, tobym go wyśmiał. Tymczasem na koncie mamy już dziesięć ekspedycji i żadna nie zbliżyła nas do odpowiedzi na pytanie, gdzie okręt zakończył szlak bojowy. Dlatego w tym roku nie popłyniemy. Od zeszłorocznej wyprawy nie natrafiłszy na żaden nowy trop wart sprawdzenia na morzu.

Bratni ogień, stary olej

Poszukiwanie szczątków 84-metrowej jednostki na obszarze półtora raza większym od całego Bałtyku może się

→ wydawać zadaniem z góry skazanym na niepowodzenie. W rzeczywistości Morze Północne – zwłaszcza tzw. obszar A3, który wiosną 1940 r. miał patrolować ORP „Orzeł” – to wody stosunkowo płytkie i od dawna dobrze rozpoznane. Doskonałym źródłem informacji są zwłaszcza rybacy, którzy woła nie tracić sieci na przeszkodach na dnie i każdy napotkany zaczep z pieczętówką nanoszą na swoje mapy. Konsultacje z szypkami kuterów to podstawa warsztatu poszukiwaczy wraków i w Polsce, i w Szkocji.

Plan, z którym Stachura z ekipą ruszyli do Szkocji w 2014 r., zakładał jednak weryfikację hipotezy dr. Huberta Jandy, który w oparciu o brytyjskie i niemieckie dokumenty podejrzewał, że polski okręt został omyłkowo zbombardowany przez brytyjskie lotnictwo. W archiwach RAF historyk natrafił na informację, że około ósmej rano 3 czerwca 1940 r. załoga maszyny Lockheed Hudson z 224. dywizjonu w Leuchars dokonała skutecznego ataku na okręt podwodny (po akcji piloci zauważyli plamę ropy na powierzchni). Brytyjczycy byli przekonani, że zatopili U-Boot, z analizy danych o ruchu niemieckich sił morskich wynikało jednak, że tego dnia na podanej przez lotników pozycji nie mógł się znajdować żaden okręt podwodny Kriegsmarine. Miejsce ataku było oddalone o ponad 100 mil morskich także od pozycji wyznaczonych w pierwotnym rozkazie załozge „Orla”. Czyżby – jak przypuszczał Jando – polski okręt znalazł się w feralnym miejscu wskutek nieujawnionych do dziś tajnych rozkazów dowództwa brytyjskiego, które wyznaczyło mu inne zadanie? Polski historyk postawił taką hipotezę w oparciu o archiwum niemieckiego kontrwywiadu, w których zachowała się informacja, że nad ranem 3 czerwca 1940 r. sektor A1 rzeczywiście opuszczał aliancki okręt podwodny.

– Ze wszystkich hipotez ta wydawała nam się najbardziej prawdopodobna – tłumaczy Tomasz Stachura. – Inne, mówiące choćby o wejściu na minę lub

zbombardowaniu przez niemiecki samolot, albo miały słabe umocowanie w źródłach, albo były po prostu nieprzekonujące. Uważałem i nadal uważam, że „Orzeł” musiał zatonąć najpóźniej kilka dni po wyjściu z portu. Jego zadanie polegało głównie na obserwacji jednostek niemieckich i przekazywaniu takich danych dowództwu. Gdyby doszło do awarii radiostacji, jak chce część badaczy, okręt zawróciłby do portu.

Na pokładzie wynajętego kutra rybackiego Stachura z towarzyszami wyszedł w morze. – I kilka kolejnych dni spędziliśmy dosłownie rzygając na zmianę za burtę – wspomina. – A przecież w wyprawie udział brali sami doświadczeni pływaczurkowie i marynarze, dla których choroba morska to nie problem. Coś mi nie grało, bo sam czułem się zbyt fatalnie jak na warunki, które zastaliśmy na morzu. Wróciliśmy więc do portu, po czym okazało się, że załatwił nas wynajęty na miejscu kucharz, który przygotowywał nam posiłki na starym oleju.

Znikające punkty

W 2015 r. wyposażeni w lepszy sprzęt i żywność poszukiwacze wracają w miejsce przebadane rok wcześniej. Nie natrafiają na „Orla”.

Rok później ekspedycja kieruje się do Holandii, dla sprawdzenia hipotezy, że jednostka zaginęła podczas ataku przeprowadzonego przez niemiecki okręt Schnellboot S13 w okolicy portu Den Helder. Znowu pułd.

W 2017 r. ekipa ponownie wraca na miejsce zbadane w 2014 i 2015 r., ale rozszerza obszar poszukiwań. Natrafiają na wrak o wymiarach zbliżonych do „Orla”, podwodne oględziny wraz z analizą archiwów uzmysławiają im jednak, że odnaleźli szczątki brytyjskiego okrętu HMS Narwhal, który zaginął kilka tygodni po polskiej jednostce.

Kolejna wyprawa w 2018 r. odbywa się w dwóch turach. Za pierwszym razem warunki na morzu uniemożliwiają poszukiwania. W drugim podejściu zespół sprawdza 43 pozycje w środkowej i wschodniej części Morza Północnego, przepływając w tym czasie 1162 km. Odnajduje aż 16 nieznanych dotychczas wraków, żaden nie jest jednak tym poszukiwanym.

W 2019 r. badania koncentrują się na obszarze A3, w którym „Orzeł” miał działać zgodnie z pierwszym rozkazem. Osiem dni

na pełnym morzu, blisko dwa tysiące pokonanych kilometrów, dziesiątki godzin pod wodą i aż 183 przebadane pozycje, z których 83 okazują się nieznanymi dotąd wrakami. Śladów „Orla” – znów brak.

Rok 2020. Na pokładzie profesjonalnej jednostki do prac podwodnych poszukiwacze weryfikują hipotezę o tym, że polski okręt zatonął po omyłkowym wejściu na brytyjskie pole minowe. W pewnym momencie członkom ekipy serca zaczynają bić zjawiej: na ekranach echosondy pojawia się obiekt o kształcie i rozmiarach odpowiadających ORP „Orzeł”. Na dno schodzi robot, jednak analiza zdjęć wykazuje, że odnaleziony wrak to zatopiony w 1918 r. brytyjski okręt podwodny L10. Zaledwie 160 metrów dalej poszukiwacze natrafiają na dnie na szczątki niemieckiego torpedowca S34, z którym brytyjczycy marynarze stoczyli zapewne ostatnią potyczkę.

– W zeszłym roku, po przerwie wymuszonej pandemią, wyruszyliśmy sprawdzić jeszcze jeden trop – mówi Stachura. – Część badaczy przypuszcza, że pozbawiony kontaktu z dowództwem „Orzeł” mógł odejść daleko na wschód, w pobliże wybrzeża Danii, żeby obserwować stamtąd ruch niemieckich jednostek. Następnie mógł wylecieć na minie. Przebadałszy aż 149 potencjalnych lokalizacji, które podsunęli nam rybacy oraz zaprzyjaźnieni badacze wraków Morza Północnego. Zidentyfikowaliśmy kilka okrętów podwodnych i jeden pancernik. „Orzeł” pozostaje nieuchwytny. Z listy hipotez dotyczących jego losów skreśliłem już, jako sprawdzone, te najbardziej prawdopodobne i te trudniejsze do przyjęcia, choć możliwe. Wynajęliśmy zawodowych archiwistów, którzy na nasze zlecenie kopali w niemieckich i angielskich archiwach. Utrzymujemy kontakty z miejscowymi rybakami i poszukiwaczami wraków. Na razie nie wpadło nam do ręki nic, co mogłoby pchnąć poszukiwania w nowym kierunku, dlatego wstrzymaliśmy prace na morzu.

Mail od Ballarda

Firma Stachury radzi sobie dostatecznie dobrze, by w pojedynkę ponieść koszty poszukiwań. Pojawili się też inni sponsorzy gotowi wesprzeć poszukiwania wraku najsłynniejszego polskiego okrętu. Za historycznie wzmożonych rządów PiS zgłosił się nawet Lotos z propozycją



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

hojnego dofinansowania. Skończyło się na tym, że statek, na którego pokładzie ekipa miała ruszyć w morze, został tylko do pełna zatankowany przez gdańską firmę. – Zadzwoń, grzecznie wyjaśniłem, że nie możemy zamienić wyprawy w przedsięwzięcie promujące markę Lotosu, i o dziwo spotkałem się z pełnym zrozumieniem – uśmiecha się Stachura.

Legenda „Orla” sprawia, że na dalszy plan schodzą osobiste animozje czy polityczne resentymenty. Nieznani pasjonaci historii piszą do prowadzącej dziś projekt fundacji „Santi. Odnaleźć Orla” z informacjami mogącymi pomóc w poszukiwaniach. Do kolejnych wyjść w morze zgłasza się więcej doświadczonych nurków i hydrogeologów niż potrzeba – mimo że za kilka tygodni na morzu nikt nie dostaje wynagrodzenia. Gert Normann, bodaj największy ekspert od wraków Morza Północnego, udostępnił polskiej ekipie swoją bazę danych o obiektach na dnie. W sprawie współpracy pisał nawet Robert Ballard, legendarny odkrywca wraku Titanica. – Miło się nam zrobiło, ale nic by nam to nie dało poza rozgłośm, a na tym akurat nam nie zależy – zapewnia Tomasz Stachura. – Każdy z nas ma oczywiście osobistą motywację, ale dzielimy przekonanie, że pracujemy z delikatną materią.

Nie chodzi tylko o stan obiektów pod wodą. Wrak na dnie to niekiedy tylko fragmenty drewna lub stali rozsiane na powierzchni boiska piłkarskiego. Na identyfikację pozwalają wówczas charakterystyczne elementy konstrukcyjne, detale wykończenia, czasem charakterystyczny ładunek. Inne jednostki siadają jednak na dnie w niemal nienaruszonym stanie, zapewniając wrażenie obcowania z przybysem z innej epoki, kiedy wąski snop latarki po raz pierwszy wyławia je z podmorskich ciemności. Często towarzyszy temu dojmująca świadomość, że wizytuje się miejsce, w którym na wieki spoczął nie tylko statek.

Stachura do dziś nie potrafi opanować emocji, wspominając pierwsze spotkanie z „Karlsruhe”, wrakiem niewielkiego statku handlowego, który 11 kwietnia 1945 r. wyszedł z Królewca jako ostatnia jednostka uczestnicząca w operacji „Hannibal”, morskiej ewakuacji ponad dwóch milionów mieszkańców ówczesnych Prus Wschodnich.

Na pokładzie 66-metrowego statku znajdowało się 150 żołnierzy pułku „Her-



ARCHIWUM PRYWATNE

Tomasz Stachura, pletwonurek, pomysłodawca ekspedycji.

man Göring”, 25 robotników kolejowych oraz 888 uchodźców. Wraz z załogą – łącznie 1083 osoby. Nad ranem 13 kwietnia wypatrzyły go radzieckie samoloty. Zbombardowany „Karlsruhe” zatonął w ciągu trzech minut wraz z całym ładunkiem. Ocalało jedynie około stu osób, które nie były jednak w stanie wskazać precyzyjnego miejsca ataku. Dokładnych wskazówek nie dostarczyły też dane z radzieckich i niemieckich archiwów wojskowych.

– Na każde nurkowanie do niezidentyfikowanego wraku ruszamy z czymś w rodzaju instrukcji, które przygotowuje nam Tomasz Zwara, członek naszej ekipy specjalizujący się w historii marynistyki. Płynąc na pozycję, która potem okazała się wrakiem „Karlsruhe”, również mieliśmy takie dossier – wyjaśnia Stachura. – Tomek dołączył do niego relację ocalałego chłopca, który wspominał, że na dziobie statku stała niewielka ciężarówka. Kiedy na „Karlsruhe” spadły radzieckie bomby, zapadł się pokład i samochód na oczach chłopaka wleciał do ładowni. Dopływamy na pozycję, wskakujemy do wody, schodzimy na dno, w głowie mam jeszcze tamten opis. Przy dnie trafiam na silny prąd, a na głębokości ponad 80 metrów walka z nim może doprowadzić do hiperwentylacji, czyli tak naprawdę uduszenia się, mimo że w butlach jest gaz oddechowy. Próbuje schować się przed prądem, w części dziobowej wraku znajduję dziurę w kadłubie, wchodzę do niej, zaglądam do środka – i widzę świat-

nie zachowaną ciężarówkę! Poczułem, jakbym w ciągu sekundy odbył podróż w czasie do kwietnia 1945 r.

Zamknąć historię

Jak będzie wyglądać „Orzeł”, kiedy po dekadach na dnie znów padnie na niego światło? Wody Morza Północnego nie są tak łaskawe dla wraków jak Bałtyk. Metalowy kadłub „Orla” – jeśli tylko okręt nie eksplodował pod wodą – powinien być jednak zachowany w stanie lepszym od większości jednostek, które zatonięły w trakcie II wojny światowej. W przeciwieństwie do niemieckich U-Bootów z końca wojny, które na zlecenie Kriegsmarine budowano w dużych ilościach, polski okręt konstruowano z naciskiem na jakość. Kadłub nie był nitowany, lecz spawany, co w tamtych czasach stanowiło technologiczną ciekawostkę. Wręgi, czyli jego ożebrowanie, wyprowadzono na zewnątrz dla zapewnienia większej przestronności w środku, co również było rzadkim rozwiązaniem. Nietypową na owe czasy konstrukcję miał także kiosk „Orla” i klapy wyrzutni torped.

– Jeśli okręt się rozpadł, te elementy powinny pomóc w identyfikacji – podkreśla Stachura. – Wiemy, że na dziobie z odlanych z brązu liter ułożono jego imię, ale wiadomo też, że zdejmowano je lub zamalowywano, kiedy okręt wychodził na misję bojową. Możliwe więc, że ich tam nie będzie.

W gruncie rzeczy – jak mówi – nie to będzie jednak najważniejsze. Odnalezienie miejsca ostatecznego spoczynku „Orla” w pewnym sensie zaszkodzi wręcz jego awanturniczej legendzie, na którą składa się i brawurowa ucieczka okrętu z Tallina, i szalona eskapada po omacku przez Bałtyk oraz Morze Północne, i wreszcie tajemnica jego ostatniej misji.

– Mnie od lat dźwigiły w pamięci rozmowa z krewnym jednego z marynarzy z „Orla” – mówi Stachura. – Zadzwoń, z pytaniem o detale i wtedy ten starszy już człowiek powiedział, że czekał na ten telefon od 70 lat. Wtedy dotarło do mnie, że rodzinami ludzi, którzy jako jedni z nielicznych zapisali się chlubnie w naszej historii pełniąc służbę na morzu, państwo polskie nigdy się nawet nie zainteresowało. Zamykając historię „Orla” opowieścią o jego ostatniej godzinie, oddamy więc honor również im.

© P MAREK RABIJ



WIARA

ZWIERZĘTA, NASI BRACIA

ŁUKASZ KWIATEK, POPULARYZATOR NAUKI I PIOTR POPIOŁEK, TEOLOG

Jeśli tylko człowiek ma wolną wolę, to tylko on może się świadomie odwrócić od Boga. Stworzenia tego nie potrafią, dlatego ich zbawienie jest nawet bardziej pewne niż u ludzi. A Bóg pragnie, by całe stworzenie wróciło do Niego.



VLADIMIR VORONIN / AP / EAST NEWS

Wioska Tash-Dyoboy koło Biszkeku, Kirgistan,
październik 2020 r.

ARTUR SPORNIAK: Według prof. Jerzego Bralczyka psy, koty czy szympansy zdychają. A Wy jak mówicie o śmierci zwierząt?

PIOTR POPIOŁEK: W angielskim używa się tego samego czasownika: „to die”. Zdaje się, że „zdychać” wywodzi się ze staropolskiego „oddać dech” czy „ducha” i dawniej nie miało pejoratywnych konotacji. Obecnie takich nabrało. Rzeczownik z kolei jest tylko jeden i dla ludzi, i dla zwierząt: na końcu życia spotka nas

wszystkich śmierć. Przyzwyczailiśmy się jednak rozróżniać, mówiąc, że zwierzęta zdychają, i sugerując, że to jakoś mniej godna śmierć.

Więc jak mówisz?

PP: Kiedy mojego kota potracił samochód, mówiłem, że mój kot umarł albo wręcz że został zabity przez nieuwważnego kierowcę. To oddawało moje emocje i przywiązanie. Często spotykam się z tym, że ktoś mówi, iż jego zwierzę umiera, a jakiś obce zdechło. Jak rozmawiam z kolei z moimi kilkuletnimi dziećmi, to w odniesieniu do zwierząt nie posługują się terminem zdechł, tylko zawsze umarł.

A Ty, Łukaszu?

ŁUKASZ KWIATEK: Mówię, że zwierzęta umierają, ale określenie „zdychają” nie oburza mnie. Każdy ma swój własny sposób posługiwania się językiem, swój idiolekt. Rozumiem jednak, skąd się bierze całe to zamieszanie. Określenie „zdechł” w dzisiejszych czasach może świadczyć o jakimś braku wrażliwości w stosunku do zwierząt.

PP: Niektórzy celowo go używają.

Przyznam, mam pewien kłopot z mówieniem, że zwierzę umarło. Chyba dlatego, że kultura, a zwłaszcza religia silnie wdrukowały mi w głowę różnicę między zwierzęciem a człowiekiem. Mówiąc o psie „umarł”, czuję się trochę winny, że zrównuję go z człowiekiem. Czy ta różnica rzeczywiście jest taka ważna?

ŁK: Ta różnica istnieje, bo to my odwieczamy zwierzęta w ogrodach zoologicznych, a nie one nas. Ale ona rzeczywiście w ostatnich kilkudziesięciu latach coraz bardziej się zaciera. Filozofowie są tym bardzo podekscytowani – teolodzy może powinni być nieco zaniepokojeni. Tradycyjnie do kategorii odróżniających nas od zwierząt zalicza się przede wszystkim język, świadomość, posługiwanie się narzędziami, emocje moralne. Także umiejętność współpracy. Ale gdy mówimy o posługiwaniu się narzędziami czy używaniu języka, to dzisiaj wiemy, że sprawa nie jest tak zero-jedynkowa. Zwierzęta też wytwarzają narzędzia. Szympansy przygotowują dzidy, by polować na żyjące w dziuplach małpiatki. Narzędziami posługują się też ptaki. I to w swoim na-

turalnym środowisku, bo podczas eksperymentów wiele zwierząt jest w stanie się tego nauczyć, gdy stworzymy sytuację, w której zwierzę musi posłużyć się jakimś narzędziem, żeby wydostać ukrytą nagrodę.

Z językiem jest podobnie. Do niedawna wydawało się, że istnieje przepaść między ludzkim językiem a sposobami komunikacji zwierząt. Dzisiaj zaś tworzą się takie dyscypliny, jak np. małpie językoznawstwo, które narzędziami tradycyjnego ludzkiego językoznawstwa bada zjawiska komunikacyjne występujące u małp. Identyfikuje się np. składnię. Wiemy też, że np. delfiny czy słonie posługują się imionami – mają wokalizacje specyficzne dla konkretnego osobnika. Pewna gramatyka, o której jeszcze mało wiemy, leży u podłoża komunikacji szympansov czy delfinów.

Są też badania pokazujące, że zwierzęta potrafią posługiwać się jakąś formą racjonalności, czyli że stosują najprostsze syllogizmy logiczne. Np. pies widzi, że w jednym z dwóch kubków jest nagroda. Jeśli którymś z nich potrząsamy i nie wydaje on dźwięków, to pies wie, że nagroda jest w drugim. Więc metafizyczna przepaść, o której pisał Kartezjusz, nie jest tak duża, jak się nam do niedawna wydawało.

Wiemy też, że zwierzęta specyficznie reagują na śmierć innych osobników – zwłaszcza ich bliskich.

Są jakieś elementy religii u zwierząt?

ŁK: By mówić o religii, trzeba by zidentyfikować jeszcze jakieś rytuały, także myślenia o własnej śmiertelności. Tu chodzi raczej o sygnały przypominające przeżywanie żałoby, np. zwierzęta mogą zachowywać się trochę destrukcyjnie dla siebie – przestają jeść, stają się apatyczne. Nie wiemy, co jest podstawą takich zachowań. Czy tylko przeżywanie braku obecności zmarłego osobnika, czy za tym się kryje jakaś forma refleksji, że już nigdy się nie spotkają?

PP: Podobne zachowanie obserwowałem na własne oczy. Nasz kot i kotka mojej szwagierki to było rodzeństwo, które mieszkało razem od urodzenia. Gdy nasz kot w wieku dwóch lat został zabity przez samochód, kotka wpadła w depresję. Przestała wychodzić, nie chciała się bawić, zaczęła tyć.

Widziała śmierć brata?



→ **PP:** Nie, nie widziała. Dlatego czekała na niego w oknie. Tęskniła.

ŁK: Gdybym miał wskazać na to, co jest nieosiągalne dla innych zwierząt, to na pierwszym planie mogłyby się znaleźć jakieś emocje moralne. Np. poczucie winy.

Ale zdaje się, że wstyd odczuwają.

To widać po zachowaniu psa, kiedy zrobi coś, o czym wie, że nie powinien...

ŁK: To może być też strach przed karą. Ale pamiętam doniesienia ludzi, którzy zajmowali się badaniem małp, trzymając je w domu. Gdy małpa ugryzła kogoś, wykazywała potem empatię w stosunku do tej osoby. Próbowala np. tę ranę jakoś opatrzyć, całowała ją. Więc tam może był jakiś element żalu.

Nawet zadośćuczynienia.

ŁK: To może być jednak nasza antropomorfizacja zwierzęcego zachowania. Bo to mógł być objaw empatii, ale niekoniecznie wsparty refleksją nad własnym zachowaniem. Ludzie są zdolni do takiej refleksji, oczywiście nie wszyscy: niemowlę nie będzie się zastanawiać nad swoim postępowaniem, podobnie osoby psychopatyczne. Więc to nie będzie kryterium całkowicie różnicujące wszystkie zwierzęta na ludzi i nie ludzi. W każdym razie być może najbardziej ludzkie zachowania i przeżycia są związane z językiem, bo on daje nam narzędzia do formułowania złożonych myśli.

I to wyróżnia nas od zwierząt?

ŁK: Wydaje mi się, że tak, aczkolwiek to nie jest różnica metafizyczna – raczej różnica stopnia. Były podejmowane próby

nauczenia małp posługiwania się językiem symbolicznym. Małpy były w stanie komunikować się za pomocą setek czy nawet więcej różnych symboli i łączyć je w pewne kilkuelementowe wypowiedzi. Gdybyśmy obserwowali grupę małp, które potrafią się komunikować z sobą symbolicznym językiem, to być może one albo kolejne pokolenia nauczyłyby się tworzyć coraz bardziej zaawansowane pojęcia i wyrażać nimi swoje coraz bardziej zaawansowane myśli. Zaszłaby u nich ewolucja kulturowa. Przerwano jednak te eksperymenty, bo spotkały się z wielostronną krytyką. Były kosztowne, bardzo powolne, a badaczy oskarżano np. o nadużycia wobec zwierząt, a także o antropomorfizowanie ich zachowań.

Zdajemy więc sobie sprawę, że różnica między człowiekiem a zwierzęciem wcale nie jest taka wyraźna, a w teologii ona jest wciąż ważna. Dlaczego?

PP: Najpierw spójrzmy na takie potoczne odczytywania Biblii. Już w Księdze Rodzaju czytamy, że zwierzęta stworzone przez Boga zostały po to, by służyć człowiekowi. On ma nad nimi panować. I nie ma tutaj w zasadzie żadnego etycznego zobowiązania człowieka wobec zwierząt. Przykazania nic o tym nie mówią. Nie ma zakazu np. zadawania im cierpienia. Za to są przepisy rytualne, jak składać ofiary ze zwierząt. W Starym Testamencie nie znajdziemy zatem żadnego uniwersalnego wzorca postępowania względem zwierząt.

Dla Ojców Kościoła jednym z elementów podobieństwa człowieka do Boga jest właśnie panowanie nad całym stworze-

niem, w tym nad zwierzętami. Człowiek ma czynić sobie świat poddanym. Po wygnaniu z raju musi uprawiać ziemię, zdobywać z trudem pożywienie. Co oznacza, że wprężenie zwierzęta do swojej pracy.

Jednocześnie są tradycje żydowskie i starożytne chrześcijańskie, które mówią, że przed upadkiem człowiek w raju nie musiał jeść mięsa i to był stan właściwy.

Jedzenie mięsa to skutek grzechu pierworodnego?

PP: W tych tradycjach tak. Na razie mówiłem w perspektywie stworzenia, że mamy łańcuch bytów podporządkowanych człowiekowi, a człowiek jest podległy Bogu. Ale w tradycji chrześcijańskiej jest też perspektywa eschatologiczna wskazująca, do czego wszystko zmierza, i soteriologiczna, mówiąca o zbawieniu po śmierci: jak będzie wyglądał świat, stworzenie po tym, gdy dzieło zbawcze w historii zbawienia się dopełni. I stąd argumenty na rzecz zwierząt łatwiej da się wywieść.

Ale w Katechizmie Kościoła Katolickiego dominuje perspektywa stworzenia: „Zwierzęta, jak również rośliny i byty nieożywione, są z natury przeznaczone dla dobra wspólnego ludzkości”, a „niepotrzebne zadawanie cierpienia zwierzętom lub ich zabijanie” nie jest złe samo w sobie, tylko jest „sprzeczne z godnością ludzką”. Zwierzęta nie mają własnej etycznej wartości, nabywają ją ze względu na człowieka.

PP: Jak mówiłem, z Biblii nie wynika jakieś etyczne zobowiązanie względem zwierząt. Ale gdy uwzględnimy całą historię zbawienia, odnajdziemy silną ideę, że Chrystus zbawia całe stworzenie. Nie zbawia samego człowieka. Takie myślenie odnajdziemy i u Ojców Kościoła, i w tradycji tomistycznej. Wydaje mi się, że zostało to w nowożytnej teologii utracone. Głównie – jak się wydaje – z powodu takich nurtów filozoficznych jak kartezjanizm, który w zwierzętach widział jedynie maszyny.

ŁK: W tradycji tomistycznej także?

PP: U Tomasza pragnienie stworzenia, by być znowu w Bogu, jest mocno podkreślane. Do istoty stworzenia należy to, że pragnie ono z powrotem złączyć się z Bogiem. I Bóg także pragnie, by

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 449/23 postępowanie z wniosku Krzysztofa Kopińskiego o stwierdzenie nabycia spadku po:

- Andrzejowi Kopińskiemu, zm. 29.06.1919 r., ostatnio stale przebywającym w Żerkowie,
- Honoracie Kopińskiej, zm. 12.10.1936 r., ostatnio stale przebywającej w Żerkowie,
- Teresie Kopińskiej, zmarłej 07.04.1999 r., ostatnio stale przebywającej w Żerkowie,
- Krystynie Kopińskiej, zmarłej 02.01.1989 r., ostatnio stale przebywającej w Żerkowie.

W skład spadku po zmarłych wchodzi ich udziały w prawie własności gospodarstwa rolnego prowadzonego na nieruchomościach położonych w Żerkowie i w Chrzanie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

całe stworzenie, które stworzył i które kocha, wróciło do Niego. Jeśli uznajemy, że tylko człowiek ma wolną wolę, to tylko on może się świadomie odwrócić od Boga. Stworzenia tego nie potrafią, dlatego moim zdaniem ich zbawienie jest nawet bardziej pewne niż ludzi.

Mają gwarancję nieba, w przeciwieństwie do człowieka, który może trafić do piekła?

PP: Bliska jest mi teologia bizantyjska, która podkreśla aspekt przeobstwienia całego stworzenia. Na przykład Jan Damascyński, który jest głównie znany z teologii ikony, rozwinął coś, co dziś byśmy nazwali teologią materii. Dużo pisał o tym, w jaki sposób materia zostaje przemieniona, dzięki Wcieleniu – Syn Boży, Logos, nie tylko przyjmuje człowieczeństwo, ale także materię właśnie. I rozpoczyna proces jej przeobstwienia. Tradycja zachodnia poszła w stronę dualizmu platońskiego i zatraciła tę perspektywę. Ona była obecna na marginesie – kultywował ją Eriugena, Kuzańczyk, Mistrz Eckhart. Stąd brały się ostatecznie bezpodstawne oskarżenia mistyków o panteizm.

Wspominałeś Tomasza, a on coś takiego powiedział:

„Z rozporządzenia Bożego należy zachować życie zwierząt i roślin nie ze względu na nie, ale dla dobra ludzi”. To bardzo antropocentryczne myślenie.

PP: Z drugiej strony cel całego stworzenia widział w powrocie do Boga.

A jaka jest rola człowieka w tym powrocie stworzenia do Boga? Nie powinien on być tutaj bardziej opiekunem niż bezwzględny władca?

PP: Ta świadomość wcześniej nie była obecna. W teologii zachodniej nie była rozwijana etyka chrześcijańska uwzględniająca zwierzęta. Ona pojawia się w Kościele wraz z rozwojem myśli świeckiej, tak jak prawa kobiet czy dopiero soborowa akceptacja wolności religijnej. Mamy moment, w którym nasza cywilizacja zaczęła zauważać, że zwierzęta żyjące wokół nas to coś więcej niż tylko narzędzia. Z perspektywy chrześcijańskiej można też przypomnieć, że Jezus swoją ofiarą na Krzyżu unieważnił ofiary ze zwierząt.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH // TYGODNIK POWSZECHNY



ŁUKASZ KWIATEK – redaktor działu Nauka „TP” i popularyzator nauki z Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych UJ. Lubi się zastanawiać, jak wiele mały znajduje się w człowieku i jak wiele człowieka w małpach.

ARCHIWUM PRYWARNE



PIOTR POPIOŁEK – doktor teologii i religioznawca. Zajmuje się historią dogmatu, postsekularyzmem i teologią polityczną. Współpracownik czasopisma „Pressje”, „Kontakt” i „44/ Czerdzieści i cztery. Magazyn apokaliptyczny”.

Po zmartwychwstaniu jadł jednak ryby.

PP: Jezus pił też wino. Na wegetarianizm czy weganizm z perspektywy chrześcijańskiej można spojrzeć jak na abstynencję od alkoholu, czyli jak na praktykę ascetyczną.

We współczesnej teologii powstał osobny dział teologii zwierząt, który m.in. przypomina, że ludzkie panowanie nad zwierzętami powinno naśladować panowanie Jezusa, czyli być ofiarną służbą. Tym bardziej że w zwierzętach można dostrzec słabszych braci, tak jak to widział już św. Franciszek.

PP: Arbitralne rozumienie władzy człowieka nad zwierzętami to jednak wynalazek nowożytny. W średniowieczu relacja

między człowiekiem a zwierzęciem była bardziej organiczna. Zwierzę oczywiście służyło człowiekowi, ale nie było postrzegane jako tylko narzędzie czy przedmiot. Starożytność – zwłaszcza Arystoteles – i średniowiecze podkreślały, że człowiek to *animal rationale* – zwierzę rozumne. Zresztą Ojcowie Kościoła również przypominali człowiekowi o jego zwierzęcości. Dopiero nowożytność całkowicie rozdzieliła rozumną duszę od mechanicznie postrzeganego ciała.

Zatem paradoksalnie to nie religia, ale rozwój w nowożytności nowoczesnych nauk przyrodniczych pogorszył sytuację zwierząt?

ŁK: Trzeba chyba winić mechanicyzm. Sukcesy nauki zrodziły tę filozofię, a ona zachęcała do patrzenia na zwierzęta jak na bezduszne maszyny – a więc np. niezdolne do cierpienia. Dzisiaj się już tak nie myśli – mówi się nawet o świadomości i bólu u owadów! Ale chciałem powiedzieć, że współczesna nauka problematyzuje dla teologii nie tylko rozumienie zwierząt, także rozumienie samego człowieka. Obecnie żyje tylko jeden gatunek ludzki – wszyscy jesteśmy bardzo blisko ze sobą genetycznie spokrewnieni. Ale 100 tys. lat temu żyło kilka gatunków ludzi, np. człowiek z Flores, który miał metr wysokości, a jego mózg ważył jedną trzecią naszego. 300 tys. lat temu obok naszych przodków występował gatunek zaliczany do naszego rodzaju, który też miał małe mózgi i wydaje się świetnie przystosowany do życia na drzewach. Człowieczeństwo się rozmywa. Teolodzy mają więc o czym myśleć, także dlatego, że z nauki wypadają pojęcia istotne dla teologii. Na przykład zamiast o wolnej woli nauka woli mówić o samokontroli. Podobnie jest z duszą – dziś tak drobnie badamy umysł, że pojęcie duszy przestało być w nauce użyteczne.

Zatem nie ma sensu pytać, czy zwierzęta mają duszę, bo coraz bardziej problematyczne staje się to, czy my ją mamy.

PP: Obawiam się, że choć teologia będzie się dostosowywać do naukowego obrazu świata, stare kategorie, a także silny dualizm oddzielający człowieka od zwierzęcia długo jeszcze pozostanie obecny w potocznym myśleniu teologicznym.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIĄK

Mnich w dżinsowym habicie

ZUZANNA RADZIK

Kochasz Boga tak bardzo, jak kochasz osobę, którą kochasz najmniej – mówi zakonnik pomagający uchodźcom.

TRUDNO GO NIE ZAPAMIĘTAĆ. MNICH w dżinsowym habicie i z rozwianymi włosami pracował od 2015 r. w Calais – francuskim mieście wysuniętym najdalej w kierunku Wysp Brytyjskich, przez kolejne cztery lata relacjonując w mediach społecznościowych wspólną codzienność i potrzeby mieszkańców tzw. Dżungli. Przyjechał z londyńskiego domu Catholic Worker, kontynuującego tradycję gościnności zapoczątkowaną przez Amerykankę Dorothy Day w czasie Wielkiego Kryzysu lat 30. XX w. Tym razem wielkim kryzysem Europy była fala uchodźców. Jej skutki widać było również w Calais, skąd ludzie chcieli przedostać się do Wielkiej Brytanii.

Brat Johannes Maertens założył w obozie dom Catholic Worker im. Marii Skobcowej. Skobcowa to prawosławna zakonnica, która we Francji ratowała Żydów w czasie Zagłady. Miała wielki, gościnny dom. Rozmawiamy w Londynie, dokąd wrócił i kontynuuje pracę z uchodźcami.

Przyjemniejsza strona

Praca w Calais nieco go wypaliła, po czterech latach spędził trochę czasu w klasztorze, po czym przeniósł się do londyńskiego Catholic Worker House. Chciał odpocząć, ale szybko zaczął spotykać swoich podopiecznych z drugiej strony kanału.

– Pracuję głównie na ulicy i spotykam się przede wszystkim z bezdomnymi uchodźcami – tłumaczy. – Rozmawiam z nimi, pomagam w formalnościach. Jestem też trochę związany z ich Kościo-

łami, na przykład z Erytrejskim i Etiopskim Kościołem Ortodoksyjnym. Czasami znajdują kościół, z którego mogą korzystać, lub próbuję nawiązać z nimi kontakt w innych sprawach. To też duszpasterstwo. W zeszłym tygodniu dwóch moich młodych znajomych udało się na rekolekcje do anglikańskiego opactwa. Cieszę się tym, bo chcę, by odkryli bogactwo chrześcijaństwa w Europie. Wierzę również, że mogą zorganizować wizytę etiopskich mnichów, którzy mieszkają w Anglii, w jednym z anglikańskich opactw w celu wymiany doświadczeń na temat życia monastycznego. To przyjemniejsza strona tego, czym się zajmuję. Praca na ulicy jest trudniejsza.

Benedyktyńskie korzenie

Siadamy przy herbacie, nie muszę wiele dopytywać. Opowieść o powołaniu, zakonnej drodze i towarzyszeniu ludziom płynie sama. Jest w zasadzie opowieścią o byciu chrześcijaninem w dzisiejszej Europie. Najpierw chcę jednak wiedzieć, skąd ten niebieski, dżinsowy habit, który nie kojarzy mi się z niczym.

– Noszę niebieski habit, ponieważ należę do małej wspólnoty, która była inspirowana benedyktynami – tłumaczy Johannes. – Nie jest czarny, jak habit benedyktyński, ale niebieski, a właściwie dżinsowy, co odnosi się do codziennych, roboczych ubrań.

Jest jedynym misyjnym mnichem we wspólnotcie. Pozostała trójka mieszka w klasztorze i żyje z pracy swoich rąk.

Prowadzą wspólnotowe życie modlitwy. – Czasami wracam, bo tego potrzebuję – wyjaśnia Johannes. Nie jest to jednak katolicki zakon. Tłumaczy: – Zostaliśmy założeni przez dwóch rzymskokatolickich benedyktynów. Byli oni mnichami od dłuższego czasu, zanim założyli naszą małą wspólnotę. Później dołączyła do nich siostra Chiara, która była profeską zakonną, rzymską katoliczką. Wszyscy troje mają rzymskokatolickie korzenie. Jesteśmy ekumenicznymi katolikami, należymy do komunii Kościołów starokatolickich.

Spółeczna sprawiedliwość

Skąd wziął się w mniszej wspólnotcie, wiodąc aktywne życie z uchodźcami i bezdomnymi? Urodził się w katolickiej rodzinie w Belgii, jego chrześcijaństwo od początku było raczej kulturowe, choć jako chłopiec chodził z dziadkami do kościoła.

– Mając 15 lat pracowałem w restauracji, czego nie powinno się robić w tym wieku, ale tak było – wspomina swój moment nawrócenia i powołania. – Był to czas suszy w Afryce, wiele ludzi umierało z głodu. Myślałem: co za dziwny świat. Ci ludzie umierają w Etiopii z głodu, a ja przygotowuję wyrafinowane jedzenie w eleganckiej restauracji. To, że jest tak wiele niesprawiedliwości na świecie, naprawdę mnie poruszyło. Pamiętam, że tego wieczoru czułem się silnie wezwany do modlitwy, więc usiadłem na kolanach, ponieważ tak nauczono mnie modlić się, i powiedziałem Bogu, że chcę zrobić coś,



Br. Johannes Maertens przed ikoną Matki Bożej w obozie dla uchodźców w Calais, maj 2016 r.

aby życie ludzi było lepsze. To było naprawdę kluczowe doświadczenie w moim powołaniu. Zawsze myślałem, że Bóg istnieje, ale wtedy miałem bardzo silne poczucie, że Bóg ma również coś wspólnego ze sprawiedliwością społeczną na świecie i z cierpieniem ludzi. Dlatego zacząłem szukać sensu w Kościele, choć nie znalazłem go w swojej parafii.

Jako student został protestantem, chciał bardziej aktywnej wiary niż to, co widział w lokalnym kościele. Dlatego jako siedemnastoletni wolontariusz wstąpił do Armii Zbawienia, by pracować z bezdomnymi w Brukseli. – Praca w ośrodku dziennym z setką łóżek była bardzo trudną szkołą w tak młodym wieku. Było to wzbogacające i wymagające jednocześnie doświadczenie – wspomina.

Ateista

Podczas studiów z filozofii w Gandawie uwolnił się od swojej konserwatywnej kościelnej grupy i próbował zostać ateistą: – Byłem nim przez jakiś czas, jednocześnie pracowałem już z uchodźcami i walczyłem z rasizmem. Po trzech latach szedłem ulicą w Gandawie, obok małego kościoła i głos w moim sercu powiedział, że w niedzielę muszę tu przyjść. Odpowiedziałem: Nie, nie wierzę w Boga. Dlaczego miałbym chodzić do kościoła?

Zdarzyło się to kilka razy w tym samym miejscu i był tym już zirytowany, starał się przecież być ateistą. – Ale pewnej niedzieli wszedłem do tego kościoła, a Mark, który jest teraz moim przyjacielem, a który był tam wtedy duchownym, miał bardzo wyzwalający sposób głoszenia Ewangelii. Nigdy wcześniej nie słyszałem Ewangelii głoszonej w ten sposób! Zostałem. Bóg wezwał mnie z powrotem, to było bardzo jasne. Mogłem powiedzieć, że nie chcę wracać, ale w jakimś sensie On był cierpliwy i wierzył we mnie.

Z czasem został kapłanem szpitalnym, później pracował dla kościelnej organizacji pozarządowej zajmującej się chorymi na AIDS w Afryce. Coraz bardziej był pewny, że interesuje go praca w pełnym zakresie dla Kościoła. W wolnym czasie pracował z uchodźcami, ale wciąż odczuwał duchowy głód i zastanawiał się, dlaczego. – Pewnego dnia spotkałem moją obecną wspólnotę. Praktykowali monastyczny katolicki sposób modlitwy, którego w pełni nie rozumiałem, ale poczułem się jak w domu. Nauczyłem

się modlić z nimi, a to dało mi poczucie, że nie jestem już głodny. Tak zostałem mnichem.

Nietypowe życie mnicha

Nie jest to jednak klasyczne mnisze życie. Johannes wyjaśnia: – Dla benedyktyna bardzo ważna jest stabilność, w tym sensie jestem złym benedyktynem. Ale życie w klasztorze sprawia, że przynajmniej modlimy się cztery razy na dobę.

Trudno mi sobie wyobrazić aktywne życie w metropolii z czterema wspólnotowymi modlitwami. On zaś przyznaje, że kilka razy w tygodniu opuszcza jedną z modlitw. Ale stara się tego nie robić, ponieważ uważa ten rytm i spotkanie wspólnoty za ważne. Zanim założył dom Catholic Worker w Calais, przyjechał do tego londyńskiego. Wcześniej próbował realizować podobne projekty w Belgii, ale brakowało pieniędzy i wolontariuszy. Kiedy zaczął czytać o Catholic Worker i Dorothy Day, uznał za inspirujący pomysł dzielenia się swoim życiem z kimś, kogo nie znasz, i poprzez to uczenie się więcej o Bogu i sobie. Zresztą Day była benedyktyńską oblatką, a głównymi benedyktyńskimi wartościami są pokój i gościnność.

Po dwóch i pół roku w London Catholic Worker, żyjąc razem z uchodźcami i osobami bez dokumentów, poczuł silne powołanie, by pojechać do Calais i pracować w obozie. Był 2015 r. Narastał kryzys. Pojechał tam z Juanem, innym wolontariuszem z londyńskiego Catholic Worker House. – Poszliśmy do obozu, a Juan miał już kontakty z sudańskimi uchodźcami, bo był tam parę tygodni wcześniej. Przyjęli nas bardzo przyjaźnie, a gdy nadeszła noc, zapytali, czy mamy dokąd iść – wspomina brat Johannes.

Zaproponowali, żeby zostali z nimi w obozie. Byli tam przez cztery noce, chcieli zorientować się, czym jest to miejsce, jak działa i co można tam robić. – Również, co mogę tu robić jako mnich. Drugiego dnia umówiliśmy się na spotkanie z Jeanem-Marie, jednym z rzymskokatolickich księży parafialnych, aby wziąć prysznic, wypić kawę i zjeść posiłek. Był to wspaniały ksiądz z otwartym sercem i umysłem, u którego mieszkało dwóch młodych uchodźców. Powiedziałem mu, że chcemy założyć dom gościnny dla wolontariuszy i uchodźców. Wtedy zadzwonił do lokalnego szefa Caritas i za-

prosił go na obiad, w czasie którego podzieliliśmy się pomysłem i okazało się, że mają chyba dla nas dom. Spotkaliśmy się w październiku 2015 r., a 1 lutego 2016 r. otworzyliśmy nasz dom.

Na początku mieszkali tam tylko wolontariusze, potem zaczęli przyjmować bezbronnych uchodźców, rannych lub chorych. W 2017 r. zaczęło być coraz więcej młodych uchodźców z Etiopii, Erytrei i Afganistanu. W trzech sypialniach znajdowało się do 20 łóżek, a dom był pełny każdej nocy.

Poza osądem

Przyjechałam do Londynu porozmawiać z nim nie tyle o wolontariacie z uchodźcami, co pytać o to, jak być chrześcijanami w Europie, która jest celem uchodźstwa i migracji. Czym był pobyt w Calais dla chrześcijańskiego mnicha? – To bardzo potężne doświadczenie – odpowiada brat Johannes. – W obozie był mały, piękny budynek kościoła, który zbudowali Etiopczycy i Erytrejczycy. Poszedłem tam rano, żeby się pomodlić. Nie było nikogo. Gdy pod koniec modlitwy otworzyłem oczy, zobaczyłem kilka Erytrejek i Etiopiek modlących się przy ikonie Maryi, która była zwykłym plakatem. Wiedziałem, o co się modlą, choć nie rozumiałem ich języka. I to był moment, w którym postanowiłem, że muszę zostać. W moich muzulmańskich braciach i siostrach w obozie widziałem bliźnich, którym trzeba pomóc, bo cierpią. Ale w innych chrześcijanach widziałem braci i siostry w Chrystusie, którym mogę się przydać jako ksiądz i towarzyszący im chrześcijanin, nawet jeśli nie są mojego wyznania.

Co to znaczy być duszpasterzem czy towarzyszem ludzi w drodze? – Może kiedyś spiszę te myśli, na razie nie miałem czasu – zamyśla się brat Johannes. – Ważne, by mieć otwarty umysł i serce, ponieważ osoba stojąca przed tobą przeszła przez doświadczenie, o którym nie masz pojęcia. Bezwzględnie trzeba unikać osądzania. Pracujemy z ludźmi, którzy przekraczali granice wrogie i pełne przemocy, i musieli przetrwać. Nie byłeś na ich miejscu, więc wybory, których musieli dokonać, są trudne do wyobrażenia. Zarówno w Calais, jak i tutaj w Londynie jest wielu uchodźców, którzy opuścili Erytreę, gdy mieli 15-16 lat. Powinni być w rodzinach, tymczasem są tutaj.

→ Opowiada: – Pracujesz z ludźmi, którzy przeżyli traumę, są bezbronni, nie mają nadzoru i wsparcia ani rodziców, ani społeczności. Tu ich sytuacja się nie poprawia, czują ogromną presję i odpowiedzialność wobec swojej rodziny, chcą pracować, zarabiać pieniądze, by wysłać je z powrotem do domu. A wieczorem iść na drinka, co wszyscy robimy. Kiedy byłem w tym wieku, też eksperymentowałem z alkoholem i innymi rzeczami, ale nie byłem sam. Oni cierpią na ulicach Brukseli lub Calais w zimnie, czasem zapalają, wypijają, co daje jakiś komfort, ale może wpędzić w kłopoty.

Z pracy zakonnika niewiele będzie dotyczyło Biblii, Jezusa lub modlitwy. Modlitwa – owszem – jest dla nich bardzo ważna, potrzebują, aby się za nich modlił, czasami modlą się razem z tobą. Ale nie zajmują ich wielkie życiowe pytania czy chrześcijańska teologia. – Mają bardziej podstawowe potrzeby, trzeba być obecnym, siedzieć z kimś, pijąc filiżankę herbaty, rozmawiać o życiu lub unikać tego pytania. Muszą czuć, że ich nie osądzasz i akceptujesz, ale też trzeba delikatnie wskazywać alternatywne kierunki. Widzę, że często piszą w swoich mediach społecznościowych hasło: „Nikt nie może mnie osądzać oprócz Boga”. Tymczasem więcej ludzi ich osądza, niż im pomaga – mówi mnich z ulicy.

Gościnność

Jak przygotować swoje chrześcijaństwo do takiej gościnności? Johannes po namyśle odpowiada: – W moim życiu spotkania z Bogiem często odbywały się za pośrednictwem nieznanym. Mogę siedzieć w kaplicy i być świadomym, że Bóg tam jest. Trudno jest jednak zmienić życie, siedząc w kościele, za to życie razem z kimś, kto jest inny niż ty, rzuca wyzwanie. Uczy mnie czegoś o mnie samym i o tym, jak odnoszę się do Boga. Nie możesz powiedzieć, że kochasz Boga, jeśli nie kochasz swojego bliźniego. Dorothy Day powiedziała wręcz, że kochasz Boga tak bardzo, jak kochasz osobę, którą kochasz najmniej. Pożyczkowo myślałem, że ona musi się mylić. Ale miała rację.

© ZUZANNA RADZIK

Pistolet i krzyż

DOMA MATEJKO

Fawelami Rio rządzi samozwańczy pastor i mafijny boss w jednej osobie. Jak to możliwe, że członkowie narkotykowych gangów uważają się za osoby głęboko wierzące?

TO WŁAŚNIE ON, PEIXÃO, CO PO PORTUGALSKU OZNACZA DUŻĄ RYBĘ, RZĄDZI W fawelach Rio de Janeiro, sięgając postrach wśród mieszkańców, zwłaszcza katolików. W lipcu w Complexo de Israel, konglomeracie pięciu faweli, co najmniej trzy parafie wstrzymały odprawianie mszy na rozkaz bossa. Gubernator Rio de Janeiro Cláudio Castro, który oprócz polityki zajmuje się komponowaniem i wykonywaniem piosenek katolickich, chce zapanować nad zbuntowaną częścią miasta. Bezskutecznie. Tu *de facto* rządzi Peixão.

Wystarczyło, żeby kilku uzbrojonych mężczyzn z dowodzonego przez niego gangu Żołnierzy Aarona weszło do parafii i nakazało przerwanie trwających uroczystości, aby całą północną część miasta ogarnął strach. O gangsterach mówi się, że wyznają narcopentekostalizm – mieszanekę narkobiznesu z ewangelikalną odmianą chrześcijaństwa. Gangsterzy chowający się za symbolami religijnymi odnoszą coraz większe sukcesy, a pomagają im w tym milicja i niektórzy duchowni.

Pod flagą Izraela

Nocą neon z gwiazdą Dawida widać z wielu punktów miasta, w tym z jednej z głównych ulic Rio de Janeiro, Avenida Brasil. Niewtajemniczony turysta lub przyjezdny mógłby pomyśleć, że jest umieszczony na świątyni czy pomniku. Nic bardziej mylnego. Gwiazda Dawida widnieje nad fawelami, a dokładniej nad Complexo de Israel, czyli główną strefą wpływów Peixão. Gwiazda Dawida jest jednym z symboli używanych przez Tercer Comando Puro, w skrócie TPC, czyli organizację przestępczą dowodzoną przez gangstera. Gwiazda Dawida pojawia się również w formie graffiti na budynkach w całej okolicy,

wyznaczając rewiry działań handlarzy narkotykami.

Podobnie jak flagi Izraela, które powiewają w całym kompleksie. Używanie symboliki państwa Izrael przez handlarza narkotyków można uzasadnić tym, że dla niektórych Kościołów neopentekostalnych powstanie Izraela było znakiem powrotu Chrystusa i potwierdzeniem biblijnych obietnic Starego Testamentu. Jednak to nie wszystko. Gangsterzy z TPC są znani również jako Banda Kabały, w odniesieniu do starożytnej żydowskiej tradycji mistycznej, oraz Wojakiem Aarona. Ta ostatnia nazwa nawiązuje z kolei do drugiego kryptonimu Peixão – Aaron. Ten właściwy Aaron, biblijny, był bratem Mojżesza. W języku hebrajskim jego imię oznacza „kapłana męczenników”. Peixão, inaczej Aaron, męczennikami nazywa swoich żołnierzy. Mimo że prawdziwymi męczennikami są zwykli mieszkańcy faweli.

Walka z innowiercami

Mieszkańcy w Complexo de Israel, pozbawieni środków do życia i wizji przyszłości, często nie mają jak uciec z naznaczonej przemocą okolicy. Porachunki, strzelaniny i śmierć są na stałe wpisane w tujejszą rzeczywistość. Gdyby jednak chodziło tylko o walkę między kilkoma antagonistycznymi mafiami narkotykowymi, mieszkańcy faweli nie byłoby tak często bezpośrednimi ofiarami starć zbrojnych. Jednak Peixão i jego „męczennicy” walczą nie tylko z innymi mafiami, ale także z innowiercami. Wiara stała się dla TPC pretekstem do podboju terytoriów, również tych, które należą do Kościoła katolickiego.

„Męczennicy”, tak jak to miało miejsce w lipcu, napadają na świątynie i miejsca kultu, w konsekwencji doprowadzając do tego, że mieszkańcy tego



PILAR OLIVARES / REUTERS / FORUM

Patrole brazylijskiego wojska w fawelach Rio de Janeiro, sierpień 2018 r.

obszaru mają dwa wyjścia – żyć w nieustannym strachu lub opuścić fawele. Dilerzy narkotyków walczący z innymi wyznaniem nie są jednak nowym zjawiskiem. W 2013 r. mafia „Banda Jezusa”, pod dowództwem Fernandinho Guarabú zniszczyła świątynię tradycyjnych religii afrykańskich obecnych w Brazylii, Candomblé i Umbanda. Duchownych tych wyznań zmuszono do opuszczenia faweli. Zabroniono nawet chodzenia w białej odzieży, typowej dla wyznawców tych religii. Guarabú był jednym z pierwszych bossów narkotykowych identyfikujących się z Kościołami pentekostalnymi. Za jego przykładem poszli kolejni gangsterzy i przyszli *narcos*, którzy postanowili się nawrócić. Najczęściej w czasie odsiadki w więzieniu.

W perspektywie nieustannego zagrożenia niektórzy duchowni ewangelikalni wybrali przyjaźń z Peixão. Niekiedy pastory, korzystając z tego, że krewni baronów narkotykowych przynależą do ich wspólnoty religijnej, próbują za ich pośrednictwem załagodzić sytuację, aby uniknąć bezpośredniej konfrontacji z gangiem i zapobiec temu, aby wierni, kierowani strachem, odchodzili. Ci duchowni, którzy postanawiają pozostać przy swojej wierze i wartościach, muszą

liczyć się z tym, że walkę z samowznaczym pastorem mogą kiedyś przegrać.

Diabeł w owczej skórze

Swojego najmłodszego syna Álvaro mama nazywała pieścizotliwie Álvarozinho. Jednak, jak to bywa w przypadku bossów narkotykowych, niewiele jest pewnych informacji o jego życiu przed wstąpieniem do mafii. Wiadomo, że prawdziwe imię 36-letniego przywódcy TPC to Álvaro Malaquias Santa Rosa, i że ma wiele rodzeństwa. Dwóch z jego braci zginęło w gangsterskich porachunkach. Jedna z siostr w podobnych okolicznościach straciła nogę. Rodzice byli właścicielami małego baru na terenie faweli a matka należała do Candomblé – jednego z Kościołów religii afrykańskich.

Sam Álvaro przeszedł na ewangelikalizm, wymazując ze swojej tożsamości jakiegokolwiek związek z innymi wyznaniem, jednocześnie robiąc zawrotną karierę w lokalnej mafii. Żeby wzbudzić respekt wśród mieszkańców Complexo de Israel i skonstruować milicję, nadał sobie szereg kryptonimów i wybrał Peztronaute, animowaną postać z kreskówki przedstawiającą rybę w kombinie astronauty, jako swój znak rozpoznawczy.

Religijny zapał oraz dziecinna symbolika nie przekładają się jednak na pokojowe zarządzanie terenami faweli. Peixão, który ukrywa się od niemal dziesięciu lat, jest odpowiedzialny za co najmniej dwadzieścia przestępstw, w tym za handel narkotykami i morderstwa. Niektóre zabójstwa popełnione przez jego oddziały są wyjątkowo brutalne. Milicja znajduje ciała ofiar poćwiartowane i spalone. Jak to więc możliwe, że seryjny morderca i handlarz narkotykami uważa się za osobę głęboko wierzącą?

O co modli się gangster

Związek między pentekostalizmem a handlem narkotykami zaczął się już w latach 90. Christina Vital da Cunha socjolożka, jest jedną z pierwszych badaczek fenomenu zwanego narcopentekostalizmem. Vital da Cunha analizowała m.in. obecność religii w świecie przestępczym od połowy lat 90. w różnych częściach Rio de Janeiro. W książce „Modlitwa handlarza narkotykami: etnografia” Vital da Cunha pisze: „W fawelach Aca-rai, w Santa Marta, *narcos* regulowali codziennie swoje radiotelefony, żeby wysłuchać modlitwy swojego bossa, który prosił Boga o ochronę, i o to, żeby zabili jak najmniej ludzi”.



PABLO PORCIUNCU / AFP / EAST NEWS

→ Badaczka w jednym z wywiadów podkreśla, że poranna modlitwa była tylko jednym z wielu elementów duchowego życia *narcos*. Większość z nich brała czynny udział w życiu Kościołów ewangelikalnych i lokalnych społeczności, uczestnicząc np. w uwielbieniach. Jednak pastory Kościołów pentekostalnych sprzeciwiają się temu, aby gangsterów i narcobossów w jakikolwiek sposób łączyć z ich Kościołami. Już sam termin „narcopentecostalizm” jest krzywdzący dla ludzi, którzy należą do Kościołów ewangelikalnych, bo bez wiedzy na temat tego zjawiska można pomyśleć, że chodzi o realny odłam tego wyznania. A tak nie jest. Badacze i duchowni podkreślają, że handlarze narkotykami nie żyją według zasad Ewangelii, co najwyżej praktykują duchowość z elementami wiary chrześcijańskiej. Nie istnieje więc nic takiego jak Kościół narcopentekostalny. Co ciekawe, związek między światem przestępczym a religią nie ogranicza się w Brazylii jedynie do Kościołów ewangelikalnych. W latach wcześniejszych, między 1980 a 1990 rokiem, wielu handlarzy narkotykami utożsamiało się z religiami afrykańskimi. Ich późniejsze przejście na pentekostalizm jest wręcz zrozumiałe, jeśli spojrzymy na zmiany, jakie zaszły w Brazylii w czasie ostatnich 30 lat.

Liturgia w garażu

Jeszcze w 1990 r. w Brazylii było około 17 tys. miejsc kultu ewangelikalnego, co przekładało się na ponad 26 mln chrześcijan ewangelikalnych, którzy stanowili zaledwie 9 proc. społeczeństwa. Prawie 30 lat później, w 2019 r., liczba miejsc kultu wzrosła do ponad 100 tys., zrzesza-

DOMENA PUBLICZNA

List gończy za Álvaro Malaquiasem Santa Rosa (Peixão)

Powyżej: Gubernator Rio de Janeiro Claudio Castro (z lewej) i prezydent Brazylii President Luiz Inacio Lula da Silva na inauguracji prac przy budowie kanału São Lorenzo w Niteroi, kwiecień 2024 r.

jąc 41 mln wiernych. Obecnie, według Centrum Studiów Metropolii (CEM), w Brazylii codziennie otwiera się 17 nowych miejsc kultu pentekostalnego, a jego wierni stanowią już 40 proc. społeczeństwa. Szacuje się, że do 2030 r. będzie ich więcej niż katolików i staną się wyznaniem dominującym.

Dlaczego to właśnie pentekostalizm przybiera tak bardzo na sile w jednym z największych krajów świata? Odpowiedzi może być kilka. Kult rzadko odbywa się w specjalnie przeznaczonych do tego budynkach. Wspólnoty nie potrzebują wiele. Wystarczy duża sala, a nawet

przestronne mieszkanie lub garaż. Dzięki temu ewangelikalizm dotarł do miejsc, w których nie było świątyń katolickich i w których msze nie odbywały się nigdy lub bardzo rzadko. Co więcej, płaska struktura hierarchiczna ułatwia formację nowych pastorów. Droga do posługi duchownego, w porównaniu z katolicyzmem, jest więc uproszczona i skrócona.

Kościół pentekostalny pojawiają się też wszędzie tam, gdzie nie docierają przedstawiciele oficjalnych władz. To pastory organizują życie społeczności mieszkających na peryferiach, świadcząc pomoc duchową i materialną. Rząd brazylijski bardzo zresztą ułatwił pojawianie się nowych wyznań. W konstytucji z 1988 r. zagwarantowano zniesienie podatku dla świątyń i miejsc kultu wszystkich religii obecnych na terenie kraju. W 2003 r. prezydent Lula da Silva podpisał ustawę, która gwarantowała możliwość rejestracji wszystkich organizacji religijnych. W rezultacie – wskazują eksperci – w Brazylii łatwiej założyć Kościół niż firmę.

Największy wzrost liczby wiernych ma miejsce w czasie dobrobytu ekonomicznego. Wtedy Brazylijczyków stać na płacenie „dziesięciny” i finansowanie prac Kościołów. W Brazylii szczególny wzrost ekonomiczny można było obserwować między rokiem 2000 a 2016, co pokrywa się ze wspomnianą ustawą umożliwiającą legalizację różnych wyznań.

Religia i polityka

Dziewięciu na dziesięciu Brazylijczyków określa się jako wierzących. Brazylia przoduje w rankingu państw z największym odsetkiem wierzących: według badań IPSOS z 2023 r. za nią na liście znalazły się Republika Południowej Afryki, Kolumbia, Meksyk i Turcja. Co ciekawe, aż 56 proc. Brazylijczyków uważa, że religia i polityka powinny być ze sobą powiązane i aż 60 proc. twierdzi, że ochrona tradycyjnych wartości i rodziny jest ważniejsza od rządowych planów naprawczych ekonomii i gospodarki państwowej.

Nie powinien więc dziwić fakt, że politycy, jak np. były ultrapravicowy prezydent Jair Bolsonaro, często podkreślają swoją przynależność do Kościoła ewangelikalnego, bo pomaga to w pozyskaniu wyborców. A wielu z tych wyborców ma równie bogate życie przestępcze, co duchowe, i chyba tylko Bóg będzie ich za to sądzić.

© DOMA MATEJKO

ZUZANNA

Radzik: Jedna z nas



TAMTA NIEDZIELA BYŁA REKORDOWO ciepłym dniem w historii pomiarów Ziemi. I choć ten status utrzymała zaledwie do poniedziałku, który okazał się jeszcze gorętszy w skali globu, to w moim małym prywatnym świecie oznaczała też

koniec hamakowania z książką oraz leniwego pływania w jeziorze i powrót do rozprazonej metropolii. Wydawało się, że oprócz buchającego upałem betonu skrzyżowań i tropikalnych nocy nie czeka nas tam nic ciekawego. W prasie sezon ogórkowy, którego objawem była choćby burza wokół Ficowskiego, nieczułego językoznawcy, czy seria felietonów o sypaniu z profesorem filozofii, które serwuje ostatnio liberalny dziennik. Gorąc i marazm oraz letni pojazd po rzekomo pruderyjnych feministkach. Doładnie to, po co chce się wracać z wakacji.

Tak było, gdy wsiadaliśmy do samochodu, ale ledwie minęliśmy Pisz, a Biden zrezygnował z kandydowania na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Gdy już dotarło do nas, co to znaczy, poparł kandydaturę wiceprezydentki Kamali Harris.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszyscy wokół zamienili się w amerykańistów. Tu i tam słyszę: „ja to się rozczarowałem jej wiceprezydenturą”, ale szczerze powątpiewam, by było w tym coś więcej niż echa pobieżnych przeglądów prasy. Na te rozczarowania i wątpliwości trzeba zresztą mocno uważać, bo, jak jeszcze przed zmianą kandydata tłumaczył w podkaście Ezry Kleina inny polityczny komentator „New York Timesa” Jamelle Bouie, większość wątpliwości dotyczących Harris jest jednak podzyta seksizmem i rasizmem.

Istnieje na to nawet słowo: *mysogynoir*. Ukuły je i rozpowszechniły w 2008 r. Moya Bailey i Trudy aka @thetrudz, żeby mieć termin, który opisuje to, jak wyjątkowo źle traktowane są czarnoskóre kobiety i dziewczynki z powodu nakładania się na siebie stereotypów rasowych i płciowych. Kampania Harris jeszcze się na dobre nie rozkręciła, ale publicystki już apelują, by analizować z ostrożnością wątki debaty, które będą żerowały na płci i kolorze skóry kandydatki. Co można zrobić z płcią w kampanii, widzieliśmy już, gdy Hillary Clinton starła się z Donaldem Trumpem. Ten nazywał ją nieźrównoważoną, zbyt słabą, by być prezydentką, a ostatecznie, pod koniec trzeciej prezydenckiej debaty, przezwiał ją „paskudną kobietą” (*such a nasty wo-*

man), choć chwilę wcześniej deklarował, że nikt nie ma tyle szacunku do kobiet, co on.

Katalog tego, co się może wydarzyć w kampanii Harris, stworzyła Kate Manne, ostrzegając wyborców demokratycznych, że będą musieli zwalczać *mysogynoir* w swoich kręgach i w sobie samych. Szykujcie się zatem na moralizm, czyli narzucanie kandydatce wyższych standardów moralnych. Ta podstępna forma mizoginii wybacza więcej mężczyznom i na więcej im pozwala, od kobiet oczekując nieskazitelności. Do tego dojdzie wymaganie troskliwości, bezinteresownego poświęcenia, połączone z atakiem za brak biologicznych dzieci. W domyśle: niematerialna postać kobieca jest zimna, bezwzględna i wyrachowana.

Kolejny front zarzutów to obrzydzenie. Trump już nazywa ją „śmiejącą się Kamalą”, kpiąc z jej spontanicznego śmiechu. Za tym idzie nazywanie jej wariatką, niewystarczająco skromną, zbyt mało milczącą. Ile z nas, kobiet, usłyszało, że jest zbyt głośna, zbyt ambitna, zbyt wyrazista, zbyt spontaniczna, nieokiełznana? *Too much!* – to częsty zarzut, który ma usadzić w miejscu. Do tego oczywiście dojdzie ocenianie, jak wygląda, jak jest ubrana, jak się rusza – klasyk oceny kobiet w życiu publicznym. Jej ambicja zostanie uznana za irytującą, nachalną i samolubną – jak to się często dzieje w ocenie kobiet startujących na wysokie stanowiska.

Zatem Harris stąpa po grząskim gruncie stereotypów. My, widzowie tego spektaklu globalnej polityki, też musimy na siebie uważać i zgodnie z apelem Kate Manne, zwalczać *mysogynoir* w sobie. Ustąpienie Joego Bidena uwolniło entuzjazm Demokratów, ale też obudziło marzenia kobiet. Pamiętajcie, jak w dniu inauguracji prezydentury Bidena i Harris podekscytowane Amerykanki zakładały perły i pisały, że wszędzie leży szkło ze szklanych sufitów rozbitych jej wiceprezydenturą? Teraz wróciły podobne memy i nadzieja. „Chcę przywódczyni, która radziła sobie w tym gównianym świecie (stworzonym przez białych, boomerskich mężczyzn) tak długo jak reszta z nas, i która rozumie tematy rasy i klasy w sposób, w który oni nie są w stanie” – pisze Jenn Romolini z ekscytacją, że Kamala jest prawie z pokolenia X (brakuje jej 2 miesięcy) i że wie, czym jest przechodzenie menopauzy w kraju, w którym skan piersi kosztuje tysiąc dolarów mimo ubezpieczenia. Jest jedną z nas – zdają się mówić. Oberwie jak my – zdają się wiedzieć. A i tak świadomość, że czarnoskóra kobieta gra o taką stawkę, robi różnicę. Nie tylko tam. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

KIM JEST KAMALA

Szczególną sympatię budzi w pokoleniu Z: to, co wcześniej odbierano często jako jej dziwaczność, teraz sprawia, że w oczach młodych Kamala Harris jest człowiekiem z krwi i kości.

JAN SMOLEŃSKI

DOPIERO CO OGŁOSIŁA, ŻE CHCE UBIEGAĆ się o fotel prezydenta USA, a jej szanse na Biały Dom już widocznie rosną. Choć nominacja Kamali Harris nie została jeszcze zatwierdzona przez Krajową Konwencję Demokratów, a jej przewaga nad Donaldem Trumpem wynosi jedynie dwa punkty procentowe (i to tylko w jednym sondażu; inne nie są jej tak przychylnie), Harris zrobiła to, co Joemu Bidenowi nie udawało się od miesięcy: dała nadzieję zwolennikom Demokratów.

Kim jest kobieta, która zmierzy się z Trumpem?

„ZNAM TEN TYP” | Gdy wyszła na scenę sali gimnastycznej w szkole West Allis w stanie Wisconsin, trzytysięczny tłum przez minutę wiwatował. Potem jej przemówienie przerywały skandowania. Szczególną radość sprawiło zebranym, gdy Kamala Harris przypomniała, że zanim trafiła do krajowej polityki jako senatorka, służyła w Kalifornii jako prokurator generalna, a wcześniej oskarżycielka na sali sądowej.

„Pełnić te funkcje – mówiła – mierzyłam się ze sprawcami różnych przestępstw. Drapieżcami, którzy dopuszczali się nadużyć wobec kobiet, oszustami, którzy dorabiali się kosztem konsumentów, cwaniakami, którzy łamali zasady dla własnego zysku. Słuchajcie zatem uważnie: wiem, jakim typem jest Donald Trump!”.

Entuzjazm w Wisconsin nie był wyjątkowy i zdaje się odpowiadać ogólnokrajowemu trendowi. W ciągu 24 godzin od ogłoszenia jej startu Partia Demokratyczna zebrała rekordowe 80 mln dolarów. W tym 47 mln wpłynęło przez pierwsze 7 godzin od drobnych darczyńców.

W KALIFORNII | Śledząc jej polityczną drogę, wypada zacząć od zachodniego wybrzeża. Jako prokuratorka okręgowa w San Francisco, Harris (rocznik 1964) sprzeciwiała się karze śmierci i nie zmieniła zdania mimo presji ze strony lokalnych i krajowych polityków po zabójstwie policjanta z San Francisco. Była też odpowiedzialna za programy mające przeciwdziałać recydywie, które okazały się na tyle skuteczne, że zyskały pochwałę Departamentu Sprawiedliwości i były stosowane w Atlancie, Baltimore i Filadelfii.

Gdy była potem prokuratorką generalną Kalifornii, jej biuro sprzeciwilo się nakazanemu przez sąd federalny wypuszczeniu niektórych więźniów (z powodu przeludnienia więzień), argumentując, iż są zasobem taniej siły roboczej. Później Harris tłumaczyła, że nie odpowiadała za wypracowanie tego stanowiska. Ale łaska obrończyni wyzysku więźniów została.

W WASZYNGTONIE | W 2017 r. wygrała wybory do Senatu, a jej 27-letnie doświadczenie prokuratorskie zaprocentowało podczas senackich przesłuchań. Podczas jed-

nego z nich dopytywała Brett Kavanaugh, nominowanego do Sądu Najwyższego, czy zna jakiekolwiek podstawy prawne, które dawałyby rządowi prawo do decydowania o męskim ciele. Kavanaugh, zwolennik zakazu aborcji, próbował kluczyć. Patrząc na niego z politowaniem jak na uczniaka na egzaminie, Harris drążyła: „Pozwolę sobie powtórzyć pytanie”.

Gdy na początku 2019 r. ogłosiła chęć kandydowania na urząd prezydenta, początkowe reakcje były dość entuzjastyczne. Jej występy podczas debat przykuwały uwagę. Jednak pod koniec 2019 r., jeszcze przed rozpoczęciem prawyborów, zawiesiła kampanię, tłumacząc się brakiem funduszy. W istocie sztabem targły konflikty, poparcie nie rosło, Harris miała problem z odróżnieniem się od rywali, a to, co faktycznie ją wyróżniało – imponująca kariera w organach ścigania – było przez wielu wyborców traktowane wtedy jako wada, a nie zaleta.





Kamala Harris podczas kampanii w Milwaukee w stanie Wisconsin. 23 lipca 2024 r.

DANIEL STEINLE / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

W BIAŁYM DOMU | Problemy towarzyszyły jej też, gdy w 2021 r. objęła urząd wiceprezydentki u boku Bidena. Miała kłopot ze znalezieniem dla siebie odpowiedniej roli. Biden scedował na nią uporanie się z imigracją z Ameryki Środkowej. Zadanie skrajnie trudne: rozwiązać problemy leżące u źródeł imigracji przez współpracę z tamtejszymi rządami. W publicznej debacie panowało jednak przekonanie, iż miała się uporać z kryzysem migracyjnym w ogóle. Biały Dom nie zrobił nic, by to błędne wrażenie skorygować – i szybko zaczęto obarczać ją winą za wymykającą się spod kontroli sytuację na południowej granicy.

Nie jest jednak tak, że nie miała sukcesów. To ona zażegnała kryzys na linii Paryż–Waszyngton, gdy Australia wycofała się z podpisanej z Francją i wartę 90 mld dolarów umowy na okręty podwodne, i zamówiła je w USA. Harris reprezentowała też Stany na monachijskich konferencjach o globalnym bezpieczeństwie, naprawia-

jąc relacje atlantyckie po tym, jak zdemolował je Trump. Tyle że takie kwestie ani nie docierają do zwykłych Amerykanów, ani ich zbytnio nie obchodzą.

Tak czy inaczej, wcześniej w sondażach Harris wypadła blado – gdy więc pojawiała się na liście możliwych następców Bidena, to niejako z urzędu i raczej jako kontrast do innych kandydatów, którym dawano większe szanse.

KORONACJA? | Tymczasem nagła decyzja Bidena o rezygnacji z ubiegania się o reelekcję i jego poparcie dla Harris sprawiły, że czarny scenariusz Partii Demokratycznej – tj. wewnętrzna walka o nominację – nie ziścił się. Demokraci wykazali zaskakującą wręcz jedność. W ciągu kilku dni Harris udało się zdobyć poparcie partii: od najważniejszych polityków (jak szara eminencja Nancy Pelosi czy liderzy w Kongresie Chuck Schumer i Hakeem Jeffries) aż po wcześniejszych obrońców kandydatury Bidena. Szybko zdobyła też

poparcie wystarczającej liczby delegatów na sierpniową konwencję Demokratów, aby otrzymać tam nominację. Nominacja kogoś innego jest dziś nieprawdopodobna.

Tak szybkie tempo ma też krytyków. Republikanie twierdzą, że był to antydemokratyczny pucz: że głosy oddane w prawyborach wyrzucono w błoto, a ją namaścili „aroganckie elity”. Prawdziwy powód ich ataków jest najpewniej inny: sztab Trumpa wydał miliony na kampanię przeciw Bidenowi, eksponując jego wiek i kondycję umysłową. Wystawienie młodszej o dwie dekady Harris sprawia, że teraz to Trump wygląda jak nienadający się do urzędu starzec.

Krytyka wobec „koronacji” (jak to określono) pojawia się też ze strony komentatorów sympatyzujących z Demokratami. Ci uważają, iż otwarty proces nominacyjny mógłby zaowocować lepszym kandydatem lub sprawić, że Harris mogłaby zaprezentować w nim swoje zalety i wyjść z takiego wewnętrznego starcia wzmocniona.

„ZETKI” Z KAMALĄ | Jej kandydaturę entuzjastycznie przyjęli najmłodsi wyborcy – grupa kluczowa dla Demokratów, której Biden nie umiał porwać. Według portalu Vote.org w ciągu 48 godzin od rezygnacji Bidena i wskazania przez niego Harris jako następczyni zarejestrowało się 40 tys. nowych wyborców, z czego 85 proc. to osoby poniżej 30. roku życia.

Źródło tej popularności może być kilka. Historia rodziny Harris jest wręcz filmowa, a ona sama uosabia różnorodność rzeczywistości społecznej, z którą styka się generacja Z – nawet jeśli nie w swoim otoczeniu, to przez media, które konsumuje. Donald J. Harris, jej ojciec, pochodzi z Jamajki, a matka Shyamala Gopalan z Indii. Poznali się na spotkaniu ruchu praw obywatelskich podczas studiów doktoranckich na Berkeley, jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w USA. Oboje zrobili kariery (ojciec został profesorem ekonomii na Uniwersytecie Stanforda).

IKONKA KOKOSA | Harris ma też duży potencjał memiczny. Jej mimika, głośny śmiech (wcześniej media nazywały go dziwnym) i tendencja do używania abstrakcyjnych →

→ fraz i porównań, których znaczenie nie jest od razu jasne, świetnie nadają się do przeróbek, często podszytych sympatią. Pozwala to też na przekucie dawnych wpadek na pozytywne skojarzenia. Tak było z niezrozumiałą anegdotą o palmie kokosowej, którą Harris przytoczyła w jednym z wystąpień w 2023 r. (chodziło jej o to, że wszystko ma swój szerszy kontekst). Wtedy był to dowód na dziwaczność Harris – dziś ikonka kokosa jest używana przez jej zwolenników.

Poparli ją też celebryci ważni dla „zelek”. Beyoncé użyła jej praw do swej muzyki. Jej znany kawałek „Freedom” stał się ścieżką dźwiękową do pierwszego klipu Harris; jego hasłem jest „Wybieramy wolność”. Popularna w pokoleniu Z gwiazda pop Charlie XCX udzieliła jej poparcia, co wykorzystał już sztab – zielony kolor okładki najnowszej płyty Charlie XCX użył jako tło konta na Twitterze. Na TikToku, platformie używanej głównie przez młodych, filmiki z Harris mają miliony odsłon i pozytywnych reakcji. To, co wcześniej odbierano jako jej dziwaczność, teraz sprawia, że w oczach młodych jest człowiekiem z krwi i kości.

PRZEDSMAK | Choć decyzja Bidena wykaptała ją do roli rywalki Trumpa, to – by użyć porównania samej wiceprezydentki – nie spadła ona z palmy kokosowej. Entuzjazm młodych jest w dużej mierze reakcją na niechęć wobec amerykańskiej gerontokracji. Niewykluczone też, że gdyby Demokraci mieli więcej czasu na wybór następcy Bidena, Harris przepadłaby – choćby w starciu z Gavinem Newsomem, popularnym gubernatorem Kalifornii.

Kampania z pewnością nie będzie należała do uprzejmych. Już widać, że Republikanie będą wprost odwoływać się do rasistowskich i seksistowskich stereotypów. Przedsnak dał członek Izby Reprezentantów z Tennessee Tim Burchett, który powiedział, że Harris „na sto procent” została zatrudniona, gdyż jest niebiałą kobietą. Użył tu określenia *DEI hire*, które odnosi się do znienawidzonych przez prawicę programów *diversity, equity, and inclusion* (ich celem jest przeciwdziałanie uprzedzeniom i zwiększenie różnorodności; prawica wini je za pogarszającą się sytuację białych pracowników fizycznych). Badania pokazują, że takie chwytły mogą być skuteczne w mobi-



KAMALA HARRIS

NA WIECU W WISCONSIN:

My się ciężkiej pracy
nie boimy, prawda?

lizacji osób, które są przekonane, iż osoby o innym niż biały kolorze skóry są dziś w USA uprzywilejowane.

Republikanie starają się też przedstawić Harris jako współwinną ukrywania prawdy o zdrowiu Bidena. Portal Politico twierdzi z kolei, że odróżnienie się od urzędującego (do stycznia 2025 r.) prezydenta może być istotnie problemem dla Harris.

JEJ CELE | Natomiast to, że będzie się od Bidena różnić, to raczej oczywiste. Harris zapewne odejdzie od charakterystycznej dla Bidena ponadpartyjności. Jej jasna deklaracja, że podpisze „prawo przywracające reprodukcyjną wolność”, jeśli zostanie ono uchwalone przez Kongres, sugeruje, iż zamiast wyciągania ręki – którą i tak Republikanie rutynowo odrzucają – będzie stawiała na skuteczną realizację postulatów.

Jako swoje cele Harris wymienia też ograniczenie dostępu do broni palnej i zabezpieczenie prawa do głosowania. Choć konkretnych pomysłów jeszcze nie przedstawiła, w pierwszym przemówieniu w West Allis kreśliła wizję przyszłości, gdzie „każda osoba ma przystępną ochronę zdrowia, przystępne żłobki i przedszkola i płatny urlop rodzicielski”. To rozszerzenie propozycji Bidena, których nie udało się wcześniej zrealizować.

W polityce zagranicznej można spodziewać się kontynuacji tego, co zaczął Biden. Jako wiceprezydentka Harris umacniała więzi atlantyckie, wykazywała zrozumienie dla zagrożenia, jakie niesie Rosja dla porządku światowego, i wykonywała gesty świadczące o jej wsparciu dla Ukrainy. Jej niemal pewna nominacja sprawia, że wielu polityków z Europy odycha z ulgą. Choć należy oczekiwać, że będzie naciskać na nich, by wykazali więcej inicjatywy w polityce bezpieczeństwa

na naszym kontynencie – także w kontekście mocarstwowych ambicji Pekinu.

Harris może mieć za to inne podejście do Izraela. Na bezwarunkowe poparcie, jakiego Biden udzielał mu w wojnie w Gazie, Netanjahu odpowiadał, ignorując wezwania USA do ochrony cywilów – i popierając Trumpa. Wydaje się, że Harris odrobiła tę lekcję. Choć na postulowane przez niektórych embargo na broń raczej nie ma co liczyć, a Izrael pozostanie partnerem strategicznym USA, to jej decyzja o nieobecności na wystąpieniu Netanjahu w Kongresie 24 lipca sugeruje, iż na linii USA–Izrael może dojść do ochłodzenia.

STRATEGIA | Głównym wyzwaniem dla Harris jest teraz odbudowa poparcia wśród tych wyborców, których Demokraci stracili od 2020 r. Musi więc z jednej strony przekonać tzw. wyborców niezależnych, że jej wizja Ameryki jest dla nich dobra (ich głosami wygrał Biden w 2020 r.), a z drugiej zmobilizować zdeklarowanych wyborców Demokratów, by poszli do urn (bez czarnych Amerykanów i Amerykanów arabskiego pochodzenia nie uda się jej wygrać w kluczowych stanach). Wysokie koszty życia, sytuacja na granicy z Meksykiem i wojna w Gazie nie czynią tego zadania łatwym.

Stąd start jej kampanii w West Allis jest strategicznie przemyślany. Wisconsin to jeden z tzw. fioletowych stanów: w 2016 r. Trump wygrał tam z Clinton różnicą 23 tys. głosów, a w 2020 r. Biden pokonał Trumpa różnicą 21 tys. głosów. Dziś Demokraci mają problem, by zmobilizować tam (i w innych kluczowych stanach przy Wielkich Jeziorach) swoich wyborców.

A to dopiero początek. Wiele zależy od wyboru kandydata na wiceprezydenta. Logika sugeruje, że powinien to być biały heteroseksualny mężczyzna o umiarkowanych poglądach – jego osoba miałaby odciążyć przypisywaną Harris (niesłusznie) nadmierną lewicowość. Wiele zależy też od tego, co pokażą sondaże, gdy skończy się „miodowy miesiąc”. No i do 5 listopada wiele może się zdarzyć. Jeśli Harris zaliczy wpadki i gafy, entuzjazm może wyparować.

Przemawiając w Wisconsin, Harris wołała: „My się ciężkiej pracy nie boimy, prawda?”. Publikacja odpowiedziała entuzjazmem. W najbliższych trzech miesiącach będzie on bardzo potrzebny.

© JAN SMOLEŃSKI



TOBIAS SCHWARZ / AFP / EAST NEWS

Wołodymyr Zeleński i Kamala Harris podczas Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Monachium, 17 lutego 2024 r.

Rosja patrzy na Amerykę

ANNA ŁABUSZEWSKA

Decyzja Bidena o rezygnacji z udziału w wyborach i poparciu dla Kamali Harris była dla Moskwy zaskoczeniem. Gotowe już scenariusze trzeba teraz pisać od nowa.

WŁADIMIR PUTIN JEST ELASTYCZNY. Wprawdzie nie co do celów strategicznych – te są niezmiennie. Cele polityki Moskwy wobec Zachodu, ogłoszone jeszcze w grudniu 2021 r., tuż przed atakiem na Ukrainę, to nadal wypchnięcie Stanów z Europy, osłabienie NATO, zniszczenie europejskiej solidarności i odzyskanie strefy wpływów w Europie Środkowej.

Elastyczne są za to narzędzia: Putin dostosowuje instrumentarium do zmieniających się warunków i graczy. Podbój Ukrainy, który miał być blitzkriegiem, ślimaczy się, generując coraz większe ryzyko i koszty. Ale Putin nie składa broni. Ugrywa niewiele, niemniej zbiera ziarno do ziarnka.

Rosyjski dyktator z nadzieją patrzył na wstrząsaną niepokojami Amerykę. Li-

czył, że wreszcie uśmiechnie się do niego szczęście i lokatorem Białego Domu zostanie Donald Trump, z którym będzie można się dogadać. Nie tylko w sprawie Ukrainy, ale szerzej: nowego otwarcia w światowym układzie sił, z mocniejszą pozycją Rosji. Za dobrą monetą przyjmowano w Moskwie buńczuczne przechwałki Trumpa, że gdy zostanie prezydentem, błyskawicznie zakończy wojnę w Ukrainie (dodajmy, że to atrakcyjnie brzmiący ogólnik, za którym nic nie stoi).

Scenariusze od nowa

Już na początku amerykańskiej kampanii wyborczej celowniki maszyny propagandowej Rosji wymierzono więc w Joe Bidena. W codziennych seansach niewiści, jakie serwuje rosyjska telewizja (nie pada tam ani jedno słowo bez porozumienia z odpowiedzialnymi za propagandę urzędnikami Kremla), zastępy „ekspertów” wylewały na Bidena wiadra nieczystości. Wyśmiewano jego podeszły wiek, przejęzyczenia i potknięcia, wyszydzano nieudaną debatę z Trumpem, powtarzano insynuacje dotyczące domniemych szemranych interesów jego samego i członków jego rodziny. No i krytykowano w niewybrednych słowach jego politykę wsparcia dla Ukrainy.

Decyzja o rezygnacji, ogłoszona przez Bidena 21 lipca, była dla Moskwy zaskoczeniem. Gotowe już scenariusze trzeba będzie pisać od nowa. „Swoją rezygnacją Biden zepsuł grę i pomieszał szyki nie tylko Partii Republikańskiej, ale także rosyjskiej agenturze, usiłującej pod pozorem negocjacji pokojowych zmusić

Ukrainę do kapitulacji” – twierdzi emigracyjny socjolog Igor Ejdman.

Ejdman wskazuje, że „wynajęci przez Kreml zwolennicy rozmów próbowali przekonać Ukraińców do ustępstw na rzecz Putina, zanim do władzy dojdzie Trump i sytuacja Ukrainy ulegnie pogorszeniu. Teraz szantażowanie Trumpem mija się z celem, bo jego szanse na wygranie wyborów są mierne”.

Niezmiennie żądanie kapitulacji

Tymczasem również cele Kremla wobec Ukrainy pozostają niezmiennie.

Miesiąc temu Putin ponownie określił, jakich ustępstw oczekuje od Kijowa. Po pierwsze, o statusie Krymu nie ma mowy: Krym jest rosyjski na wieki. Po drugie, konieczne jest przekazanie Rosji tych części obwodów zaporoskiego, donieckiego, ługańskiego i chersońskiego, których rosyjska armia nadal nie zdobyła (brytyjscy eksperci wojskowi szacują, że na ich podbój – jeśli wojna toczyć się będzie w takim tempie jak teraz – Rosja potrzebuje co najmniej pięciu lat i złożenia w ofierze półtora miliona zabitych i rannych).

„Co do pozostałych warunków, trudno powiedzieć coś konkretnego. Można założyć, że Rosja zażąda, aby Ukraina nie została przyjęta do NATO, domagać się będzie wyznaczenia limitu liczebności ukraińskiej armii czy określenia (uprzywilejowanych) praw ludności rosyjskojęzycznej” – ocenia politolog Władimir Pastuchow z University College London.

Czy to poważne przygotowanie do rozmów pokojowych z Ukrainą i jej partnerami? Przecież to – niezawołowane – ➔

→ żądanie kapitulacji. Kto się nabierze na Putina jako gołąbka pokoju? Dla niego prowadzenie wojny jest dziś narzędziem sprawowania władzy. Utrzymanie się u steru rządów jest nadrzędne wobec wszystkich innych celów, jakie realizuje.

Testowanie zachodnich polityków

Wojna w Ukrainie jest postrzegana przez obsługę Kremla jako szansa na osiągnięcie bardziej dalekosiężnych celów. Jeden z nadwornych autorów koncepcji bezpieczeństwa, Siergiej Karaganow, mówi wprost (w wywiadzie dla portalu Ukraina.ru): „Będziemy zwalczać armię ukraińską, bo to armia najemna, ale naszym głównym celem jest otrzeźwienie i zmuszenie do wycofania się Zachodu, póki jeszcze jest to możliwe. W przeciwnym razie to my będziemy musieli się wycofać z ogromnymi stratami. To będzie hańba”.

Karaganow to zwolennik zmiany doktryny użycia broni jądrowej (obniżenia progu jej potencjalnego zastosowania w celu odstraszenia wroga i sprawdzania jego reakcji). Takie wypowiedzi – a specjalizuje się w nich nie tylko Karaganow, ale też były prezydent Dmitrij Miedwiediew – są powtarzanym od czasu do czasu tematem wobec zachodnich polityków.

„Gorzej niż mała z granatem”

Wróćmy do ostatnich dynamicznych wydarzeń w Stanach, gdzie na politycznym firmamencie pojawia się dziś nowa gwiazda: Kamala Harris. Namaszczona przez Bidena, nominację na kandydatkę Partii Demokratycznej ma już właściwie zapewnioną.

W Moskwie nigdy nie miała ona dobrej prasy. W polityce wobec Ukrainy grała dotąd ściśle według linii wyznaczonej przez Bidena, wielokrotnie wspomagając go w podróżach dyplomatycznych na rzecz pomocy dla Ukrainy, wypowiadała się w tym samym co prezydent duchu. Poza tym: podczas wystąpienia na konferencji bezpieczeństwa w Monachium odpowiedzialnością za śmierć Aleksieja Nawalnego obarczyła władze Rosji, udzieliła po-

Niezależnie od tego, kto wygra wybory, celem rosyjskich władz wobec USA pozostaje podsycanie podziałów oraz
wywołanie kryzysu, gdzie tylko się da.

parcia Julii Nawalnej, spotkała się z nią, napisała o niej artykuł dla tygodnika „Time”.

Grono komentatorów, którzy na co dzień opowiadają telewizjom, jak rozumieć świat, w jednej chwili przerzuciło się więc z krytykowania Bidena na dyskredytowanie Harris. W sztandarowym programie „Wieczór z Sołowjowem” dano do zrozumienia, że poważnie traktuje się wypowiedziane niegdyś przez Trumpa słowa: „Kamala Harris jest stuknięta” – i wałkowano temat jakości jej śmiechu, sugerując, że to świadectwo braku równowagi psychicznej.

Wszelkimi sposobami

Jednak zdecydowanie ponad te poziomy wystrzelił Andriej Sidorow, dziekan wydziału polityki międzynarodowej MGU: „Kamala z guzikiem atomowym to gorzej niż mała z granatem” – oświadczył. Tak, to słowa dziekana jednego z wydziałów Moskiewskiego Uniwersytetu im. Łomonosowa. Elegancki pan w garniturze, oblatany w sprawach światowej polityki. Inni eleganccy panowie próbowali zagłaskać pani wiceprezydent pod kołdrę. Jednocześnie nie dostrzegając nic złego w seksualnych skandalach Trumpa.

Niezależnie od tego, jak potoczą się losy kampanii wyborczej w USA i kto wygra 5 listopada, nieodmiennym celem rosyjskich władz wobec USA pozostaje podsycanie podziałów i chaosu, utracenie niekorzystnych dla Moskwy projektów (przede wszystkim wsparcia dla Ukrainy) i wywołanie kryzysu, gdzie tylko się da.

Wszelkimi sposobami: cyber-podchodami, straszeniem otwartym konfliktem jądrowym, przyjaźnieniem się z pań-

stwami nieprzyjawnymi Ameryce, oddziaływaniem na nastroje społeczne w USA poprzez agenturę, uwodzeniem pożytecznych idiotów „na rosyjską duszę”, opłaceniem usług medialnych itd., itp. Przy tym oficjalnie Moskwa twardo zapewnia, że wybory są wewnętrzną sprawą USA i nie zamierza się do nich mieszać.

W krzywym zwierciadle

Czasem dowcip lepiej opisuje skomplikowane sprawy polityczne niż dogłębne analizy. A jeśli politolog połączy swoją wiedzę z żartobliwym konceptem, wychodzi z tego trafny opis sytuacji.

Iwan Prieobrażenski, niezależny rosyjski politolog żyjący dziś na Zachodzie, przeniósł amerykańską rzeczywistość w realia Rosji: „Powiem tak: słabeusz z tego Bidena. Zrezygnował z walki o reelekcję. Czy »wielki lider narodu« tak się zachowuje? A przecież wystarczyłoby, aby zrobił pięć kroków. Pierwszy: należy rzucić hasło »Nie ma Bidena – nie ma Ameryki« [nawiązanie do hasła »Nie ma Putina – nie ma Rosji«, sformułowanego przez przewodniczącego Dumy – red.]. Tych, którzy się opierają, wsadzać na 7 lat za ekstremizm. Tych, którzy grzebali w sprawach syna Bidena, skazać na 19 lat, wysłać do łagru na Alasce i tam zabić. Krok drugi: nie dopuścić do zarejestrowania kandydatów Partii Republikańskiej w wyborach. W ogóle. Żadnych. Kto będzie protestować – wsadzić”.

I dalej: „Krok trzeci: odebrać Muskowi wszystkie aktywa, przekazać je Obamie. Muska też wsadzić, ma się rozumieć. Krok czwarty: Tuckera Carlsona [dziennikarz, który zrobił wywiad z Putinem – red.] ogłosić agentem zagranicznym i terrorystą, Fox News pozbawić licencji. W CNN najlepszy czas antenowy oddać propagandystom (...). Krok piąty: wysłać na adres domowy Pelosi worki listów zwyczajnych Amerykanów z prośbą, by Biden pozostał. Zmienić konstytucję i zatwierdzić wyzerowanie dotychczasowych kadencji. I tyle. Dalej można pleść dyrdymały o tysiącletniej historii USA, o podgryzających kraj Irokezach i Komanczach i o tym, że Kanadę wymyślił Lincoln [Putin twierdzi, że Ukrainę wymyślił Lenin]”.

Konkluzja Prieobrażenskigo: „Wszyscy będą bić brawo, a te brednie trafią do podręczników historii. Najważniejsze to rządzić wiecznie. Jak prawdziwy wódz narodu”.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



Przyodziały w tradycyjny ukraiński „rusznik” pomnik Nestora Machny w centrum Hulajpola, 2024 r.

Cóż, jeśli nie wolność

TEKST I ZDJĘCIA **ANTONINA PALARCZYK**
Z HULAJPOLA (OBWÓD ZAPOROSKI, UKRAINA)

Nestor Machno to ikona dla anarchistów i buntowników z całego świata. A jak pamięta się o nim w jego ojczystej Ukrainie? Autorka „Tygodnika” odwiedziła miejsce jego urodzin – i jego krewnych.

CHOĆ NIEDAWNO, NA POČĄTKU LIPCA, niezauważenie przemknęła 90. rocznica jego śmierci, Nestor Iwanowicz Machno to postać, która w Ukrainie wciąż budzi emocje. Na świecie traktowany jest jako ikona anarchizmu. Tutaj dla jednych to bohater walki o wolność. Dla innych: zdrajca, który przyłożył się do pogrzebienia nadziei na niepodległą Ukrainę. Zależy, kogo zapytać.

Także wśród żołnierzy Machno ma dziś oddanych zwolenników: znajdują w nim inspirację dla swojej własnej wojny, za ich swobodę.

Odwiedziłam Hulajpole na Zaporozżu, gdzie się urodził, aby poszukać jego śladów. Oraz jego krewnych.

Hulajpolska republika

Kim był? Urodzony w 1888 r., dorastał w skrajnej biedzie. Oraz w niechęci do klasy „wyzyskiwaczy”. Mając 18 lat, dołączył do Związku Biednych Chłopów – tajnej organizacji anarchistycznej, działającej w tym zakątku carskiego imperium. Pojawiła się na początku wieku XX – jako jedna z zapowiedzi rychłych wstrząsów.

W jej szeregach 18-latek zaczął wdrażać ideę rewolucji. Początkowo zajmował

się napadami na lokalnych bogaczy (dla niego nie był to napad, lecz ekspropriacja). Policja rozbiła ich grupę w 1908 r., a Machno wraz z innymi, którzy pozostali przy życiu, trafił do aresztu. Sądzony za zabójstwo policjanta, szubienicy uniknął dzięki sfałszowanemu aktowi urodzenia (wedle którego był nieletni). Dostał 10 lat.

Gdy rewolucja lutowa w 1917 r. obaliła carat, został zwolniony. Wrócił do Hulajpola, gdzie rozpoczął się nowy rozdział w jego życiu: zaczął gromadzić oddział zbrojny. Tak skutecznie, że w szczytowym momencie armia Machny liczyła niemal 100 tys. ludzi, zrekrutowanych wśród chłopów. Na swych sztandarach pisali: „Wolność albo śmierć”.

Wraz z armią powstała anarchokomunistyczna republika ze stolicą w Hulajpolu. Walczyli ze wszystkimi: z okupacyjnymi wojskami niemieckimi i austro-węgierskimi, z białymi i petlurowcami. Z czerwonymi na zmianę walczyli i się sprzymierzali. Właśnie to przyniosło mu oskarżenie o dołożenie swojej cegiełki do pogrzebienia ukraińskich nadziei na niepodległość. Jego zaufanie do bolszewików okazało się skrajną naiwnością: ci rozbili

→ siły Rewolucyjnej Armii Powstańczej Ukrainy, co przyniosło kres hulajpolskiej republice.

Zmarł w 1934 r. na emigracji w Paryżu. Miał dopiero 45 lat – zabiła go gruźlica.

Spotkanie w piwnicy

Dziś Hulajpole to miasteczko-widmo: od ponad dwóch lat tylko kilka kilometrów dzieli je od rosyjskich pozycji. Trudno o nietknięty budynek. Wojna wygnała większość mieszkańców. Z rzadka poboczem przemknie jakiś cień. Lub zaszczeka bezpański pies, którego właściciele dawno stąd uciekli. Życie tli się głównie w piwnicach: dają schronienie, przynajmniej przed niektórymi rodzajami pocisków i bomb.

Schodzę do jednej z takich piwnic. U wejścia strzegą jej dwa psy; leżą pod daszkiem z blachy falistej. W środku mruczy telewizor. Na jednym z łóżek ustawionych pod ścianą kot zwinął się w kłębek. W półmroku rysują się sylwetki. Wśród nich: Jurij Iwanowicz Grom.

Jurij ma niebieskie oczy i jest spokojny niemal tak, jak stojący całkiem niedaleko, w centrum, pomnik Nestora Machny – jego krewniaka.

– Mój dziad ze strony mamy to starszy brat Nestora – wylicza, gdy siadamy na wolnym łóżku. – Omelko, czyli Omelian Iwanowicz, jeden z piątki rodzeństwa Nestora. Poza Omelkiem byli też Polikarp, Sawielij, Grigorij i Nastia. Moja mama urodziła się w 1917 r., kiedy zaczęła się rewolucja lutowa. I kiedy Nestor został zwolniony z więzienia w Moskwie.

On przyszedł na świat w 1960 r., gdy Nestor od dawna leżał na paryskim cmentarzu Père-Lachaise. Właśnie ten fakt nie dawał Jurijowi spokoju: latami zbierał dokumenty, starał się o powrót szczątków Nestora do ojczyzny i powtórny pochówek. Na cmentarzu przy ulicy Sobornej w Hulajpolu. Obok jego rodziców, Iwana Rodionowicza i Eudokii Konstantinowny.

– I obok mojego dziada Omelka i mojej babci, która, swoją drogą, żyła 109 lat, Warwara Petriwna z domu Harenko – Jurij wylicza bez zająknięcia. – Obok brata, najstarszego Polikarpa.

Rosyjska inwazja pogrzebała pomysł sprowadzenia prochów Nestora. I przekierowała życie Jurija na inne tory: od ponad dwóch lat priorytetem jest prze-



SIERGIEJ MACHNO, prawnuk Nestora, jest żołnierzem obrony przeciwlotniczej. Odessa, lipiec 2024 r.



JURIJ GROM chciałby sprowadzić szczątki Nestora z Paryża do ojczyzny. Hulajpole, marzec 2024 r.

życie w ostrzeliwanym miasteczku. I zapewnienie sobie jako takich warunków w blokowej piwnicy.

Machnowszczyzna w powietrzu

Choć Hulajpole i miejscowości, które mijam w drodze z Zaporozża, stolicy obwodu, w dużej mierze leżą w takich samych gruzach, jak miasteczka na donieckim czy charkowskim odcinku frontu, to jednak atmosfera na odcinku zaporoskim zawsze odznaczała się czymś wyjątkowym.

– To machnowszczyzna w powietrzu – uśmiecha się Jurij. – Nasza дума. Wiele miejscowych chłopaków zaciągnęło się do armii, żeby bronić kraju.

Jurij ani myśli wyjechać – podobnie jak wielu starszych ludzi zamieszkujących przyfrontowe miejscowości.

– To moja ojcowizna, tu się urodziłem i umrę – tłumaczy. – Córka wyjechała w spokojniejsze miejsce, do Dniepra. Niedawno dołączyła do niej żona. Proponowały mi, ale się stąd nie zbieram. Jestem, rzecz jasna, patriotą, ale Ukraina jest wielka i przez to różna. Inny

jest wschód od zachodu, wszędzie tam można spotkać miłość do tego kraju. Jest też lokalny patriotyzm. Mam moją matkę ojczyznę, Hulajpole. Może to nawet trochę abstrakcyjne, nie umiem powiedzieć, co tak konkretnie w tym ko-
cham. To jest we mnie.

Jurij: – Myślę, że każdy okres ma swoich bohaterów. Machno mógł być bohaterem tylko wtedy. Nie wyobrażam sobie jego na miejscu na przykład Stepana Bandery. Ówczesne warunki pozwoliły znaleźć się ludziom o naturze rewolucjonisty na właściwym miejscu. Kiedyś, dla sowieckiej władzy, machnowszczyzna to był synonim bandytyzmu. Zapytam retorycznie: czy bandyta może zorganizować grupę prawie stu tysięcy ludzi? To był bezsprzecznie ogromny ruch za wyzwoleniem chłopskiego stanu. Wiejski *baćko*, ataman kozacki: to był Nestor Machno. Ruch machnowski mógł narodzić się tylko tu, na Zaporozżu.

Ochotnik z Zakarpacia

Wśród żołnierzy popularny jest dziś pseudonim „Machno”. Najślynniejszym, który go nosił, był chyba Artur Paszku-liak, uhonorowany tytułem Bohatera Ukrainy. Poległ wiosną 2023 r. w Bachmucie. Ochotnik z odległego Zakarpacia, walczył w czeczeńskim batalionie imienia Szejka Mansura.

Do tej ochotniczej jednostki Paszku-liak wstąpił na początku pełnoskalowej wojny. Być może dlatego, że w regularnej armii mieliby problem z jego kartoteką: w internecie jego nazwisko pojawia się w kontekście zorganizowanej przestępczości na Zakarpaciu. A może nie chciał dopasowywać się do sztywnych armijnych struktur. W każdym razie: zebrał wokół siebie chłopaków (dziś operują jako „Grupa Machno”), którzy też chcieli bronić kraju, ale niekoniecznie w szeregach armii.

Zanim trafił w bachmucką „maszynkę do mięsa”, jego grupa operowała w rejonie Hulajpola. Tam przybrał swój pseudonim. Być może – nieprzypadkowo taki.

– Gdy jechaliśmy na zadanie, czułem, że Artur rozciąga jakąś aurę bezpieczeństwa, jak anioł stróż. Wtedy nie bałem się niczego – opowiada „Johnny”, najbliższy towarzysz „Machny”, gdy spotykamy się w Zaporozżu. – Był silnym liderem, trzymał wszystko w garści. I siedział pierwszy. Nigdy nie zdecydowałby się na, częste



Żołnierze z „Grupy Machno”, nazwanej tak na cześć ich poległego dowódcy Artura Paszkuliaka ps. „Machno”, podczas szkolenia. Zaporozie, lipiec 2023 r.



Zrujnowane przez rosyjskie ostrzały i opustoszałe centrum Hulajpola, marzec 2024 r.

u nas przecież, wysyłanie podkomendnych i komenderowanie nimi z bezpiecznej pozycji.

Ich grupa długo nie miała strat. Aż pierwszą ofiarą stał się jej dowódca.

„Johnny”: – Tacy ludzie po prostu nie umierają, nie mają prawa! Gdy to się stało, nie mogłem uwierzyć. W niedzielę palmową Artur z kilkoma naszymi był w terenie. „Żeka”, jeden z chłopaków, zadzwonił i kazał mi po prostu przyjechać tam, gdzie się znajdowali. Zobaczyłem ciało. To Artur, leżał ze śmiertelną raną głowy. Dowódca naszego batalionu, Muslim Czeberłojewski, ma zero mimiki. Kiedy dowiedział się o śmierci Artura, pierwszy raz zobaczyłem, jak coś się odmalowało na jego twarzy.

Prawnuk z Odessy

– Jego zdolności przywódcze są właśnie tym, co najbardziej podziwiam w Nestorze – mówi Siergiej, którego spotykam z dala od Zaporozia, na rozgrzonym wybrzeżu Morza Czarnego w okolicy Odessy.

Siergiej Machno jest prawnukiem Nestora. Oraz żołnierzem. Do wojska trafił na samym początku inwazji. Początkowo służył w odeskiej 28. Brygadzie Zmechanizowanej, jako strzelec w piechocie. Po kilku odniesionych ranach został przeniesiony do jednostki przeciwlotniczej. Automat zamienił na pick-upa z zamontowanym na pace karabinem maszynowym.

W tym aucie Siergieja można by dopatrzyć się współczesnej taczanki – wyna-

lazku właśnie Nestora Iwanowicza. Za przęg konny z ciężkim karabinem maszynowym, uwieczniony w filmie i muzyce, stał się jednym z symboli powstania Machny i wojny domowej w Rosji.

– W okresie największych represji ze strony władzy sowieckiej część krewnych zmieniła nazwisko na Michno albo Mochno – wspomina Siergiej. – Moja część rodziny nie zmieniła. Gdy byłem w szkole, to nazwisko drażniło mnie. Teraz jest inaczej.

Dziś niezwykle nazwisko spotyka się zwykle z sympatią lub rozbawieniem. – Ludzie pytają: „Nazwisko Machno? A jak ma pan na imię?”. Odpowiadam, że Nestor Iwanowicz – mówi z uśmiechem Siergiej.

„Baćko Machno” – tak niektórzy zwracają się do niego.

„Nie odwalaj machnowszczyzny” – słyszy dziś też niejeden zadymiarz. W tym przypadku machnowszczyzna będzie synonimem chaosu.

Aby córka wiedziała

Siergiej: – Przed wojną byłem ignorantem, historia rodzinna mnie nie interesowała. Pracowałem w odeskim porcie przy załadunku. Z domu do roboty, z roboty do domu. Dopiero wojna wszystko zmieniła. Stałem się dojrzałszy, poważniejszy. Po prostu jestem już innym człowiekiem.

Siergiej mówi, że to także wojenne doświadczenia obudziły w nim pragnienie zgłębienia przeszłości. W tym odszukiwania krewnych ze strony ojca, z którymi dawno nie było kontaktu. Może u kogoś zachowały się jakieś pamiątki? Może trzymają w zanadrzu jakieś wspomnienia?

– Niech tylko wojna się skończy, zamierzam naprawić te zaniedbania – Siergiej stracił ojca, gdy miał zaledwie roczek. Dziś jest przekonany, że gdyby nie jego śmierć, wiedziałby o swoich korzeniach więcej.

Pytam, co w takim razie zamierza przekazywać swoim dzieciom.

Siergiej: – Mam czternastoletnią córkę, Daszę. Nosi nazwisko Machno. Najważniejsze, co powinna usłyszeć o swoim przodku, to że bił się za wolność. Tak jak ja teraz. Za wolność mojego kraju.

© ANTONINA PALARCZYK

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

SIŁA KRAJOBRAZU

DORTHE NORS, PISARKA:

Są ludzie, dla których widok rozległego horyzontu i nieba bywa nie do zniesienia. Ja nie potrafię bez nich żyć.

ADAM ROBIŃSKI: Mówi Pani o sobie: jestem z wrzosowisk. Co to znaczy?

DORTHE NORS: Niebo nad środkowo-zachodnią Jutlandią przypomina to rozciągnięte ponad preriami. Jest ogromne, zwieńczone horyzontem tak odległym, że można ku niemu wędrować ścieżkami

przez wieczność. Dookoła pola uprawne, lasy, cisza i samotność. To nie jest malowniczy krajobraz, raczej surowy. Mało przytulny, ale piękny. W takim miejscu się wychowałam.

Co taki krajobraz robi z człowiekiem?

Sprawia, że gdziekolwiek jesteś, szukasz horyzontu. Mieszkałam potem w Kopenhadze i w Aarhus. Dużo czasu spędziłam w Londynie i w Nowym Jorku. Lubię duże miasta, ale szybko mnie wykańczają. Nie umiem w nich na dłuższą metę funkcjonować, być może

*Plaża w okolicy miejscowości
Løkken na Jutlandii.*



dlatego, że nie widzę horyzontu. Dlatego ostatecznie osiedliłam się w miejscu, w którym wzrastałam, na jutlandzkich wrzosowiskach, bo to miejsce jest elementem mojej tożsamości.

Pytam o te wrzosowiska, bo jeśli spojrzeć na mapę Jutlandii, człowiekowi wydaje się, że kluczowe będzie jednak morze.

Morze Północne to bardzo teatralne środowisko, jego obecność jest niezwykle silna. Moje wrzosowiska wykształciły się właśnie dzięki sąsiedztwu morza. Wiatr nawiewa piasek w głąb lądu, zubażając glebę. Można więc powiedzieć, że wybrzeże Jutlandii i jej wnętrze to jeden i ten sam krajobraz, związany rozległym horyzontem. Dla niektórych to bywa nie do zniesienia. Zabrałam raz nad Morze Wattowe [przybrzeżny akwen w południowo-wschodniej części Morza Północnego, w rzeczywistości nie będący morzem – przyp. ar.] dwie znajome pisarki z Kopenhagi. Dałam im wska-

zówki, ostrzegłam przed niebezpieczeństwami, a potem puściłam wolno. Jedna z nich od raz poszła przed siebie, zupełnie sama, bez jakichkolwiek obaw. Druga nie odstępowała mnie na krok. Trzymała się mnie kurczowo.

Co się jej stało?

Wyjaśniła mi później, że wychowała się w szwedzkich lasach i widok bezkresnego horyzontu ją przytłacza. Woli zamknięte krajobrazy, w których można uwić przytulne gniazdo. Za to ta druga była zachwycona. Powiedziała, że gdyby nie dzieci w Kopenhadze, natychmiast przeprowadziłaby się nad morze. Dlatego tak ważne wydaje mi się ustalenie, który krajobraz odpowiada każdemu z nas. Jaki krajobraz jest twój.

„Stone łąki” to książka napisana nad Morzem Północnym, ale Dania to dwa morza. Spotykają się w Skagen na północy Jutlandii. Opisuje Pani stanie

w rozkroku i moczenie stóp w jednym i drugim naraz.

Zarówno Morze Północne, jak i Bałtyk są niezwykle ważne dla Duńczyków. Mamy siedem i pół tysiąca kilometrów wybrzeża, głównie za sprawą wysp i półwyspów. Duża jego część to cieśniny i Bałtyk. Dla mnie jest on morzem obcym, ale dla wielu Duńczyków stanowił bramę do Europy. To morze, na którym handlowaliśmy i toczyliśmy wojny. Wystarczy odbić od brzegu, by za chwilę trafić na inny naród, inną kulturę, z którą można zawrzeć sojusz albo wzniecić konflikt. A co oznacza Bałtyk dla Polaków?

To morze wakacyjne. Jest dekoracją dla urlopu, na ogół niczym więcej. Jesteśmy narodem śródlądowym, przywiązany raczej do rzek.

Tymczasem będąc w Danii, właściwie ciągle jesteś nad morzem. Nigdy nie znajdujesz się dalej niż 50 km od wybrzeża.

Przychodzi mi do głowy tylko jeden europejski naród, który →



→ byliby tak blisko związany z wodą jak my. To Holendrzy. Wracając do Bałtyku – żeglowałam kiedyś po nim i mam wrażenie, że szybko łapie się tam chorobę morską. Bałtyk jest ostry, twardy. A Morze Północne to przede wszystkim wszechobecny wędrujący piasek. Morze Północne jest miękkie. Uspokajające.

To bardzo ciekawe, bo z naszego, polskiego punktu widzenia jest zupełnie na odwrót: to Morze Północne jest obce i budzi postrach. Tymczasem Bałtyk jest swojski, przypomina jezioro, które da się objechać dookoła.

Oczywiście Morze Północne potrafi przerażać. Ale to moje morze, potrafię je czytać, więc działa na mnie uspokajająco. Chodzi o jakąś formę komunikacji między człowiekiem a krajobrazem. Wiem, co wolno, a czego nie wolno. Wiem, że przy pewnej pogodzie należy po prostu siedzieć w domu. Turysta wyjdzie na spacer w trakcie huraganu, tubylec wie, że to przerażające doświadczenie, więc zostanie w domu. Ale ponieważ zna ten akwen od dziecka, wcale go to nie dziwi. Taka jest kolej rzeczy i kropka. Wie pan, to tak jakby postawić Duńczyka na nartach. Zupełnie sobie nie poradzi. Weźmy za to na przykład Norwega. Norwegowie to najlepsi narciarze we wszechświecie. Rodzą się z nartami na nogach, potrafią wyczyniać na nich cuda. Znają śnieg, znają góry, rozumieją ich realia. W przeciwieństwie do Duńczyków. Duńczyk na nartach w norweskich górach zaraz się zabije. Ale ten sam Duńczyk nie utonie w Morzu Północnym. W przeciwieństwie choćby do Niemca, dla którego to bardzo obcy świat. No więc, rozumując w ten sposób, Bałtyk jest dla mnie środowiskiem obcym. Bałtyk komunikuje się językiem, którego nie rozumiem. Nie lubię pływać w Bałtyku, nie robię tego.

Z lektury obu wydanych po polsku Pani książek – obok „Słone łąki” to powieść „Lusterko, ramię, kierunkowskaz” – wyłania się narracja, wedle której aby docenić macierzystą ziemię, musiała Pani najpierw przenieść się do miasta.

Rzeczywiście. Potrzebowałam oczywiście wykształcenia i pracy. Ale nawet tam moje szlaki wiodły głównie po parkach i nabrzeżnych promenadach. W pew-

nym momencie zapytałam samą siebie: dlaczego ciągle robię to, czego oczekują inni? Dlaczego nie znajdę własnej drogi? Przecież jestem dorosła, mogę żyć tak, jak mi pasuje. To gdzie chciałabym mieszkać? Odpowiedź była oczywista: zachodnia Dania. Szybko znalazłam dom, w którym mogłam żyć i pracować.

Ale to miasto zrobiło z Pani pisarkę?

Chciałam nią zostać, od kiedy miałam osiem lat. Jakbym urodziła się z energią, która każe mi wszystko przekładać na język pisany. Pierwsze rzeczy, jakie napisałam, miały również związek z krajobrazem, który mnie wówczas otaczał. Ale, oczywiście, to wszystko się sprofesjonalizowało, gdy przeniosłam się na studia literaturoznawcze. W moim domu nie było wiele książek ani tradycji pisarskich. Potrzebowałam miasta, żeby stać się zawodową pisarką.

Tym samym wpisała się Pani w tradycyjną duńską migrację z zachodu na wschód.

Kopenhaga to centralny ośrodek duńskiej władzy. Nie zawsze tak było. To miasto bałtyckie. Wzrosło w siłę i bogactwo, bo kontrolowało cieśniny. Dzięki temu wygrało wewnętrzną walkę o kontrolę nad krajem. To wschód stał się ważny. W efekcie, aby się dorobić, trzeba było przenieść się na spokojne bałtyckie wody i czerpać z tamtego bogactwa.

Nam zdarza się pisać o Polsce dwóch prędkości, Polsce A i Polsce B. W takim razie Półwysep Jutlandzki to Dania B?

Gdy przeniosłam się z powrotem do zachodniej Jutlandii, nikt z moich kopenhaskich znajomych nie rozumiał, co wyznaczam. Zupełnie jakbym robiła krok wstecz. Moje życie zaczęło się związać. Nikt nie chciał mnie odwiedzać. Gdybym przeniosła się za pracę do Amsterdamu lub Paryża, wszyscy wsiadali by w samolot i przylatywali. Ale wybrzeże?!

Jeśli to nie był krok wstecz, to dokąd?

Kiedy już wróciłam, zyskałam wiele zrozumienia dla ludzi stąd, ich zamknięcia w sobie, dystansu do innych. Odniosłam wrażenie, że mają po prostu dość bycia pomiatanymi. Kiedy byłam mała, nie wolno mi było mówić lokalnym dia-

lektem zachodniojutlandzkim. Ludzie z Kopenhagi mogą mieć duże problemy ze zrozumieniem kogoś, kto mówi dialektem. Nam z kolei wmawiano, że to język chłopów i biedoty. Wiele lat później w Nowym Jorku usłyszałam, że to właśnie języki zachodniego wybrzeża dzisiejszej Danii, języki germańskich plemion Anglów, Sasów i Jutów dały początek angielskiemu. I myślę, że to jeden z powodów, dla których wschodnia Dania tak bardzo chciała postawić na swoim. Ludzie stamtąd doskonale zdawali sobie sprawę, że my, Jutlandczycy, wcale ich nie potrzebujemy. W każdej chwili możemy wsiąść do naszych łodzi i popłynąć na zachód, zadawać się z innymi.

„Słone łąki” to książka o podróży, w której łączy Pani punkt widzenia podróżnika z perspektywą tubylca. Jakby była Pani stąd i nie stąd jednocześnie.

Może wynika to stąd, że wybrzeże jest długie, a korzenie można mieć tylko w jednym miejscu? Moim są okolice Limfjorden. Jeżdżąc po wybrzeżu, natykałam się na coraz to nowe historie, wątki i dialekty, ale krajobraz był wszędzie ten sam. Tu morze jest źródłem, wszystko inne stanowi coś na kształt posypki, detali.

Wcześniej pisała Pani powieści i opowiadania. Skąd potrzeba zmierzenia się z literaturą fikcją?

Pod koniec 2018 r. byłam w trakcie pisanie powieści, gdy zwrócił się do mnie pewien fotograf. Miał zlecenie na album o zachodnim wybrzeżu. Potrzebował tekstu, który towarzyszyłby zdjęciom. Było na to dużo pieniędzy. Odrzuciłam tę propozycję, bo byłam zajęta powieścią. Ale regularnie do mnie wracał – najwyraźniej byłam jedyną pisarką z zachodniego wybrzeża. Potrzebowałam czasu, żeby zrozumieć, że bardzo dobrze zrobi mi rok przerwy. Postanowiłam, że się tu pokręcę. Pojadę, usiądę na wydmie, pomyślę. Czytałam wcześniej sporo książek z nurtu przyrodopisarstwa, którego autorzy łączyły opisy krajobrazu z relacją z podróży, historią i jeszcze paroma innymi strumieniami narracji. To bardzo twórczy mikś. Dlaczego miałabym nie spróbować?

Jak się zostaje pisarką w społeczeństwie, w którym wszyscy mają być tacy sami? Gdzie takie

same są ich domy, a nikt – jak głośi tzw. prawo Jante – ma nie czuć się lepszym od pozostałych? Jak w takich warunkach odnaleźć własny głos?

Zanim skończyłam 20 lat, mówiłam wszystkim, że chcę zostać dziennikarką, bo to było społecznie akceptowalne. Pisarka? Artystka? O nie, to już o wiele bardziej niebezpieczne zajęcia. Mam wrażenie, że elementy prawa Jante możemy znaleźć w niemal każdej kulturze. Ale to prawda, że w Danii zostało ono wyniesione na poziom narodowy. Mamy nieustannie asymilować się z otoczeniem. Zlewać się z nim w jedno. Tak jak już mówiłam, jesteśmy małym krajem, a w małych krajach idee często stają się plemiennym wymogiem. Trudno go nie przestrzegać, trudno iść własną drogą, bo od tego plemienia zależy nasze życie. Nikt nie chce być usunięty poza jego nawias. Więc się podporządkowujesz. Starasz się nie wyróżniać.

Buntowała się Pani?

Tak. Miałam rodziców, którzy mnie wspierali w poszukiwaniu własnej drogi. Moja mama była autystyczna i doszła do wniosku, że ja też jestem. Najwyraźniej autyzm był dobrą ścieżką dla tych, którzy chcieli pozostać na uboczu. Ale prawo Jante naprawdę dało mi się we znaki dopiero wtedy, gdy odniosłam sukces międzynarodowy. Nie możesz przecież być częścią plemienia i jednocześnie cieszyć się uznaniem w innym plemieniu! Duńczycy są bardzo dumni ze swoich rodaków, którym dobrze idzie za granicą, ale jednocześnie sam nie powinienes się tym chwalić. Mówią: „Spójrzcie, oto przedstawiciel naszego plemienia!”. Ale ty wracaj do szeregu i siedź cicho, nie chcemy słuchać, jak się wymądrzasz. Nie ma w tobie nic wyjątkowego. W Stanach Zjednoczonych możesz być kim chcesz, pod warunkiem, że nie dybiesz na cudze pieniądze. W systemie klasowym Wielkiej Brytanii nikt nie ukrywa, że są lepsi i gorsi. Mam zresztą wrażenie, że podobnie skonstruowane są wszystkie społeczeństwa, tylko niektóre, takie jak duńskie, traktują to jako tabu.

Knud Sørensen, poeta, któremu poświęciła Pani w „Słonych łąkach” cały rozdział, napisał wiersz na okoliczność otwarcia Parku Narodowego Thy. Co za wspaniały



ROBERTO RICCIUTI / GETTY IMAGES

DORTE NORS (ur. 1970) – duńska pisarka i tłumaczka z angielskiego oraz szwedzkiego. Nakładem Wydawnictwa Czarne w lipcu ukazuje się jej zbiór eseistyczny „Słone łąki”, poświęcony Jutlandii, w której Nors mieszka.

pomysł! Systemową ochronę przyrody uczcić wierszem.

Knud był moim przyjacielem. Poznałam jego twórczość jeszcze jako nastolatka. Był fantastycznym opowiadaczem. Miałam nawet kasety z nagraniem przez niego opowieści. Siadałam i słuchałam tego, jak wspaniale prowadził narrację. Niczym w dawno zapomnianych tradycjach oralnego przekazu. Co ciekawe, jego pierwsze próby pisarskie były mocno rozpolitykowane. Dopiero z czasem, gdy się zestarzał, zajął się wyłącznie krajobrazem. Interesowało go już tylko to, co łączy naszą egzystencję z przestrzenią dookoła. Co znajduje się pomiędzy naszym językiem i tym, co ów język opisuje. Kiedy umierał w wieku 92 lat, odnosiło się wrażenie, że granica między nim a innymi jest rozmyta. Jakby żył w każdym z nas.

Chciałam Panią zapytać jeszcze o innego poetę, który kojarzy mi się z Danią, choć był Irlandczykiem. Seamus Heaney miał swego czasu obsesję na punkcie mumii wydobywanych z duńskich torfowisk. Napisał o nich kilka wierszy. Nie kusilo Pani, by podążyć tym tropem? Idealnie zachowane mumie z epoki żelaza, które opisał, to materialny dowód

przeszłości zapisanej w krajobrazie. Przypominają fundamenty kościoła zasypanego przez wydmy.

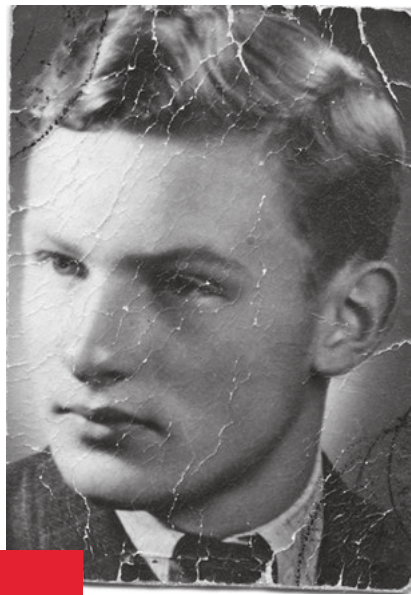
Na twarzy człowieka z Tollund maluje się nieziemski spokój. Jakby spał. Z kolei człowiek z Grauballe [druga słynna mumia, o której pisał Heaney – przyp. ar] zdaje się cierpieć. Widzimy, że jego śmierć nie była łatwa. Obie twarze są niezwykle poetyckie, nie mam żadnych wątpliwości, dlaczego wywarły na Heaneyu takie wrażenie. Sama nie pojechałam do Tollund, bo to już środkowa Jutlandia, zbyt daleko od wybrzeża. Torfowiska, w których mogły się zakonserwować ciała ludzi składanych w ofierze, nie są elementem mojego krajobrazu. Jeśli też ich tu chowano, to ich ciała dawno wymyło morze lub rozłożyły się w piasku.

Kiedy umawialiśmy się na rozmowę, wspomniała Pani o kolejnej przeprowadzce. To jak jest z tym zapuszczaniem korzeni?

Jestem w trakcie kupowania domu. Kiedy skończymy rozmawiać, zadzwonię do pośrednika handlu nieruchomościami i kto wie, być może dowiem się, że moja oferta została przyjęta. Zachodnia Jutlandia to moje miejsce na ziemi, jestem pewna, że zostanę tu do starości. Ale powiem panu jeszcze jedno: wspominałam wcześniej o moim dialekcie i o jego związkach z językiem angielskim. Bo to też jest prawda o mojej tożsamości – czuję się zakorzeniona w angielskim. Uwielbiam pracować z Brytyjczykami i Amerykanami, ich towarzystwo jest bezpieczne.

Moje poprzednie pytanie miało być pułapką – bo czy da się zapuścić korzenie w miejscu, które składa się przede wszystkim z mórz i cieśnin?

Ma pan zapewne na myśli ciągły przepływ ludzi i idei. Pod tym względem to rzeczywiście bardzo płynna kraina. Kraina w ciągłym ruchu. Tylko że Duńczyców mamy tak naprawdę dwa typy. Są wśród nas ci, którzy siedzą w głębi ładu, trzymając się krajobrazu rolniczego. Podróż kojarzy im się z niebezpieczeństwem. Są nieufni wobec tego, co obce. Ale oprócz nich są też Duńczycy z wybrzeża, którzy znają swoje korzenie, ale jednocześnie strasznie ciekawi ich to, co znajduje się po drugiej stronie wody. I z wyteśknięciem wpatrują się w horyzont. To właśnie ja. © Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI



Kasia Staryszak (później Kusocińska) i Zbigniew Kusociński; oba zdjęcia wykonano podczas niemieckiej okupacji.

HISTORIA

SPRAWA RODZINNA

W sierpniu 1944 r. do powstania razem szli bracia, przyjaciele, ojciec z synem. W rodzinie Katarzyny Kusocińskiej poszły wszystkie kobiety: ona, jej dwie siostry i mama.

PATRYCJA BUKALSKA

TAMTEGO 1 SIERPNI KASIA POŻEGNAŁA się z mamą na przystanku tramwajowym i poszła na piechotę na miejsce swojej zbiórki. Mama w dalszą drogę pojechała tramwajem.

Wcześniej dała 15-letniej córce słoiczek smalcu. Uznała, że na trzy dni wystarczy (powiedziano im, że tyle to potrwa), a potem przecież znów się wszystkie spotkają: Kasia, jej starsze siostry Marysia i Hanka oraz Leonia, ich mama.

Spotkały się, ale później: w drugiej połowie sierpnia, w szpitalu na Żłotej. Po kapitulacji zostały wywiezione wraz z powstańczym szpitalem do obozu jeńckiego pod Dreznem. Tylko Marysia uznała, że skoro ma 19 lat, to z mamą je-

chać nie będzie, bo to wstyd. Wsiadła do innego wagonu.

Rodzina

Katarzynę Kusocińską poznałam ponad 10 lat temu, gdy pisałam książkę „Sierpniowe dziewczęta '44”. Ona i jej siostra były jednymi z jej bohaterek. Nie pamiętam, kto mnie do niej skierował. Może Teresa Komender, sanitariuszka z Chmielnej? A może Wanda Okolska, 16-letnia łączniczka, która straciła nogę i Kasia opiekowała się nią w powstańczym szpitalu.

Nie zmieniła się, odkąd się ostatnio widziałyśmy. Uśmiechnięta, pogodna. Białe włosy gładko zaczesana do tyłu. Często ciastem i nie wygląda na swoje 95 lat.

Siadamy przy stole: Kasia, ja i jej córki Monika i Joanna. Chcę porozmawiać, jak to się stało, że w sierpniu 1944 r. walczyła cała rodzina, matka i trzy córki (ojciec Kasi, Józef Staryszak, został rozstrzelany w obozie Mauthausen w 1941 r.). I jak to doświadczenie wpłynęło na kolejne pokolenia.

– Powstanie było u nas zawsze obecne, często mówiło się o tym w domu – wspomina Joanna Kusocińska-Warakomska.

– Poza domem też o tym mówiłam, nikt mi nie zabraniał. Do szkoły poszłam jednak w 1966 r., potem były lata 70., więc to już inne czasy były, już można było o tym wspominać – dodaje Monika.

– Tak, ale wcześniej Jasiek się przesiedział – wtrąca Kasia. Jan Woyczyński, wychowanek Staryszaków, przez Kasię traktowany jak brat, był w partyzantce AK na Podlasiu. Po wojnie w PRL-u został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa.

Wspomnienie

Joanna: – Mam takie wspomnienie: bawię się na plaży w piasku i słyszę rozmowy rodziców. „A dziś to ten i ten dzień, wtedy byłem tu, a gdzie ty byłeś...”. Tata uwielbiał morze, jeździliśmy zawsze na koniec lipca i początek sierpnia, bo tata mówił, że później to już dni są krótsze.

Zbigniew Kusociński – mąż Kasi, ojciec Joanny i Moniki – też był w powstaniu.

Joanna: – Żelazny punkt tych nadmorskich opowieści to scena, jak do szpitala na Żłotej przyszedł beczelny młody człowiek z malagą. „Czy siostra się napije?” – zaproponował. Podobno był bardzo podobny do ojca. „To na pewno byłeś ty!” – co roku mama dręczyła ze śmiechem tatę, siedząc na plaży. A on zaprzeczał, że nie, to nie on.

– Nawet już nie pamiętam, czy się wtedy napiłam tego wina – wzdycha dziś pani Kasia. – Miałam 15 lat, byłam harcerką, więc pewnie nie.

Początek

W czasie okupacji Kasia mieszkała z mamą i Marysią na ul. Śniadeckich w Śródmieściu. Hanka, najstarsza z sióstr, była już mężatką – mieszkała u teściów, także w Śródmieściu. Że zbliża się powstanie, mogły przypuszczać: mama i Ka-



Uczestniczki powstania w obozie jędrzejowskim w Żeithain koło Drezna, 30 kwietnia 1945 r. Kasia Staryszak stoi w pierwszym rzędzie z książką. Z lewej jej siostra Hanka, z tyłu za Kasią jej siostra Marysia. Obok Marysi ich przyjaciółka Basia Szemplińska.

Poniżej: jedyne zachowane zdjęcie Zbigniewa z powstania: pierwszy z lewej stoi w bramie przy Chmielnej 126. Obok „Saper” i „Miner” (nazwiska nieznane).



ARCHIWUM RODZINNE x2

sia haftowały berety dla Grup Szturmowych Szarych Szeregów, szyły białoczerwone opaski.

Przed 1 sierpnia pojechały na Ochotę, by pożegnać się z rodziną. Tam poszło walczyć czterech ich kuzynów i dwie kuzynki.

Ich mieszkanie okazało się potrzebne – jako punkt zbiórki i dowodzenia. Po lecono im, by 1 sierpnia zostawiły je otwarte. Wyszły więc, mama i Kasia, nie zamykając drzwi na klucz.

Kasia pamięta, że starannie się ubrała: – W spódnice szafirowego koloru. A z mojej dziecinnej kołderki mamusia uszyła mi zakieci.

Wcześniej już wyszła Marysia (ps. „Czuchu”), starsza od Kasi o cztery lata.

„Wiedziałam, że mam być na Zielonej 13, i tam byłam” – stwierdziła, gdy pracowała nad książką (Maria zmarła w 2021 r.).

Teraz Joanna przypomina mamie: – Wychodząc, Marysia powiedziała ci: „Kasiu, ty się tak boisz, to ty nie idź”.

– A ja odpowiadałam: „Głupia jesteś i się nie wtrącaj” – uśmiecha się dziś Kasia i przyznaje, że rzeczywiście się bała.

Strach

Miejsce zbiórki Kasia miała w Śródmieściu, w mieszkaniu koleżanki. Nie zastała jej. Pamięta, że już strzelali. Pobiegła dalej, aż na Koszykowej zatrzymała ją mama innej koleżanki z AK, pani Szemplińska. Tam Kasia pomagała w punkcie sanitarnym („Chciałam coś zrobić, mimo że się bałam”). Aż spotkała męża Hanki i usłyszała, że mama jest na Żłotej.

To Śródmieście Północne. Od Śródmieścia Południowego, gdzie była, oddzielają je Aleje Jerozolimskie, wtedy pod stałym ostrzałem. Przejście było jedno: przekop i barykada pod kontrolą powstańców. Aby przejść, trzeba było mieć przepustkę i odstąpić swoje w kolejce.

Jednak wtedy wykop nie był jeszcze gotowy. – Barykada była tylko na chodniku, potem trzeba było wyjść na jezdnię i skoczyć pod ostrzałem – wspomina Kasia. –

Jak się teraz o tym opowiada, wszystko jest inaczej. Wtedy strasznie się bałam, to był potworny strach.

Skoczyła.

– Mamusia była za to bardzo bojowa – dodaje dziś. – W szpitalu była pielęgniarka, która, gdy nadlatywał niemiecki samolot, zaraz uciekała do piwnicy. „Ranni się patrz! Tak nie można, wstyd!”, krzyczała na nią mama.

Mama

Z mamą Kasia spotkała się w szpitalu na Żłotej. Pielęgniarką była tam już jej najstarsza siostra Hanka. Ona załatwiła, że Kasię, mimo jej 15 lat, przyjęto jako sanitariuszkę.

Maria była w batalionie AK „Kiliński”. „Na początku byłam w patrolu sanitarnym naprzeciwko PAST-y. Rannych trzeba było opatrzyć i potem zanieść do szpitala. To wszystko pod ostrzałem, ale dawałyśmy radę, bo było nas zwykle cztery dziewczęta do rannego” – opowiadała mi Maria przed laty.

I dalej: „Chodziłam też z koleżanką do Haberbuscha po ziarno [z niego gotowano tzw. supę pluj – red.]. Dawali nam też jakieś puszk. Problem był w tym, że aby tam dojść, trzeba było przeskoczyć pod ostrzałem. Ale skakałyśmy – między jedną serią z karabinu maszynowego a drugą. Nie bałam się, ale to była taka barania odwaga. Nie przychodziło mi do głowy, że coś mi się może stać. Żadne bohaterstwo więc to nie było”.

Gdy zbombardowano punkt, gdzie służyła, także Maria trafiła na Żłotę. Rodzina znów była razem.

– Mamusia pracowała w kuchni, bo kucharka uciekła. Mama powtarzała, że się boi, by tylko wrzątek się na nią nie wylał. Patrzyłyśmy na nią: wrzątku się bać? W powstaniu? Śmiałyśmy się z mamusi i tej supy – wspomina Kasia.

W Muzeum Powstania Warszawskiego jest biogram mamy Kasi. Leonia, →

Katarzyna i Zbigniew Kusociński podczas wakacji nad Bałtykiem; Zbigniew trzyma jamnika Dżeka. Lata 60. XX w.

→ rocznik 1887, miała wtedy 57 lat. Była „peżetką”, członkinią organizacji Pomoc Żołnierzowi, powstałej w 1942 r. W powstaniu „peżetki” gotowały, nosiły jedzenie na barykady, prały, podnosiły na duchu. W powstaniu było ich ponad dwieście. Zginęła co czwarta.

Szpital

Na Złotej Kasia miała pod opieką trzy piwnice z rannymi. Ona i jej koleżanka Joanna.

Tak opowiadała mi, gdy poznałyśmy się przed laty: „Sanitariuszki w tym szpitalu to były w większości takie dziewczynki jak ja, może rok, dwa starsze. Ale lekarze byli doświadczeni i robiło się tam poważne operacje. Było jednak bardzo ciężko – brud, śmierdziało, wody nie było, antybiotyków nie było. Przynosili tych młodych chłopaków i dziewczyny, a oni wszyscy umierali. Kiedyś miałam nocny dyżur i przynieśli chłopca po amputacji. Miał może 9-10 lat. Podali mu chyba eter,

ale on co chwila odzyskiwał przytomność i chciał wyskakiwać z łóżka. Nie mogłam go ani na chwilę zostawić i w rezultacie nie pomierzyłam temperatury innym chorym. Rano przyszedł ordynator, dr Konarski, i strasznie mnie zwymyślał”.

Dalej: „Byłam strasznie smarkata i czasem moje zadania były krępujące. To byli młodzi chłopcy, a trzeba było im basen podać. Wstydyłam się, oni pewnie też”.

I jeszcze: „We wrześniu zaczęłam być bardzo zmęczona. Położyłam się kiedyś w piwnicy, jakieś zawżone kołdry były

tam składowane. Położyłam się i miałam taki moment załamania, powiedziałam, że nie wstanę. Moja mama biegła i mówiła: »Wstawaj, masz dyżur, no wstawaj«. Szarpała mnie za włosy. A ja nie mogłam wstać”.

Kasia, Maria, Hanka i Leonia były w szpitalu na Złotej aż do kapitulacji.

Ojciec

Zbigniew Kusociński ps. „Justyn” – rocznik 1928, późniejszy mąż Kasi – był w Szarych Szeregach od 1943 r. Brał udział



ARCHIWUM RODZINNE

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy.
Warto sobie uświadomić, że jest za co”
– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna
czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś...
życzeniami: „Życzę też, byśmy
nie byli ponurakami.
Zmartwychwstanie jest
obietnicą przyszłej
nieśmiertelności,
więc na wszystko możemy
patrzeć w perspektywie
wieczności! Alleluja!”



w akcjach tzw. małego sabotażu. W powstaniu był w Zgrupowaniu Chrobry II, uczestniczył m.in. w zdobyciu Dworca Poczтового.

Rozmawiamy o nim, a Kasia wzdycha: – Ile ja już zapomniałam...

– Dlatego dobrze, że nam tyle opowiadaliście, bo my pamiętamy! – śmieje się Joanna. – Choć tata opowiadał inaczej, jak mężczyzna, to znaczy o akcjach, walce.

Joanna: – Raz tata poszedł ze mną na Żelazną i pokazał miejsce, gdzie podczas przeskoku przez ulicę zginął jego dowódca, ps. „General”, świetny żołnierz i kolega. Był brawurowo odważny. Nie czekał, aż „gołębiarz” [strzelec wyborowy – red.] będzie musiał przeładować broń, skoczył tak po prostu. I zginął.

16-letni „Justyn” długo miał szczęście. Dopiero pod koniec września został ranny w rękę. Groziła mu amputacja, ale udało się ją uratować.

W rodzinnym archiwum zachowała się odbitka zdjęcia ojca z powstania: za tarte i zblakłe, pokazuje kilku chłopców w bramie na Chmielnej. „Justyn” ma chyba panterkę, na ramieniu opaskę, jest

wyższy od innych. Patrzy w obiektyw, ale nie można odcyfrować wyrazu twarzy.

Czy mówił, dlaczego poszedł do powstania? – To było naturalne – zgodnie odpowiadają córki. Podchorążówka, harcerstwo, tak było i już.

Monika: – Jeden z jego szkolnych kolegów opowiadał mi, że tata przed powstaniem przyszedł pożegnać się z nim w oficerkach [modne wtedy wysokie skórzane buty – red.]. Temu koledze rodzice nie pozwolili walczyć, więc tata mu szalenie imponował.

Dziadek

Swój udział w konspiracji miał też ojciec Zbigniewa, dziadek Moniki i Joanny. Wśród dokumentów znajdujemy zaświadczenie z sierpnia 1944 r., wystawione przez Delegaturę Rządu na Warszawę (tj. powstańcze władze cywilne), że Zygmunt Kusociński jest komendantem Ochrony Przeciwlotniczej domu przy ul. Marszałkowskiej 127.

– Wychodził na dach i wypatrywał nalotu. I się nie bał. Jak to każdy reaguje inaczej... Nie, jednak to niemożliwe, żeby się nie bał... – zastanawia się Kasia.

– Był jedynakiem, z dobrze sytuowanej rodziny, wymuskany, eleganckim. Kilka razy dziennie się przebierał. A jak przyszedł czas, to poszedł po prostu do powstania i tyle – mówi Joanna o dziadku.

Po powstaniu pracował dla PCK, zajmował się aprowizacją dla ostatnich osób pozostających w mieście. Z dokumentów wiemy, że jeszcze 16 października 1944 r. własnoręcznie potwierdził odbiór z Rady Głównej Opiekuńczej 100 kg kartofli, 5 kg buraków i 3 kg marchwi dla stu osób na ulicy Brackiej. Później zbierał w PCK dane o zaginionych.

Dyskusja

Jaki wpływ miało powstanie na nie: na córki, wnuczki powstańców? Co zostało w pamięci rodziny?

– Nie robić więcej powstań! – Kasia wyprzedza odpowiedź córek.

– Nie robić – kiwa głową Monika. – Naszą rodzinę władze okradły po powstaniu. Mimo prób do dziś nie udało się nic odzyskać. Do tego rodziców nazywają bohaterami... To kpina.

– Nie zgadzam się z tobą, przecież to nie przez powstanie, tylko przez wojnę →

REKLAMA

W Sopocie czas płynie Twoim tempem...



visit.sopot.pl

→ i to, co po wojnie w Polsce się stało – polemizuje Joanna. – Nie odzyskaliśmy domu, bo była komuna. Gdyby nie powstanie, to bylibyśmy sprowadzeni do roli robaków bez wykształcenia.

– A ja myślę, że domy by nie były zburzone i ludzie by żyli – kontruje Monika i w naszej rozmowie jak w lustrze odbija się dzieląca Polaków dyskusja o ocenie powstania.

– Zastanawiam się, po co to było. Czy to było warte. Tyłu rannych umierało. Powiedziano nam, by wziąć jedzenie na trzy dni, a walczyliśmy dwa miesiące – zastanawia się Kasia. – Nie wiem... Nie wiadomo, co by było, gdyby.

Talerzyk

– Po wojnie mój tata poszedł na Marszałkowską, gdzie był ich dom, i z gruzów wyciągnął walizeczkę z dokumentami dziadka Zygmunta. Wyciągnął też z gruzów talerzyki. O, także ten, na którym pani je ciasto. Tyle nam zostało – podsumowuje Monika.

– A ja czuję dumę. Jestem dumna z rodziców. Czuję więź z Warszawą, z historią – mówi Joanna.

Chwilę rozmawiamy o planach na lato, o pogodzie (jak gorąco!), książkach i dzieciach.

Nakładam kawałek jagodowego ciasta na talerzyk, który przetrwał w zaskakująco dobrym stanie. Namalowane na nim kwiatki nie straciły intensywności kolorów, ażurowy brzeg jest nieukruszony. – Tylko złotko się wytopiło – zwraca uwagę Monika.

■ ■ ■

Żegnamy się, gdy Katarzyna Kusocińska nagle zadaje pytanie: – Czy jestem bohaterką? Bo kiedy dostaję kartki z życzeniami albo przychodzą harcerze, to mówią, że jestem. A ja przecież tak się bałam.

– Oczywiście, że tak – odpowiadaśmy chórem.

– Wszyscy się boją, pani pokonała strach – mówię.

– Niech będzie – Kasia uśmiecha się i mruga okiem. – Bohaterka, jak Emilia Plater!

©PATRYCJA BUKALSKA



Dobrawa Czocher, autorka kompozycji i odtwórczyni roli Joanny w operze „D'ARC”, podczas prezentacji przed premierą w Muzeum Powstania Warszawskiego, 3 lipca 2024 r.

80 lat, 20 lat

PATRYCJA BUKALSKA

Gdy powstawało w 2004 r., wielu weteranów było sceptycznych wobec jego koncepcji. Przekonali się, gdy ujrzeli, że do Muzeum Powstania Warszawskiego idą tłumnie ludzie dla nich najważniejsi: ci, którzy mają tyle lat, ile oni w sierpniu 1944 r.

LIPIEC 2024 ROKU. PRZY ULICY GRZYBOWSKIEJ, na balkonie na drugim piętrze, zjawia się młoda dziewczyna. Białe podkoszulek, dżinsy, włosy związane w prosty kucyk.

Zaczyna grać na wiolonczeli. Dźwięki narastają i opadają, pulsują napięciem. Nakładają się na odgłosy ulicy: szum aut, sygnał karetki. Gęste powietrze stoi, nie ma nawet powiewu wiatru. Kolorowy wiatraczek na sąsiednim balkonie zamarł.

Przechodnie nie przystają, by posłuchać. Może nie chcą przeszkadzać. Może nie słyszą, spiesząc w swoich sprawach. Tylko Warszawa, rozgrzana latem,

wchłania dźwięki – i opowieść Joanny, wiolonczelistki z roku 1944.

OPERA | – Joanna jest młodą ambitną studentką, która chce zostać koncertującą wiolonczelistką. Ale żyje w takim właśnie momencie w historii swego kraju – mówi Dobrawa Czocher, autorka kompozycji i odtwórczyni roli Joanny w operze „D'ARC”. Jest początek lipca, konferencja prasowa w Muzeum Powstania Warszawskiego. Muzeum przygotowało tę operę na 80. rocznicę.

Joanna jest cywilem. Nie ma broni, stara się przetrwać. Widzowie zobaczą ją w jej własnych zmaganiach, w jej nieheroicznej codzienności.

Opera „D'ARC”, w reżyserii Krystiana Lady, to przedstawienie typu site-specific: granica między sceną a widownią jest zatarła, a miejsce prezentacji ma znaczenie. Balkon starej kamienicy przy Grzybowskiej to jedna z kilku stacji, gdzie zostanie odegrana.

Opera opowiada dzieje trzech kobiet żyjących w różnych miejscach i czasie, które spotykają się w swych snach. Jest Joan (w tej roli Agnieszka Grochowska): fotoedytorka z Paryża, córka polskich emigrantów. W pudełku po babci znajduje klisze z 1944 r., na których ta rejestrowała swą codzienność. Jest Giovanna (Gabriela Legun), francuska bohaterka narodowa, Dziewica Orleańska. I Joanna: kobieta w środku walk z sierpnia 1944 r.

JĘZYK | – To ostatnia okrągła rocznica, w której weźmie udział tylu uczestników i uczestniczek powstania. Tegoroczne obchody musiały być wyjątkowe – mówi Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum. – Projekt opery powstał, by uczcić naszych przodków, a także Warszawę. „D’ARC” to efekt pracy blisko 100 osób, z których aż 40 występuje na scenie.

Dlaczego jednak opera? Ołdakowski: – Tylko język sztuki może opowiedzieć tak poruszające, wielowątkowe wydarzenie jak powstanie warszawskie.

O tym, co stało się 80 lat temu, Muzeum opowiada od 20 lat. W tym roku ma własną okrągłą rocznicę. Powstało w rekordowym tempie, dzięki determinacji jego twórców i wierze w powodzenie wielu ludzi, w tym ówczesnego prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego. Po raz pierwszy otworzyło się na kilka dni na rocznicę w 2004 r. Potem dokańczano prace. Ostatecznie zostało otworzone w październiku 2004 r.

POCZĄTEK | Pamiętam to parodniowe otwarcie latem 2004 r. Tłumy i nastrój uniesienia. Ludzi, którzy przynosili swoją historię rodzinną. Wzruszonych powstańców, już wiekowych, którzy poczuli, że mają własne miejsce.

– Nagle okazało się, że w całej Warszawie widać, iż ta rocznica jest ważna. Że dzieje się coś ważnego. To był pretekst do mnóstwa społecznych interakcji. Udało się coś niesamowitego, coś, o czym marzyliśmy. Choć dotarło to do nas dopiero po pewnym czasie – wspomina Jan Ołdakowski, gdy rozmawiamy w lipcu [patrz wywiad obok – red.]. – Warszawiacy odnaleźli w temacie powstania i hołdzie dla powstańców rodzaj rytuału, w którym mogą wziąć udział.

Przez te 20 lat Muzeum wrosło w mapę miasta. Stało się jednym z najpopularniejszych miejsc dla turystów. Do dziś odwiedziło je 10 mln osób, w tym 88 tys. grup zorganizowanych. W jego zbiorach jest blisko 200 tys. archiwalnych dokumentów, ponad 50 tys. obiektów fotograficznych, w tym 14 tys. zdjęć dostępnych w tzw. Fototece.

WYZNACZNIK | Ołdakowski wspomina, że na początku były obawy, czy Muzeum, z jego nowatorską interaktywną ekspozycją, zaakceptują sami powstańcy. – Byli surowymi obserwatorami naszych dzia-

łań i do wielu rzeczy trudno ich było przekonać. Baliśmy się, czy zaakceptują formułę muzeum adresowaną już do innego pokolenia – mówi Ołdakowski w rozmowie z „Tygodnikiem”.

– Potem powtarzaliśmy sobie – dodaje dyrektor – że powstańca łatwo zidentyfikować w tłumie ludzi. Bo on stoi tyłem do wystawy, a przodem do innych zwiedzających. Bo to obserwowanie reakcji ludzi było dla nich najważniejsze. Gdy zobaczyli, że do Muzeum przychodzą młodzi, uznali, iż nasza metoda, do której na początku nie byli przekonani, sprawdziła się i Muzeum przyciąga ludzi dla nich najważniejszych: tych, którzy mają tyle lat, ile mieli oni w 1944 r. Ich reakcja była dla powstańców wyznacznikiem sukcesu Muzeum.

MIEJSCE | Na rozmowę z Janem Ołdakowskim przychodzę za wcześnie. Do wejścia do Muzeum ciągnie się spora kolejka. Mijam ją i idę do Muru Pamięci, gdzie na granitowych płytach widnieją nazwiska poległych żołnierzy.

Za murem, między nim a ogrodzeniem, jest takie miejsce: wąski ogród pełen kwiatów, zdjęć i murali. Pachną róże. Jest cicho i pusto. Ale i tu trudno zapomnieć, po co jest to miejsce. Nie tylko z powodu tych 11 627 nazwisk umieszczonych po drugiej stronie muru (lista jest stale uzupełniana; spośród walczących z bronią w rękę zginęło wtedy ok. 16 tysięcy; zabitych cywilów było ok. 180 tysięcy). Także za sprawą historii tego miejsca.

Gdy powstańcy musieli wyczołgać się z Woli, właśnie na linii ulicy Towarowej, tej biegnącej za ogrodzeniem Muzeum, ustanowiła się linia frontu. „Twardy Front”, tak go nazywano, bo udało się utrzymać go do końca. W miejscu, gdzie jest dziś Muzeum, stali Niemcy, kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy Polacy. Blisko od siebie, ulica była węższa niż teraz. Pamięć pozostała – we fragmentach starych murów, ostańcach.

BUDYNEK | Muzeum mieści się w dawnej Elektrowni Tramwajowej. Zbudowana w 1908 r., z czerwonej cegły, kontrastuje z rozrastającą się w okolicy zabudową szklanych wieżowców. Ma za sobą dobre i złe chwile. W 1917 r. doszło do wybuchu kotła, eksplozję słyszał było na całej Woli. Potem elektrownię modernizowano. We wrześniu 1939 r. została zbom-

bardowana. Odbudowana, działała pod niemieckim zarządem.

W pierwszych godzinach powstania miały tu miejsce walki. „Tragiczny dla Elektrowni Tramwajowej okazał się 6 sierpnia 1944 roku – tego dnia Niemcy rozstrzelali jej cywilną załogę” – pisze Jerzy S. Majewski w książce „Historia pod napięciem, czyli wokół muzeum przez wieki”.

I dalej: „Zbombardowana ponownie w trakcie Powstania, a później wysadzona przez Niemców w powietrze, Elektrownia Tramwajowa na Woli przestała ostatecznie istnieć po wojnie”. Choć po 1945 r. odbudowano prowizorycznie część budynków, popadała w ruinę. Aż w 2004 r. подарowano jej nowe życie.

ROZMOWY | Muzeum to nie tylko ekspozyty. To też ludzie i ich historie.

– Z propozycją zwrócił się do mnie Paweł Kowal. Wszystko tworzyliśmy od zera. Dostałem wolną rękę, ale Paweł powiedział: „Musisz zrobić pięćset wywiadów w ciągu roku”. Wydawało się to nie-realne, bo chodziło nie tylko o zrobienie wywiadów, one też musiały być spisane – wspomina Jacek Borkowicz, pierwszy szef Archiwum Historii Mówionej w MPW.

Archiwum ruszyło z dwoma ekipami filmowymi oraz trzydziestoma wolontariuszami i wolontariuszkami.

– Widziałem niesamowitą potencjał, energię ludzi – wspomina Borkowicz. – I udało się! Po roku mieliśmy nie pięćset, a sześćset wywiadów i wszystkie spisane. Wielu ludzi, których wtedy nagraliśmy, wkrótce już nie żyło. Dlatego Paweł Kowal powtarzał: „Musimy zdążyć”.

Jakie były te pierwsze wywiady? Borkowicz: – Powstańcy byli zaskoczeni i ci młodzi wolontariusze byli zaskoczeni, że jest taka obopólna chęć rozmowy. Nikt z nimi tak nie rozmawiał przez kilkadziesiąt lat. Albo w ogóle nie rozmawiał. Opowiadali nam o swoim życiu codziennym, nie tylko o walce. To była dla nich często pierwsza taka opowieść.

WANDA | Wywiady prowadzono zwykle w domach, gdzie uczestnicy i uczestniczki powstania czuli się najbardziej komfortowo. Czasem rozmawiali chętnie, nagranie było dla nich świętem. Czasem trudno było ich przekonać – uważali, że w ich opowieści nie ma nic wyjątkowego.



PATRYCJA BUKALSKA

Ogród z muralami przy Muzeum Powstania Warszawskiego, lipiec 2024 r.

→ Z pierwszych wywiadów, które prowadziłam jako wolontariuszka Muzeum, pamiętam Wandę. Była łączniczką i sanitariuszką, 1 sierpnia miejsce zbiórki miała na Okęcie. Tam walki trwały tylko jeden dzień, atak na lotnisko nie powiódł się, potem powstańcy byli wyłapywani i rozstrzeliwani.

Moja rozmówczyni ukrywała się, gdy usłyszała o dwóch powstańcach, którzy przeżyli zbiorową egzekucję. Obaj byli ranni. Jednego ludzie ukryli w piwnicy w pobliskiej wsi. Wanda co noc przemykała do niego, by zmieniać opatrunki. Co noc ryzykowała drogę do niego. Robiła coś, czego robić nie musiała. Nikt nie wydał jej takiego rozkazu.

A jednak w jej opowieści był żal: mówiła, że żałuje, że nie zrobiła więcej. Że nie walczyła ze swoim oddziałem, że była na peryferiach wydarzeń. Słuchałam jej i pamiętam, jak bardzo chciałam jej powiedzieć, że jej historia jest ważna. Tak samo ważna jak tych, którzy wieszali białoczerwone flagi w centrum miasta.

I że była bardzo odważna.

OJCIEC | Jacek Borkowicz wspomina, jak nagrał własnego ojca. W sierpniu 1944 r. Janusz Borkowicz miał 11 lat i oczywiście nie przyjęli go do wojska, do AK.

Syn wspomina: – Tato roznosił za to na ulicach Moniuszki i Jasnej gazetę AK, Biuletyn Informacyjny. Piwnice były tam poprzejebane, więc przechodził z jednej do drugiej. Patrzę czasem na zdjęcia tych młodych chłopców – mówi Jacek Borkowicz. – W czarnych czapkach Poczty

Polskiej, z wielkimi torbami, w krótkich spodenkach. I myślę, że może on tam jest.

– Wychowałem się w tych opowieściach – wspomina syn. – Powstanie jest częścią mnie. Gdyby ktoś mnie zapytał, czy decyzja o nim była słuszna, powiedziałbym, że nie. Ale skoro już zostało to zrobione, nie można po aptekarsku ważyć. To część nas, naszej tożsamości.

– Ten dualizm w ocenie powstania wiąże się też z tym, że polskość boli – uważa Jacek Borkowicz. – Mnie też boli, ale jestem Polakiem i kocham tę polskość, taką pokręconą, bo innej nie ma. Historia powstania też jest pokręcona. Dla mnie jest ono świętością. Nie dlatego, żeby powiedzieć, że było potrzebne, ale dlatego, że było i nie da się tego odwrócić. Dlatego cieszę się, że mogłem stworzyć Archiwum Historii Mówionej, że mogłem to robić.

Po nim kierownictwo AHM przejęli kolejno Anna Sztyk i Jan Radziukiewicz. Do dziś nagrano 4,2 tys. wywiadów z uczestnikami i świadkami.

OCHOTNICY | Muzeum nie mogłoby działać bez wolontariuszy. Czy chodzi o pracę przy rocznicowych obchodach, specjalnych projektach, czy też o codzienną obsługę ekspozycji i wsparcie dla odwiedzających.

W tym roku podczas uroczystości będzie pracować ich dwukrotnie więcej niż zwykle: trzysta osób w wolontariacie długoterminowym i czterysta w akcyjnym. W ciągu 20 lat istnienia Muzeum przewinęło się ich prawie cztery tysiące.

– Nasi wolontariusze są w różnym wieku. W tej chwili najstarsza osoba ma 85 lat. Przyjmujemy wolontariuszy od 14. roku życia. Gdy komuś bardzo zależy, a jest młodszy, to szansę daje takiej osobie wolontariat rodzinny – opowiada mi Marta Walkowska-Lipko, która kieruje Centrum Wolontariatu.

Przez pewien czas, na początku, wolontariuszami byli też sami powstańcy. Głównie w obsłudze ekspozycji. – Osób z rodzinną historią powstańczą zawsze było i jest sporo. Ale motywacje są rozmaite. Część chce lepiej poznać historię lub poznać samych powstańców – mówi Marta Walkowska-Lipko.

Badania pokazały, że tym, co zatrzymuje ludzi bezinteresownie pracujących w Muzeum, jest społeczność. – Znajdują tu przyjaźnie, również międzypokoleniowe. Ludzi, którzy mają podobne wartości – mówi Walkowska-Lipko.

Na tę międzypokoleniową komunikację zwraca też uwagę Borkowicz: – Kiedyś pewien powstaniec przyszedł do Muzeum na nagranie. Schodziliśmy schodami, koło nas przebiega młodziutka harcerka, melduje mi, że jedzie na nagranie. A ten powstaniec patrzy i mówi do mnie: „Ładne ma pan te łączniczki”. To było takie przeżycie pomostu między nimi a nami.

– Nie udałoby się to wszystko bez entuzjazmu młodych ludzi, wolontariuszy. A to pokazuje, że pokolenia się nie zmieniają, trzeba tylko do ludzi dotrzeć – mówi Borkowicz.

SERCE | Zaglądam do Muzeum. Jak zawsze, jest tam mnóstwo ludzi. Podążają wytyczoną trasą. Przewodnicy opowiadają, dzieci zbierają kartki z kalendarza. Na każdej opisane jest, co działo się tego dnia.

Z parteru przez wszystkie kondygnacje biegnie stalowy monument z dziurami po kulach. Jeśli przytkniemy do nich ucho, usłyszymy dźwięki Warszawy z lata 1944 r. To tzw. serce Muzeum: bije dla tych, którzy zginęli, i dla tych, którzy przeżyli. Jego rytm dobrze wyczuwa się po przyłożeniu ręki – pulsuje gdzieś w tle muzealnego gwaru. Niezmienny, podskórny – jak pamięć tego miasta.

Po moim wolontariacie została mi bluza z logo Muzeum. I zdjęcie z Normanem Davisem, który nas odwiedził. A także ważne przyjaźnie z ludźmi, z których wielu już nie żyje.

© PATRYCJA BUKALSKA

Rozmowa pokoleń

JAN OŁDAKOWSKI, DYREKTOR MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO:

Dyskusja o powstaniu to także dyskusja o wartościach. Stawianie oporu złu jest ważne także dziś. Zwłaszcza że nasza część świata znów nie jest bezpieczna.

PATRYCJA BUKALSKA: 20 lat temu otwarcie Muzeum, którego jest Pan współtwórcą, stało się katalizatorem emocji. Pamiętam tamten wybuch entuzjazmu.

JAN OŁDAKOWSKI: Był to oddolny od ruch. Jak w szkolnym eksperymencie, gdy w szklance wody rozpuszcza się sól, wkłada nitkę i na tej nitce po pewnym czasie sól zaczyna się na nowo krystalizować. My byliśmy tą nitką. Chwilę wcześniej, w maju 2004 r., Polska weszła do Unii Europejskiej. Czuliśmy, że dołączamy do wspólnoty, której częścią przecież zawsze byliśmy. Wiele rzeczy się na to składało, bo atmosfera 1 sierpnia 2004 r. była rzeczywiście wyjątkowa. Pomyślałem, że to jest taka miniatura jak z pierwszych dni powstania, gdy ludzie spontanicznie okazывали sobie życzliwość. Takie poczucie wspólnoty.

Znaleźli w niej swoje miejsce i powstańcy, i ludzie młodzi.

Dla weteranów to było bardzo ważne. Uważali, że zwłaszcza ci ludzie, którzy mają tyle lat, ile oni mieli wtedy, powinni usłyszeć, dlaczego oni poszli do powstania, jakie wartości nimi kierowały. Nie oczekiwali poparcia dla ich decyzji, zdają sobie sprawę z toczących się na ten temat dyskusji. Ale chcieli, by usłyszano ich racje. Opowieść o ich pokoleniu.

Dziś powstańcy wciąż są w centrum tej opowieści, ale jest ich coraz mniej.

W otwarciu Muzeum w 2004 r. uczestniczyło ich cztery tysiące. Dziś żyje niepełna 400.

Jak będziemy o tym opowiadać, gdy ich zabraknie?

Narracja zmienia się, reagujemy na sytuację społeczną. Gdy powstańcy zostali już uhonorowani, zaczęliśmy opowiadać o cywilach. W obchodach zaczęły pojawiać się elementy czczące pamięć tych, którzy w dużej mierze są bezimienni. Tu, na Woli, ginęli i ludzie, i ich domy, a w nich zdjęcia, dokumenty, listy. Cała pamięć o nich.



Jan Ołdakowski, z tyłu Mur Pamięci

Mówimy o rzezi Woli, która zaczęła się 5 sierpnia. Zginęło co najmniej 40 tys. mieszkańców.

Po 20 latach pracy Muzeum udało nam się zidentyfikować z nazwiska mniej niż połowę z nich. Pozostali są bezimienni. Staramy się o nich przypominać i honorować przez różne rytuały, jak Marsz Pamięci 5 sierpnia. To druga część naszej narracji.

Natomiast trzecim jej elementem jest opowieść o potomkach powstańców: ich dzieciach, wnukach, prawnukach. To projekt „Korzenie pamięci”: oddajemy głos tym, którzy uważają, że w ich życiu ważne jest, iż przodek ich był powstańcem. Czasem to powód do dumy, czasem trauma. Czasem wyjaśnienie jakiejś obsesji, jak potrzeba noszenia przy sobie czegoś do jedzenia. To także wartości, które ich kształtowały. I próba odpowiedzi na pytanie, co z tamtego powstańca jest we mnie, co on mi przekazał. Nie ma dwóch identycznych odpowiedzi. Mamy już kilkadziesiąt takich wywiadów.

Na 80. rocznicę przygotowujecie operę. To nowa forma przekazu?

Kilka lat temu zamówiliśmy u pewnej poczytnej autorki tekst sceniczny o powstańcach. Wysłaliśmy jej kilkadziesiąt wywiadów z nimi. Po miesiącu odpisała, że nie da się powiedzieć nic literacko lepszego ponad to, co oni sami mówią. I z tym nas zostawiła – w poczuciu uczciwości autorki, ale też dostrzeżenia czegoś ważnego.

Powstanie to piękni młodzi ludzie, pełni ideałów, którzy chcą żyć według własnych zasad, a na ich sytuację zniewolenia nakłada się ostry bunt pokoleniowy. Chcą wywalczyć swój świat. Podejmują więc decyzje, które dotyczą nie tylko ich pokolenia, ale całej populacji miasta. To, że tę walkę wygrywa zło, budzi wciąż naszą niezgodę i niepokój. Bo przecież w kulturze masowej zło zwykle przegrywa. A tu dobrzy ludzie przegrali i na koniec widzimy ich groby. Język sztuki pozwala na opór i gniew wobec potworności, do której wtedy doszło.

Kiedyś w czasie dyskusji o filmach o powstaniu Andrzej Wajda powiedział, że jego „Kanał” jest najważniejszym filmem. Jan Komasa, reżyser filmu „Powstanie warszawskie” [zmontowano go z autentycznych nagrań z 1944 r. – red.] zgodził się z nim, ale dodał, że każde pokolenie ma prawo artystycznie interpretować po swojemu powstanie, i że on to zrobił w imieniu kolejnych młodych.

Co pokolenie ma więc prawo pojawiać się inna interpretacja, która dostrzeże coś innego. Np. dziś młodzi uważają, że najważniejsze dla nich są uczucia, relacje z najbliższymi, że „miłość istnieje zawsze”. W 2023 r. było to hasło naszych obchodów.

Można w tej opowieści znaleźć coś uniwersalnego, międzypokoleniowego?

Wierność ideałom, przyjaźń, honor, szacunek do innych – takie wartości są ważne również w czasie pokoju. I także stawianie oporu wobec zła jest ważne w każdych czasach. Dyskusja o powstaniu to także dyskusja o granicach obrony własnych wartości, o tym, czy warto się poświęcać. I czy można poświęcać innych. To pytania, na które każde pokolenie powinno sobie odpowiedzieć. Zwłaszcza że nasza część świata znów nie jest bezpieczna.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

FOTOGRAF WOJENNEJ WARSZAWY

KINGA DAWIDOWICZ

Jego zdjęcia to nie tylko unikalne obrazy tragicznej historii stolicy, ale również okazja do dyskusji o tym, jak powinniśmy dbać o zbiorową pamięć.

Właśnie wydany album „Sylwester »Kris« Braun. Fotograf od powstania” składa się ze zdjęć przedstawiających życie powstańczej Warszawy oraz tekstu będącego próbą pogłębienia biografii ich autora. To ważny element, bo gdy poznajemy historię wojennego fotoreportera, oglądane kadry nabierają innego kontekstu – zdjęcia są już nie tylko historycznym dokumentem, zyskują warstwę emocjonalną, kontekst osobisty.



EUGENIUSZ HANEMAN / MUZEUM WARSZAWY

SYLWESTER BRAUN, pseudonim „Kris” (na zdjęciu obok na tle ruin stolicy, 14 sierpnia 1944 r.), zaistniał w zbiorowej świadomości w latach 80. jako odnaleziony po latach autor słynnego zdjęcia dokumentującego eksplozję pocisku na gmachu dawnego Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential. W roku 1979, w 35. rocznicę Powstania Warszawskiego, „Kurier Polski” ogłosił akcję poszukiwania autora zdjęcia, wówczas anonimowego, mając z góry przygotowany scenariusz i plan rozpowszechnienia poruszającej fotografii.

W rzeczywistości kilka miesięcy wcześniej fotografa, przebywającego wówczas w Stanach Zjednoczonych, spotkał Wacław Guth-Nowowiejski (pisarz, dziennikarz i były powstaniec) oraz redaktorka Hanna Dorota Trojan. Obejrzel i zachwycili się zdjęciami, które Braun przechowywał od czasu powojennej ucieczki z Polski, a którymi bezskutecznie próbował zainteresować szwedzką, a później amerykańską społeczność.

Upozorowanie akcji poszukiwania było konieczne ze względów politycznych. Misternie zorganizowany plan wypalił i niedługo później Braun „odnalazł się”, gościł także na wystawach swoich prac, które wzbudziły ogromne zainteresowanie. Nie tylko żyjących jeszcze wówczas powstańców – jak mówi Piotr Głogowski, rozpałały też wielkie emocje wśród zwykłych warszawiaków, którym cenzurowana przez lata historia miasta nie była obojętna. Parę lat później, w 1983 r., udało się wydać również album „Reportaże z Powstania Warszawskiego” zawierający aż 575 zdjęć Brauna.

Głogowski – redaktor obecnie wydanego albumu i kurator towarzyszącej mu ekspozycji w Muzeum Warszawy – dodaje, że album z lat 80. broni się, jest wartościową publikacją. Dlaczego więc postanowiono ponownie zaprezentować te same fotografie? Szczęśliwym trafem odnalazło się wiele nowych materiałów – między innymi przekazane przez Dorotę Kusnerz pokaźne archiwum po Sylwestrze i Joannie Braun (mnóstwo prywatnej korespondencji, zapisków, fotografii, negatywów, pamiątek), które pozwoliły stworzyć biograficzny zarys sylwetki powstańczego dokumentalisty. Kolejnym źródłem wiedzy o Braunie okazała się Berta Weissberger, towarzysząca i asystentka fotografa, która, jak się okazało, była również autorką niektórych zdjęć przypisywanych dotąd Braunowi.



Wybuch pocisku uderzającego w gmach Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential, 28 sierpnia 1944 r.

SYLWESTER „KRIS” BRAUN / MUZEUM WARSZAWY *6



Grupa powstańców Batalionu „Ruczaj”, pierwsza od lewej Berta Weissberger, wrzesień 1944 r.



Berta Weissberger na samochodzie opancerzonym Kubus w ogrodzie przy Konserwatorium Muzycznym na Okólniku, 17 sierpnia 1944 r.

Początki przygody z fotografią młody Sylwester zawdzięcza ojczymowi, który wprowadził go w tę dyscyplinę i pożyczył aparat marki Kodak. Zainteresowanie rosnęło na tyle, że młodego adepta fotografii bardziej od szkolnych zajęć pociągały wagar z aparatem w dłoni w Lasku Bielańskim. Piotr Głogowski podkreśla, że przekazane archiwum, mimo swej obszerności, nie dostarcza wielu informacji o życiu Brauna sprzed wojny. Wiadomo, że maturę zdał w roku 1928, rozpoczął studia na Wydziale Geodezyjnym Politechniki Warszawskiej, gdzie w 1932 r. uzyskał tytuł inżyniera. Ślub, narodziny syna i rozstanie pary w 1934 r. to niestety jedynie suche fakty.

W kolejnym okresie Braun udaje się w podróż do Jugosławii, tam poznaje miłość swojego życia – Krystynę (być może była to Krystyna Marynowska, tancerka i aktorka), z którą przez kilka lat po-



Koncert Andrzeja Markowskiego w ogródku kawiarni „U aktorek”,
sierpień 1944 r.



Ucieczka z rejonu bombardowania,
ok. 2 września 1944 r.



Powstańcy w wejściu do kościoła św. Krzyża,
23 sierpnia 1944 r.

zostanie w związku. Podróże do Włoch, Niemiec i Hiszpanii, a także pracę w Wydziale Planowania Miasta przerywa wrzesień 1939 r. Braun nie porzuca jednak drogi fotografa. Wręcz przeciwnie – kupuje małoobrazkowy aparat Leica Standard (dzięki poręcznym gabarytom doskonale na trudne warunki) za odprawę przyznaną urzędnikom przez Stefana Starzyńskiego. To moment narodzin legendy Brauna.

Jego prace z początku wojny, jak pisze Głogowski, cechują się przemyślaną kompozycją planów oraz chłodną, chwilami jakby „techniczną” rejestracją ruin. Wyglądają jakby wykonane na potrzeby urzędowego sprawozdania. Braun zestawia ocalałe fragmenty budynków z tym zdominowanym przez zgłiszcza i zwalę gruzu. Dystrybucja zdjęć cieszy się dużym popytem, przynosi spory zysk, a sam fotograf zaczyna używać pseudonimu „Kris”. Równolegle funkcjonuje w podziemnej or-

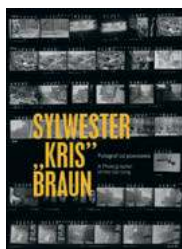
ganizacji wojskowej „Wilki”, włączonej później w struktury Armii Krajowej. W wyprawach fotograficznych towarzyszy mu Jan Ryś, złapany w 1941 r. przez Gestapo. Po śmierci Rysia Braun ogranicza swoją aktywność dokumentalisty i dzięki artystycznym wpływom Krystyny zaczyna zajmować się fotografią teatralną i portretową.

W 1942 r. poznaje Bertę Weissberger, która odegra znaczącą rolę w jego życiu prywatnym, ale też, jak się później okaże, zostanie jego towarzyszką zawodową. Ta 18-letnia Żydówka, nosząca fałszywe imię i nazwisko Krystyna Żółkoś, razem z matką trafiła do stolicy po trudach ciągłego ukrywania się. Swoją prawdziwą tożsamość wyjawia Braunowi dopiero w czasie powstania, gdzie po okresie prywatnych spotkań w kawiarniach, teatrze i na plaży nad Wisłą, Berta przyjmie oficjalnie funkcję asystentki prasowego sprawozdawcy wojennego. Po latach spędzonych w Stanach, już jako 98-latką, w czasie spotkania z Piotrem Głogowskim w Warszawie powie, że możliwość asystowania Braunowi była wybawieniem od przyniatającej konieczności ukrywania się w piwnicy.

Głównie asystuje, ale czasem również naciska spust migawki. Fotografowanie przynosi jej poczucie sprawczości, pozwala na moment zapomnieć o strachu. Dziś wiadomo, że część zdjęć przypisywanych Braunowi jest wykonana przez Bertę. Ona sama nie widzi jednak potrzeby dochodzenia praw autorstwa, a pamięć podsuwa jej raczej obrazy zniszczonych kwartałów miasta i emocji, które jej wówczas towarzyszyły. Jednak „samo odkrycie współautorstwa jest kwestią niezwykle istotną, skłania bowiem do przyjrzenia się poszczególnym kadrom i całej kolekcji”, mówi Głogowski.

Zdjęcia zawarte w albumie to w dużej mierze dokumentacja zniszczeń, które dotknęły miasto, uchwycenie skali upadku Warszawy. Na całość publikacji składają się również fotografie scen z powstańczej codzienności: sanitariuszki przy pracy, odpoczywające grupy powstańców, przygotowywanie posiłku w polowych kuchniach. To również kadry niezwykle przejmujące, na przykład chłopiec siedzący na roztrzaskanym fortepianie, samotna dziewczynka na podwórku pełnym naprędce usypanych grobów czy mężczyzna w wyrmie muru kościoła św. Krzyża z karabinem wycelowanym w pustkę ulicy. To zdjęcie posłuży później za podstawę projektu na konkurs pomnika Powstania Warszawskiego.

Album, poza zdjęciami i szkicem biograficznym Brauna (z jego równie fascynującymi losami powojennymi, jak ucieczka do Szwecji frachtowcem przewożącym węgiel, bolesne rozstanie z Bertą i życie w Stanach oraz ostateczny powrót do Polski w latach 90.), uzupełniono o teksty poświęcone roli i znaczeniu powstańczej ikonografii w roku 1944 i obecnie. Analizy Iwony Kurz, Tomasza Stempowskiego i Tomasza Szerszenia uwspółcześniają i pogłębiają temat warszawskiego zrywu, dzięki czemu album zyskuje wielość perspektyw. Można jednak zaryzykować tezę, że najważniejszym wkładem w uzupełnienie i niejako domknięcie dorobku Sylwestra Brauna stało się odnalezienie żyjącej jeszcze świadkini powstania i towarzyszkii fotografa – kiedyś Berty Weissberger, dziś Betty Lauer. ©



Książkę „SYLWESTER »KRIS« BRAUN. FOTOGRAF OD POWSTANIA” wydało Muzeum Warszawy.

Publikacji towarzyszy wystawa o tym samym tytule, którą można oglądać w siedzibie Muzeum na Rynku Starego Miasta 42.

Więcej o wystawie i programie

towarzyszącym na www.muzeumwarszawy.pl

WIRUSAMI W BAKTERIE

Dziś, gdy bakterie coraz trudniej zwalczać antybiotykami, powraca pomysł znany już od stu lat: terapię fagowe.

ANNA BARTOSIK

OD PONAD 30 LAT FIRMY FARMACEUTYCZNE nie wprowadziły na rynek nowej klasy antybiotyku, który mógłby pomóc w walce z narastającą antybiotykopornością bakterii. Ekspersi Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) wykazali niedawno, że w 2019 r. na całym świecie

1,27 mln osób zmarło bezpośrednio w wyniku zakażeń szczepami bakterii opornymi na dostępne terapie, w przypadku zaś kolejnych 5 mln osób stwierdzono potencjalny związek śmierci z lekoopornością bakterii. W naszym życiu coraz częściej mamy do czynienia z trud-

nymi infekcjami, na które pacjenci muszą zażywać po kilka różnych antybiotyków, żeby dojść do zdrowia. Być może dziwimy się też w przychodniach, dlaczego lekarze mniej chętnie wypisują recepty na antybiotyki w przypadku łagodniejszych infekcji, niż robili to kilkanaście



Komórka bakterii E. coli atakowana przez bakteriofagi T-4. Po sforsowaniu zapory, jaką jest ściana komórkowa, wirus przejmie kontrolę nad maszyną molekularną bakterii i zacznie się namnażać.

lat temu (a nawet jeśli tak nie robią, to prawdopodobnie powinni).

Klasy antybiotyków definiuje się poprzez określony mechanizm działania, czyli zabijanie bakterii lub powstrzymywanie ich namnażania oraz skuteczność w walce z określonymi typami infekcji. I tak np. penicyliny czy cefalosporyny blokują aktywność pewnych enzymów bakterii, uniemożliwiając im budowę ściany komórkowej. Inne antybiotyki mogą ingerować w różne elementy komórkowej maszynarii bakterii. Antybiotyki stosowane od lat 80. XX w. to jedynie odmiany leków odkrytych znacznie wcześniej. Żeby opracować nowy antybiotyk, który może być dopuszczony na rynek farmaceutyczny, potrzeba około 10-15 lat badań i nawet do 1 miliarda dolarów na ich finansowanie.

Koszty i długi czas wynikają również z faktu, że łatwo dostępne substancje bakteriofagowe są już znane i używane, a opracowanie nowych jest dużym wyzwaniem naukowym. Nakład środków nie wiąże się jednak ze stopą zwrotu finansowego dla firm farmaceutycznych, ponieważ antybiotyki są relatywnie tanie w porównaniu do innych leków. Ponadto, aby przeciwdziałać antybiotykooporności, stosuje się je w małych dawkach. To połączenie wpływa na niskie dochody ze sprzedaży, co spowodowało, że wiele firm farmaceutycznych wycofało się z opracowywania nowych antybiotyków. W latach 80. w badania tego typu zaangażowanych było 18 międzynarodowych firm; dziś jest ich tylko garstka.

Przez cały ten czas bakterie, niestety, nie próżnowały.

Ewolucja pod presją

Głównym czynnikiem mającym wpływ na rozwój antybiotykooporności jest ewolucyjna zdolność bakterii do adaptacji do środowiska. Masowe stosowanie antybiotyków w medycynie – a także w hodowli zwierząt – tylko „zachęciło” bakterie do tym zreczniejszego unikania ich niszczytelnych skutków. Drobnoustroje wykształcają mechanizmy, które bronią je przed działaniem szkodliwych

dla nich substancji, np. poprzez rozkład lub usuwanie antybiotyków z komórki, dodatkowe zabezpieczenia przed wnikaniem szkodliwych substancji przez barierę ściany komórkowej lub modyfikację białek bakteryjnych, które są celem terapii. Pojawiające się u drobnoustrojów geny oporności to wynik tego, że bakteria „uczy się” obrony przed antybiotykiem na zasadzie mutacji lub poprzez transfer genów.

Mutacje, czyli losowe błędy w kopiowaniu materiału genetycznego, zachodzą stale w czasie rozmnażania się wszystkich organizmów – w tym bakterii – i umożliwiają pojawianie się u nich nowych adaptacji. W wyniku pojawiania się mutacji pewna część bakterii będzie lepiej radzić sobie z presją środowiska – w tym ze stosowanymi antybiotykami – i to te bakterie dalej będą się namnażać. Transfer genów odbywa się natomiast poprzez kontakt pomiędzy dwoma bakteriami, z których jedna ma gen oporności i przekazuje go drugiej. WHO szacuje, że problem będzie znacząco narastał: do 2050 r. z powodu antybiotykooporności może rocznie umierać nawet 10 milionów ludzi, dlatego tak ważne jest poszukiwanie nowych leków.

Jedną z nadziei na przyszłość może być terapia fagowa. Fagi, nazywane także bakteriofagami, czyli dosłownie „zjadaczami bakterii”, to wirusy atakujące bakterie. Są ich naturalnymi wrogami, nieszkodliwymi dla człowieka, zwierząt czy roślin. Fagi są dosłownie wszędzie – znajdziemy je w glebie, atmosferze, oceanach czy jelitach człowieka. Szacuje się, że w danym momencie na świecie znajduje się 10^{31} – 10^{32} bakteriofagów, co sprawia, że stanowią one najliczniejszą jednostkę biologiczną na Ziemi i odgrywają kluczową rolę w regulowaniu populacji bakterii. Jest ich tak dużo w naszym środowisku, że codziennie zabijają, przykładowo, ok. 20-40 proc. wszystkich bakterii powierzchniowych w morzu. Ich wykorzystanie w zastępstwie antybiotyków może stanowić alternatywę w leczeniu uporczywych infekcji. Zaletą fagów jest to, iż są wybredne – działają wybiórczo, w przeciwieństwie do antybiotyków, które najczęściej wykazują szerokie działanie na wiele typów bakterii, zabijając zarówno te chorobotwórcze, jak i te dla nas korzystne, składające się na naszą mikroflorę. Selektowność fagów związana

jest z tym, iż ewoluują w ścisłym związku z bakteriami – stale „uczą się” atakować konkretne szczepy bakterii, nawet gdy te równolegle same ewoluują.

Czerwone terapie

Naukowcy mogli dokładnie obejrzeć bakteriofagi dopiero po wynalezieniu mikroskopu elektronowego, czyli w latach 40. XX w. Obecnie wiemy, że zbudowane są z kapsydu białkowego, w którym zlokalizowany jest materiał genetyczny (częściej – RNA), oraz ogonka, który łączy się z komórką bakterii. W momencie infekcji materiał genetyczny faga wstrzykiwany jest do komórki bakterii przez kanał umiejscowiony w ogonku. Tak jak w przypadku infekcji wirusowej u ludzi czy zwierząt, w komórce bakteryjnej też dochodzi do namnażania fagów (replikacji) – a w konsekwencji do zniszczenia komórki i wydostania się nowej porcji fagów na zewnątrz – czyli w sąsiedztwie innych komórek bakterii, które mogą zostać zaatakowane. Niektóre bakteriofagi mają zdolność integrowania swojego materiału genetycznego z DNA bakterii – wtedy pozostają w formie „uśpionej”, nie niszcząc od razu organizmu żywiciela.

Pierwszy raz terapia fagowa została wykorzystana w leczeniu zakażenia bakterią *Shigella dysenteriae* już w 1919 r. – prawie dekadę wcześniej, niż Alexander Fleming odkrył penicylinę. Odkrycie i nazwanie bakteriofagów przypisuje się francusko-kanadyjskiemu mikrobiologowi Felixowi d’Herelle, który jako pierwszy wyizolował fagi i zastosował je w leczeniu. Za jego pracami szczególnie chętnie podążano w byłym Związku Radzieckim, gdzie fagi stosowano na wiele chorób wywoływanych przez bakterie, w tym dur brzuszny czy cholere. Wczesne publikacje naukowe napawały optymizmem, jednak prowadzone wtedy eksperymenty nie spełniały tak wyśrubowanych standardów, jakich oczekujemy dzisiaj, a wyniki były publikowane w niszowych czasopismach i nie tłumaczono ich na język angielski. Mimo to terapia fagowa w latach 30. i 40. XX w. została na tyle spopularyzowana, że w USA kilka firm farmaceutycznych zaczęło produkować preparaty fagowe (m.in. w formie żeli lub płynów) wykorzystywane głównie do leczenia infekcji górnych dróg oddechowych.

→ Ostatecznie terapie fagowe nie przyjęły się jednak w zachodnim świecie, z kilku powodów. Po pierwsze, w połowie ubiegłego wieku naukowcy nie rozumieli jeszcze specyficzności bakteriofagów i nie wiedzieli, które z nich należy podać w walce z danymi bakteriami. Po drugie, w preparatach często stosowano fenol jako środek konserwujący, co powodowało denaturację fagów – czyli wystąpienie takich zmian strukturalnych, które powodują utratę ich aktywności biologicznej. Obie te przyczyny odpowiadały za ogólną niską skuteczność terapii. Gwoździem do trumny wczesnych terapii fagowych okazało się odkrycie i rozpropagowanie antybiotyków, które zrewolucjonizowały leczenie infekcji bakteryjnych na całym świecie. Nie bez znaczenia była także zimna wojna z ZSRR, która tłumaczyła wielką rezerwę zachodniego świata do doniesień naukowych pochodzących zza żelaznej kurtyny.

Koktajl z nieczystości

Renesans terapii fagowej nastąpił w ostatniej dekadzie, zwłaszcza w USA, głównie dzięki zaangażowaniu i osobistym doświadczeniom Steffanie Strathdee, profesorki Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego i współzałożycielki Centrum Innowacyjnych Zastosowań i Terapii Fagów (IPATH – pierwszego centrum terapii fagowej w Ameryce Północnej). W 2015 r. podczas wizyty w Egipcie mąż doktor Strathdee – profesor psychiatrii Tom Patterson – doświadczył potencjalnie zabójczej infekcji wywołanej przez bakterię *Acinetobacter baumannii*, z którą nie mogli sobie poradzić żadne antybiotyki.

By uratować życie męża, Strathdee przeczesała literaturę naukową i pewnego dnia natrafiła na artykuł dotyczący terapii fagowej, która po konsultacji z lekarzami, ekspertami z Centrum Technologii Fagowej Uniwersytetu w Teksasie, naukowcami z marynarki wojennej USA oraz amerykańską Agencją Żywności i Leków (FDA) została zastosowana wobec jej męża. Największym wyzwaniem było znalezienie odpowiednich bakteriofagów. Wymagało to izolacji nowych szczepów z takich środowisk jak ścieki, odpady czy zęzy okrętów wojennych (zęza

to najniższe miejsce w kadłubie statku, gdzie spływają rozmaite płyny i nieczystości), w celu przygotowania odpowiedniego dożylnego koktajlu leczniczego. Ten wysiłek się opłacił – terapia okazała się skuteczna, a pacjent po 9 miesiącach pobytu w szpitalu mógł wrócić do domu.

Obecnie, za sprawą rosnącego zagrożenia ze strony antybiotykoopornych bakterii, terapie fagowe zyskują zwolenników, a coraz więcej naukowców podejmuje badania, by lepiej zrozumieć wpływ tego rodzaju leczenia na zdrowie pacjentów. Leczenie bakteriofagami stanowi również alternatywę dla pacjentów uczulonych na niektóre klasy antybiotyków. Terapie fagowe to w tym momencie rodzaj leczenia ostatniej szansy, kiedy wszystkie dostępne antybiotykoterapie już zawiodły. Przeprowadza się je w wyspecjalizowanych ośrodkach badawczych. Bakteriofagi są potencjalnie dużo bezpieczniejsze dla mikroflory ze względu na swoją wysoką selektywność względem bakterii, które atakują. Z drugiej strony zastosowanie odpowiedniej terapii fagowej w przypadku konkretnej infekcji wymaga przeprowadzenia szczegółowych badań pacjenta i dokładnego określenia, z jaką bakterią mamy do czynienia, w celu dobrania odpowiedniego szczepu bakteriofaga.

W trakcie leczenia może się pojawić zjawisko oporności, podobnie jak w przypadku antybiotyków (atakowane przez wirusy bakterie mogą się na ataki uodpornić). Wtedy alternatywą jest podanie innego szczepu fagowego, ale z reguły od razu można stosować koktajle złożone z kilku rodzajów bakteriofagów, które zapewniają większą skuteczność. Zaletą wirusów bakteryjnych jest też ich zdolność do namnażania w organizmie człowieka tylko wtedy, gdy są w nim obecne bakterie. Gdy bakteriofagi dotrą na miejsce infekcji, zaczną się intensywnie namnażać, dzięki czemu nie trzeba ich wielokrotnie podawać. A gdy zwalczą już wszystkie bakterie, także one tracą możliwość reprodukcji własnych kopii.

Przerwana reakcja

Ponieważ człowiek od tysięcy lat współegzystuje z bakteriami, również bakte-

riofagi nie są obce dla naszego układu odpornościowego, który umie je sprawnie usuwać z organizmu, kiedy infekcja zostanie już zwalczona. Ale reakcja naszego własnego organizmu na fagi może mieć różną intensywność – czego kontrola jest jednym z wyzwań obecnych terapii. Po pandemii covid-19 wszyscy doskonale pamiętamy, że dla naszego organizmu niebezpieczne mogą być nie tylko cząsteczki wirusów, ale także nieadekwatna reakcja komórek odpornościowych na nie.

Problemem aktywacji reakcji immunologicznej przez wirusy bakteryjne zajmują się m.in. badacze z Uniwersytetu Gdańskiego oraz Uniwersytetu Rolniczego im. Hugona Kołłątaja w Krakowie. W marcu tego roku opublikowali wyniki swoich prac w czasopiśmie „Nature Communications”. Badania prowadzone były m.in. na kurczakach zakażonych popularną bakterią *Salmonella enterica*, następnie poddanych działaniu koktajlu fagowego o działaniu bakteriobójczym. Eksperymenty wykazały, że fagi inicjują procesy komórkowe, które mogłyby prowadzić do uruchomienia silnej reakcji odpornościowej, ale są one hamowane na początkowym etapie. Reakcja nie następuje, ponieważ DNA bakteriofaga nie jest rozpoznawane przez enzym występujący w komórkach zwierzęcych – w tym ludzkich. To z kolei uniemożliwia produkcję dwuniciowych cząsteczek RNA, które są konieczne do uruchomienia ostatniego etapu pełnej odpowiedzi immunologicznej.

„Wyniki te nie tylko stanowią odkrycie mechanizmu przerwanej reakcji immunologicznej w odpowiedzi na bakteriofagi, ale wskazują na to, że terapia fagowa może być uznana za metodę bezpieczną, dającą więc nadzieję na skuteczne zwalczanie chorobotwórczych bakterii opornych na antybiotyki” – wyjaśniał w informacji prasowej Uniwersytetu Gdańskiego współautor badań, prof. Grzegorz Węgrzyn.

Ostatnie lata przyniosły też szereg zarejestrowanych badań klinicznych analizujących bezpieczeństwo i skuteczność terapii fagowych zgodnie ze standardami stosowanymi w przypadku leków onkologicznych czy szczepionek. To dobra wiadomość, bo czas nagli, a bakterie, jak zawsze, depczą nam po piętach.

© ANNA BARTOSIK



ELIZA

Kącka: Doniczka napełniona mną



SIELECKA, KLATKA SCHODOWA, PRZECHWYTUJE MNIE ŻONA GOŚCIA z administracji: „Byłam u fryzjera”. „Ładnie”. „A dziękuję. Ale nie o to chodzi. My tam zawsze z koleżanką się odświeżamy, raz na miesiąc”. „I dobrze”. „Ona kupuje dwa razy w tygodniu »Wyborczą« i daje mi pakiet. I niech pani powie...”. Podtyka mi gazetę: „...czy to pani?”. „Owszem”. Woła męża: „Mówiłam ci, że to możliwe!”. Wychynął gość z administracji: „Czyli to pani?”. „Aha”. „Niby wszystko się zgadzało, poza nazwiskiem”. Żona: „Przecież nie znałeś nazwiska pani Elizy!”. „Toż mówię, że się nie zgadzało. Ale wie pani...”. „Tak?”. „Jeszcze z kamienicy, to ja rozumiem. Ale żeby z klatki naszej ktoś był w »Wyborczej«? Niepojęte!”.

PARK MORSKIE OKO, WIECZÓR, ŁAWKA TUŻ PO DESZCZU. NA SĄSIEDNIEJ dziadek z wnukiem. Wnuk w pelerynie, dziadek pod parasolem. Spuścili psa wyżłowatego. Lata i węszy przy Pałacyku Szustra, a my kluczymy za nim spojrzeniem. Wnuk: „Ej, jak powiesz o Piorunie, jak padnie?”. Starszy spod parasola: „Na litość boską, o co chodzi?”. „No, jak powiesz: zdechł czy zmarł?”. Cisza po stronie parasola. „Zmarł”. „Aaaa, dziadek! Masz inaczej niż babcia”. „O co znowu chodzi?”. „Babcia mówi, że »zdycha«, bo tak każe Biblia”. Dziadek: „Powarowaliście wszyscy”. Wnuk: „Sam nie wiesz, dziadek, że wziąłeś dyskusję w aktualnym sporze”. Dziadek: „Mam to gdzieś. Moje zwierzęta zawsze umierały”. „To kwestia słowa”. „To kwestia śmierci. Nie uważam, żebym umierał lepiej. Kiedyś tak myślałem. Dziś kładę się jak pies”. Wstał, skinął ku mnie ręką. „Chodźmy, idzie większy wiatr, będzie łamał drzewa, nic tu po nas”.

DWIE W WIEKU STUDENCKIM W 116: „MAM FILOZOFIĘ ŻYWIENIA”. „Ok, super. A kiedy masz obronę na filozofii? Sorry, bo może nie wiem, że już miałaś”. „Nie mam obrony, mam holistyczną filozofię żywienia”. „Czyli?”. „Czyli, moja droga, właśnie teraz żywisz się mną, poganiając, żebym zrobiła dyplom”. „Ej, to nie tak!”. „No właśnie tak. Łypiesz jak sęp na padlinę. Ale nie szkodzi, bo padlina wjeżdża w ogólny ekosystem”. „Ej, słuchaj, przestań bredzić!”. „Ja nie bredzę. Ja realizuję”. „Co?”. „Sen. W tym śnie truchło mojej przegranej stawki robi za nawóz dla kolegów i kuzynów. Zawsze śni mi się doniczka wypełniona mną, a ci na mnie rosną”. „Amelia!”. „Po co ten protest. To biosystem. Taki ludzki. Ja wiem”.

POCZTA PRZY CHEŁMSKIEJ. DWIE KIELE PIĘĆDZIESIĄTKI WYGLĄDAJĄ przez okno: „Słuchaj, czy to nie Magda Mołek gada w ko-

mórkę? Jak oceniasz?”. „Oceniam, że Mołek. Z twarzy wygląda”. „Ale co ona robi przy naszej pocztce? Może rozwód robi?”. „Głupiaś! Rozwodu się nie robi na pocztce”. „A bo czytałam, że się miała rozwodzić z mężem”. „Eee, to nie tutaj. Może ma awizo”. „Mołek i awizo?”. „No co, nawet prezydent dostaje awizo”. „Prezydent tak, ale Mołek nie”. „Bo?”. „Ona nie może czekać”. „Bo?”. „Bo jest piękna”. „A prezydent może?”. „Może, bo nie jest”.

AUTOBUS Z ŁODZI DO WARSZAWY, SPÓŹNIONY BARDZO, PODBIJAJĄCY spóźnienie na każdym przystanku. Ktoś wybudził się w trakcie przydługiego postoju i wszczyna awanturkę na tylnych siedzeniach. Reszta uspokaja go apatycznie. W Żyrdardowie bodaj dosiada się matka z dzieckiem. Z lękiem, niespokojnie. „Tu zawsze tak jest?” – rzuca w moją stronę. „Jak?” – dopytuje. „Niemilo”. „Nie wiem, ja po raz pierwszy na tej trasie”. „Aha. No zobaczymy, moje dziecko jest wrażliwe, a tu widzę, że są różni ludzie”. „Jak to zwykle” – rzucam. „Jak się nie ma dziecka, można na różne rzeczy pozwalać” – dorzuca. Myślę, czy sprostować. „Że ja nie mam? Chwilowo”. „Po pani widać, że pani nie ma dziecka. Widać”. „Bo?”. „Bo jakby pani była matką, to by pani na nich nakrzyczała”. „Ale...”. „Nie ma »ale«. Pani jest wszystko jedno. Matka wie, co robi”. „A co robi matka?”. Zaczekała się na chwilę: „Matka wie, co robi”. „Czyli?”. „Matka wie, co robi. Bo wie, co robi. Oni wszyscy powinni przeproszać już od Łodzi. Bo matka wie, co robi. I już”. „No, dobra”. „A jak pani nie wie, co robi, to nie jest matką, proste”. „Najpewniej”.

SKWER CHORWACKI, CIEMNY WIECZÓR, SZYBKI ZJAZD KU PÓŁNOCY po równi pochyłej dnia. Ściemnia się szybko, przy mnie dwójka starszków. „Idziemy już do domku?” – pyta on. Raptem fajerwerki, może znad stadionu. Ona: „O! Niemożliwe. To dla nas?”. On: „Nie wygłupiaj się, Alinka, to opłacone, dla jakiegoś sportowca”. Alinka: „Nienie, Kaziu. To dla nas”. „No nie, kochanie”. „Dla nas jest ta smuga nad Mokotowem. Ta owacja parkowa”. „Ech, Alinka”. „Každy ma swoje. My mamy łunę i echo. Uciesz się, Kaziu”. Zwróciła się ku mnie: „Czy panią też to cieszy?”. „Cieszy”. Puściła do mnie oko.

RUDA PISZE DO MNIE ZZA ŚCIANY: „MIAŁAŚ KIEDYŚ MARZENIA? TAK z ciekawości”. Zaskoczona, odpisuję: „Wiesz, chyba miałam od zawsze, no nie wiem, od dziecka”. „Co to jest?”. „Co?”. „Marzenia. Czy to plany?”. „Nie do końca. Plany są, Rudku, rachunkiem. A marzenia to sny o sobie. Że wyobrażasz sobie siebie lepszą, w innym miejscu, czasie”. Cisza po drugiej stronie. W końcu dostaję: „Dlaczego nazywacie to marzeniem?”. Tym razem ja milczę. Po chwili pytam: „Bo myślimy, że trudno to zrealizować, wiesz, to ulotne”. Po chwili odpisuje: „Ja tak próbuję żyć. Jak marzenie”. I domyka koniecznym „Tak z ciekawości”.

©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Jej doktorat był poświęcony Stanisławowi Brzozowskiemu czytającemu Norwida, Vica i Newmana.

MATRIOSZKA

Fenomen Taylor Swift od lat czerpie z mechanizmu oczekiwanej, choć odwlekanej nagrody. Gwiazda muzyki pop skrywa w sobie wcielenia, które wiele mówią o nas.

MONIKA OCHĘDOWSKA

WEDLE AMERYKAŃSKICH SONDAŻÓW ni jest popularniejsza od Donalda Trumpa. Całkiem spora grupa wyborców (15 proc. Demokratów i 4 proc. Republikanów) deklaruje, że jesienią weźmie pod uwagę jej zdanie na temat kandydatki bądź kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ponad połowa rodaków myśli o niej z sympatią, większość słyszała o jej płytach.

Wartość medialną najpopularniejszej piosenkarki świata szacuje się dziś na sto trzydzieści miliardów dolarów. Ekonomiści liczą, że na samej trasie koncertowej „The Eras Tour”, w ramach której odwiedzi na początku sierpnia Warszawę, zarobi – bagatela – dwa do czterech miliardów, bijąc rekord, który należał dotąd do Eltona Johna (na trwającej sześć lat trasie „Farewell Yellow Brick Road Tour” muzyk zarobił okragły miliard).

Zyskać ma także nasza stolica, bo na występach artystki nieprzeciętnie korzystają miejsca, w których się pojawia. Jak podsumował amerykański tygodnik „Time”, jednym koncertem w Glandale w Arizonie zapewniła miastu przychody większe niż ogromna impreza Super Bowl, odbywająca się wcześniej na tym samym stadionie. Z kolei wedle obliczeń BBC wielbiciel artystki podczas jej trzytygodniowej obecności na Wyspach wydali okragłą sumę miliarda funtów.

Ten miliard to ułamek tego, co zlicza się rok do roku w ramach tzw. Swiftono-

mii (ang. *Swiftonomics*) – Taylor Swift ma bowiem wymierny wpływ na wiele sektorów globalnej gospodarki, nie tylko na show biznes.

Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z fenomenem na skalę Beatlesów, Michaela Jacksona i Madonny. Uodowodnił to zresztą całkiem niedawno „The New York Times”, zestawiając osiągnięcia całej czwórki skrupulatnie rozrysowane na wykresach, oczywiście z uwzględnieniem zmian, jakie zaszły w przemyśle muzycznym i procesie dystrybucji muzyki od lat 60. Okazuje się, że Swift ma już na koncie więcej statuetek i wyróżnień od Jacksona.

Obserwując całe to zamieszanie, wielu zachodzi w głowę, co takiego sprawia, że wśród gwiazd swojego pokolenia to właśnie trzydziestopięcioletnia piosenkarka z Pensylwanii osiągnęła taką popularność.

Zacznijmy *ab ovo*. Kilka lat temu najgorętszym postem na Instagramie była fotografia... jajka. Ponad 50 mln osób czekało, co wykluje się ze zwykłego, kurzego jaja. Tę bardzo dosłownie potraktowaną przez autorów zdjęcia strategię marketingową z powodzeniem wykorzystują na co dzień producenci jajek z niespodzianką i innych tzw. *blind bag toys*, czyli zabawek, które kupujemy w ciemno, szczelnie zapakowane, z ciekawości, co skrywa małe tekturowe pudełko albo foliowa torebka. Kto z nas nie lubi odpakowywać ➔

Taylor Swift podczas występu dla ponad pięćdziesięciu tysięcy widzów w Johan Cruijff Arena. Amsterdam, 4 lipca 2024 r.



→ prezentów? Sprawdzać, jaką nagrodę kryje zdrapka? Kto nie szukał wygranej pod kapsłem napoju albo na patyczku spalaszowanego loda? No właśnie.

Fenomen Taylor Swift przez całe lata budowany był między innymi z użyciem takiego mechanizmu oczekiwanej nagrody. Gwiazda muzyki pop, niczym matryoszka, skrywa w sobie kolejne zaskakujące wcielenia, wiele mówiące nam zresztą nie tylko o sile zespołu jej doradców i menadżerów, ale też o kondycji współczesnej popkultury.

Aby zagłębić się w fenomen Swift, proponuję zatem zabawę we wspólne odpakowywanie kolejnych niespodzianek. Będzie to także opowieść o nas samych. Gotowi?

Niespodzianka 1: rób niespodzianki

Co może zbierać ktoś, kto słucha Taylor Swift? Płyty, gadżety? Tych będzie zawsze ograniczona liczba, nawet jeśli wydaje się je w przeróżnych wersjach do składania, niczym puzzle – jak robi to Swift. A gdyby tak gromadzić elementy wciąż rosnącego zestawu, którego nigdy do końca się nie skompletuje? Gdyby w nieskończoność pomnażać na przykład swoją wiedzę na temat idolki, ale w sposób tak zajmujący, jakby rozwiązywało się łamigłówkę? Czy nie byłoby to jak gra jednokółką bandytą, tylko że bez ryzyka przegranej?

Kiedy piszę ten tekst, mam przed sobą ponad dwustuteczny, nieoficjalny podręcznik interpretujący słowa piętnastu piosenek jednego tylko albumu Taylor Swift „Reputation” z 2017 r. Każda linijka tekstu znajduje swoje wyjaśnienie w kontekście życia i twórczości artystki, zawiera odniesienia do teledysków, a także możliwe lektury uzupełniające, w tym książki czy tomy poetyckie, które mogły inspirować autorkę płyty. Piosenki, albumy i klipy Taylor Swift są bowiem pomyślane tak, by zaszyć w nich jak najwięcej ukrytych treści – możliwych do odcyfrowania dla zaangażowanych i wtajemniczonych. Wiele wskazuje na to, że ostatni, wydany w kwietniu album, jest hołdem dla Sylvii Plath – choć to tylko jedna z wielu interpretacji.

Jeśli jesteście w tej materii początkujący, ważną wskazówką może być fakt, że jej ulubioną liczbą jest 13 (urodziła się 13 grudnia, jej pierwszy album pokrył się złotem w 13 tygodni, a ostatnia płyta li-

Kiedy zaczynała,
nie było nastolatek
grających country.

Ośluślała dziewczyny z gitarowym brzmieniem.

czy 31 utworów – czyli 13 w odbiciu lustrzanym itd.), natomiast piąta piosenka na każdym albumie zawiera zwykle największy ładunek emocjonalny. Jeśli w tytułach albo tekstach piosenek zauważycie nieoczekiwane wielkie litery – na pewno układają się one w jakąś wiadomość, niczym w klasycznych akrostychach. Ważne są także imiona odnoszące się do bliskich – rodziny albo byłych partnerów (wiele piosenek dotyczy bolesnych rozstań z chłopakami). Wskazówkami bywają też stroje, w których Swift pokazuje się publicznie przed wydaniem albumów – ich styl nierzadko zapowiada klimat, jaki będzie towarzyszył kolejnej płycie.

Za pomocą znaków, liczb, autocytatów, anagramów, a nawet niedokładnych rymów czy przekreślonych słów, artystka tworząc swoiste uniwersum postaci oraz symboli należących do jej świata. Oraz, co istotniejsze, z roku na rok buduje dzięki temu coraz mocniejszą relację ze słuchaczami, oferując wrażenie obcowania z sekretnym listem, wiadomością, jaką pisze się do przyjaciół. W końcu tylko z najbardziej zaufanymi ludźmi tworzymy tak intymny język, prawda?

Kilka lat temu w brytyjskim tygodniku „The New Statesman” jedna z dziennikarek i jednocześnie wielbicielki artystki przyznała, że muzyka Swift stanowiła dla niej tylko „część uroku” artystki – przede wszystkim chodziło o „misję zrozumienia Taylor”.

Dzieląc się swoimi odkryciami i interpretacjami, międzynarodowa społeczność Swifties nieustannie pisze i wydaje książki, bloguje i tweetuje, a wszystko to staje się tak czy owak elementem Swiftonomii, podtrzymującym uwagę na idole. Co równie istotne, możesz być częścią tej społeczności, nawet jeśli w swoim najbliższym otoczeniu nie jesteś akceptowany. Swifties to bowiem idealna grupa

wsparcia dla introwertyczek i outsiderów – nie bez powodu.

Niespodzianka 2: nie bądź taka fajna

„Moje pokolenie straciło zainteresowanie życiem towarzyskim w realu – nie spotykamy się fizycznie, tylko piszemy do siebie, siedząc w domu” – tak siedemnastoletni Kevin opisał psycholożce Jean Twenge swoje kontakty z rówieśnikami. W wydanej także po polsku książce „Pokolenia” amerykańska badaczka – analizując ogromne ilości danych na temat życia kolejnych generacji nastolatków – pokazuje, jak z roku na rok zmieniają się nawyki młodych ludzi.

Twenge uważa, że Zetki (więcej o nich w tekście Marcina Napiórkowskiego na str. 12) czują się wyraźnie bardziej osamotnione niż ich rodzice, kiedy byli w tym samym wieku. Mniej więcej od roku 2012 nastolatki coraz częściej deklarują, że czują się opuszczone – na wykresach przygotowanych przez Twenge widnieje dramatycznie pikująca linia. Opowiada o tym także muzyka, której słuchają młodzi ludzie. A może po prostu Zetki szukają muzyki, która o tym mówi, a wytwórnie o tym wiedzą?

Co ciekawe, Twenge w swojej książce przywołuje amerykańską piosenkarkę Billie Eilish, która szybko wyczulią nastroj swojego pokolenia, wydając w roku 2019 smutny, bardzo popularny album „When We Fall Asleep, Where Do We Go?”. W ślad za nią poszła Olivia Rodrigo, która była już nie tylko samotna, ale również ostentacyjnie „mało interesująca”. „Nie jestem fajna ani bystra” – śpiewa Rodrigo w jednej ze swoich piosenek, „nie umiem nawet parkować równolegle”. Dlaczego wyznaje coś takiego? Prawdopodobnie dlatego, że manifestowanie bycia niefajnym sprawia, że osamotnionym, niepewnym siebie nastolatkom łatwo się wtedy z Rodrigo utożsamić, nawet jeśli jest ona bardzo bogatą i popularną osobą.

Wiele tekstów Taylor Swift dotyczy przykrego życia licealistki, złamanego serca, zaburzeń odżywiania, zdrad i nieustannego doświadczenia bycia oszukaną i odrzucaną, mimo że historia jej wchodzenia w dorosłość przypomina raczej podręcznik strategicznego planowania niż baśń o Kopciuszku.

Ojciec Swift jest bankierem, mama – specjalistką od marketingu. Jako dziew-

czynka Taylor mieszkała w ogromnym domu z krytym basenem i windą, a rodzice spełniali wszystkie jej życzenia, także to o byciu gwiazdą muzyki country (by zapewnić trzynastoletniej córce odpowiedni start, przeprowadzili się do Nashville). Biografowie podkreślają wrodzony upór artystki, kiedy jako dziewczynka komponowała i nagrywała kolejne piosenki, ale – koniec końców – nie da się ukryć, że jej pierwszy kontrakt na płytę zbiega się w czasie z zakupem przez państwa Swiftów udziałów w wytwórni Big Machine. Scott Kinsley Swift wciąż należy do zespołu menadżerów córki.

Niespodzianka 3: użyj biografii jako terapii

W filmie dokumentalnym „Miss Americana” z początku 2020 r., będąca w szczytowym momencie kariery piosenkarka, ubrana w rozciągnięty szary dres, ze łzami w oczach opowiada o załamaniu i depresji, wywołanej m.in. konfliktami w środowisku muzycznym. Jest otoczona złośliwymi ludźmi, którzy zazdroszczą jej sukcesu.

W roli ofiary będzie się zresztą pojawiać publicznie co jakiś czas, na przykład wtedy, gdy wytwórnię Big Machine, razem z prawami do jej piosenek, przejmie (zupełnie legalnie) znany menadżer gwiazd, Scooter Braun. Temu konfliktowi – oraz agresywnej reakcji Swift na transakcję – poświęcono poważny dwuodcinkowy dokument, który można obejrzeć w serwisie Max. Dość powiedzieć, że gwiazda wypada w nim raczej jako twórczyni zamieszania niż ofiara branży. Pozostają wątpliwości, czy jej poczucie krzywdy należy traktować serio.

Znana izraelska socjolożka Eva Illouz nazywa ten rodzaj opartej na krzywdzie opowieści, charakterystycznej skądinąd dla naszych, przepełnionych kulturą terapii czasów, narracją samorealizacji. Illouz zauważa, że wyparła ona popularny dotąd gatunek biografii, w którym śledziliśmy losy gwiazd w konwencji od pucybuta do milionera, wierząc, że sukces może być udziałem każdego i każdej z nas, wystarczy tylko ciężko na niego pracować. Skoro wiadomo już, że poza szczęściem, pracowitością i talentem przydają się także wpływy, znajomości i pieniądze, biografie ludzi sukcesu pisze się w taki sposób, by to cierpienie stało się czynnikiem konstytutywnym ich tożsa-

Twarze Taylor Swift



■ KSIĘŻNICZKA

Historia Romea i Julii znajduje u niej swój happy end, a „Love Story” staje się jedną z najczęściej granych na amerykańskich weselach piosenek country.



■ KUJONKA

Chwali się, że zna „Poetykę” Arystotelesa, teksty jej piosenek bywają autotematyczne. Jako nastolatka pisała na zamówienie dorosłych gwiazd.



■ MŚCICIELKA

Lepiej z nią nie zadzierać. Bywa złośliwa, ale potrafi ironizować także na swój temat. Oczywiście, gdy może mieć nad tym całkowitą kontrolę.



■ POETKA Czerpie z klasyków, m.in. Dickinson, Wordswortha czy Plath. Równieśników nazywa „nowymi romantykami” nieustannie rujnującymi sobie życie. © © MoCH

mości. Nie da się go tak łatwo skompromitować, dotyka przecież wszystkich. Aktualny trend nieskrępowanego mówienia o swoim zdrowiu psychicznym „zdumiewa siłą, spójnością i szerokim zasięgiem”, zauważa również Twenge. Szczególnie dotyczy on historii silnych, odnoszących sukcesy kobiet.

Dlaczego? Przede wszystkim narracja samorealizacji umożliwia ukształtowanie wokół siebie tzw. wspólnoty losu. Żyjemy w czasach, w których wiele różnych grup domaga się uznania swojego cierpienia, a następnie uleczenia go przez poszczególnie organizacje, instytucje (Kościoł, uniwersytety), czy nawet państwa (Izrael). Powiedzenie „czuję się zraniona, zraniony” nie zaprasza do dyskusji, przeciwnie – domaga się akceptacji i opieki. A ponieważ nie zawsze się to udaje, albo nie następuje natychmiast, poszukujemy osób takich jak Swift, które w jakimś sensie pomagają się nam naprędce tymi uczuciami zaopiekować. Nic dziwnego, że jeden z jej utworów, nagrany w 2022 r. „Anti-Hero”, został nazwany przez media „hymnem pokolenia psychoterapii”.

Wedle wspomnianej Twenge, Zetki mają obsesję na punkcie własnego bezpieczeństwa, także tego związanego z przestrzenią publicznej debaty. Wystarczy wspomnieć, że ostrzeżenia o „treściach niebezpiecznych emocjonalnie”, a więc „raniących uczucia”, po 2012 r. stały się w Stanach na tyle powszechne, że pojawiają się nawet w nowych wydaniach klasycznych powieści przygodowych. Trauma, a zarazem lęk przed nią i poszukiwanie bezpiecznych przestrzeni, stanowią dziś dla wielu młodych ludzi kluczowy element życia.

Niespodzianka 4: graj na gitarze

Imię dostała ponoć po Jamesie Taylorze, popularnym szczególnie w latach 70. artystcie country. Kiedy zaczynała, nie było nastoletnich gwiazd grających w tym gatunku, udało jej się wypełnić lukę, osłuchując dzieciaki – a szczególnie dziewczyny – z klasycznym gitarowym brzmieniem. Sprawiała też, że tradycyjnie męska opowieść otrzymała swój dziewczyniśki odpowiednik.

Żeby wypaść wystarczająco autentycznie, po przeprowadzce do kolebki country nauczyła się południowego akcentu i przyswoiła wiele tzw. nashvilleizmów. ➔

→ W tamtym czasie – wzmagając wrażenie bycia blisko swoich słuchaczek – sporo postowała w internecie „jak normalna nastolatka”, prowadziła także stronę w popularnym serwisie MySpace.

Dlaczego było to tak ważne? Kiedy pyta się dziś Amerykanów, który gatunek uważają za „najbardziej reprezentatywny” dla ich kraju, 36 proc. ankietowanych odpowiada, że to właśnie country. W połowie wakacji w pierwszej trójce najpopularniejszych artystów według listy przebojów „Billboard”, poza Taylor Swift są Zach Bryan oraz Morgan Wallen – muzycy country. Do pierwszej dziesiątki łapią się jeszcze inni przedstawiciele gatunku, czyli Luke Combs oraz Shaboozey. Podsumowując: połowa wykonawców z pierwszej dziesiątki najpopularniejszych gra na gitarach.

Ten rodzaj muzyki, wbrew pozorom, ma się świetnie, a dzieje się tak z powodu głodu autentyczności, który rośnie w nas w kontrze do upowszechniającej się dezinformacji. Kiedy otaczają nas teksty i obrazy generowane przez sztuczną inteligencję, mamy coraz mniejsze szanse, by rozróżnić się w tym, co prawdziwe. Amerykański dom wydawniczy Merriam-Webster uznał „autentyczność” za słowo roku (jest też hasłem przewodnim naszego Festiwalu im. Josepha Conrada) – ilość jego wyszukiwań w internetowych słownikach znacząco wzrosła.

Znacie to? Kiedy gram na gitarze akustycznej, opowiadając o poczuciu bycia zranioną, całość staje się wiarygodna poprzez sam fakt nazwania emocji, z którymi nie da się dyskutować. Wszystko inne może w moim wizerunku zostać poddane krytyce albo podrobione. Ilouz pisze, że opowiadana w ten sposób biografia staje się w naszych czasach towarem idealnym – wymaga jedynie tego, aby artysta pozwolił nam zajrzeć w ciemne zakamarki swojej psychiki, a następnie pozwolił rozpowszechnić to, co tam znajdziemy.

Cóż, tego towaru u Taylor Swift nam z pewnością nie brakuje.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

- Satu Hämeenaho-Fox, **TAYLOR-VERSE. UNIWERSUM TAYLOR SWIFT. NIEOFICJALNY PRZEWODNIK**, Media Rodzina, Poznań 2024
- Karolina Sulej, **ERA TAYLOR SWIFT**, W.A.B., Warszawa 2024



WOJCIECH PLEWIŃSKI / FORUM

Andrzej Wajda podczas prac nad spektaklem „Biesy” w Teatrze Starym, 1971 r.

Zawsze jest przedwiośnie

JAKUB MAJMUREK

Lektura „Notesów” Andrzeja Wajdy dostarcza mnóstwa interesujących wątków i nowych informacji. Są one fascynującym autoportretem artysty politycznego, wręcz narodowego – przy pracy.

ANDRZEJ WAJDA ZACZĄŁ PISAĆ „Notesy” w okupowanym Radomiu w 1942 r. Nastolatek pilnie wynotowuje, co malował lub rysował danego dnia. Zapisy kończą się miesiąc przed śmiercią reżysera, we wrześniu 2016 r., gdy 90-letni artysta zdaje relację ze swojego pobytu na festiwalu w Gdyni, gdzie pokazuje „Powidoki”.

Notatki z wielu dni mają jednoznaczny charakter, ograniczają się do tytułu obejrzanego filmu lub sztuki, odnotowują wizytę u lekarza albo spotkanie ze współpracownikiem. Wajda

notuje też jednak inspiracje i pomysły, zdaje sprawę z postępów pracy na planie, opisuje otaczające go życie artystyczne i towarzyskie.

Całość układa się w fascynujący dokument z historii polskiego kina, kultury, a także większej lub mniejszej polityki. Wajda jako przewodniczący Stowarzyszenia Filmowców Polskich był przecież reprezentantem środowiska filmowego wobec władz PRL, starającym się wynegocjować jak największą przestrzeń wolności dla branży, a w III RP angażował się w ważne dla



filmowców sprawy, jak walka o uchwalenie nowej ustawy o kinematografii z 2005 r., zasiadał też w Senacie I kadencji (1989-91).

Sztuka otwartych drzwi

Lektura „Notesów” pozwala śledzić na żywo skomplikowane relacje Wajdy z polityczną władzą i obywatelską wspólnotą. Umożliwia też obserwowanie procesu twórczego, który prowadzi do powstania kluczowych dla historii polskiego kina filmów: od momentu pierwszych pomysłów i inspiracji, przez prace scenariuszowe, po montaż i późniejszą refleksję nad gotowymi dziełami. Zapisy pokazują Wajdę jako twórcę, który ciągle wraca do pomysłów na filmy, jakie kiedyś przyszły mu do głowy, długo nosi w sobie projekty i inspiracje. Jest w stanie przez dekady walczyć o doprowadzenie pomysłu do końca, wbrew przeciwnościom politycznym i własnym twórczym kryzysom.

Pierwszy pomysł na filmową adaptację „Wesela” pojawia się w „Notesach” już w 1962 r. Wajda myśli wtedy o przeniesieniu dramatu Wyspiańskiego w realia Polski środkowego Gomułki. Pan Młody

miał być stomatologiem arystokratycznego pochodzenia, próbującym swoich sił w literaturze, Panna Młoda tańczyć w zespole Mazowsze, Rachelą byłaby słabo mówiąca po polsku przedstawicielką ambasady Izraela, a Dziennikarz kimś wzorowanym na Krzysztofie Teodorze Toeplitzu.

Kolejne pomysły na „Wesele” pojawiają się przez całe lata 60., Wajda chce, by scenariusz napisał Jerzy Andrzejewski. Projekt Andrzejewskiego ewoluuje jednak ostatecznie w powieść „Miazga”, a reżyser w 1972 r. nakręci film na podstawie scenariusza Andrzeja Kijowskiego. Trzyma się tekstu i realiów dramatu Wyspiańskiego, inscenizując je w wizyjnej, wirującej frenetyczną energią formie.

„Notesy” pokazują kolejne, zarzucone w pracy na planie lub montażu pomysły towarzyszące realizacji tego dzieła. W połowie zdjęć reżyser notuje: „Rozmyślenia o finale »Wesela«: niech chłopci, w swojej porannej wściekłości, poszlachtują panów, a oni potem powstaną i zatańczą razem z nimi, już niekrwawiący. Wesoło i pogodnie”.

Proces twórczy Wajdy praktycznie nigdy nie dokonuje się w samotności. Artysta potrzebuje zespołu. Osób przynoszących mu pomysły, inspirację, wskazujących warte uwagi lektury, „sparingpartnerów” weryfikujących kolejne koncepty, wersje scenariusza, montażowe układki.

Z notatek Wajdy można zrekonstruować coś w rodzaju „filozofii” twórczości filmowej reżysera. W 2006 r. pisze: „Pracując w studio Jean Renoir zawsze w dekoracji zostawiał jedne drzwi otwarte. Pytany, dlaczego tak robił, odpowiadał – A może do akcji naszego filmu wejdzie ktoś niespodziewany? To jest wskazówka (...) dla reżysera: zawsze jeszcze może wkroczyć ktoś niespodziewany, kto uratuje film albo chociaż scenę...”

Wajda całe swoje artystyczne życie kierował się tą wskazówką. Stał pod tym względem na przeciwległym biegunie niż Hitchcock, który często mawiał, „film prawie gotowy, wystarczy nakręcić” – i faktycznie przed wejściem na plan miał na ogół ułożone w głowie swoje filmy ujęcie po ujęciu, scena po scenie. Dla Wajdy reżyseria nie polegała na realizacji gotowej przed wejściem na plan reżyserskiej wizji, ale na otwarciu na dialog, na spotkaniu z aktorami i innymi współpracownikami, wreszcie na przygodność wpisaną

w kręcenie filmu. Jak reżyser notuje na planie „Człowieka z żelaza” (1981): „postępuję podobnie jak Cézanne, czyli malując rysuję, czyli filmując piszę ostatecznie scenariusz. To daje (...) filmom życie, tę przypadkowość, która jest nie do uzyskania, gdy filmuje się scenariusz przemysłowy i zamknięty. Przecież filmowanie to moje życie, a nie obrabianie kawałków!”.

Taki proces twórczy bywa frustrujący, zebrany podobną metodą materiał nie zawsze chce się łatwo ułożyć w spójną dramaturgiczną całość. W „Notesach” widzimy, jak Wajda męczy się z ostateczną formą „Człowieka z żelaza”, z początkiem „Piłata i innych” (1971), jak rozpisuje różne wersje finału „Ziemi obiecanej” (1974) czy „Człowieka z marmuru” (1976) – w jednej z nich jesteśmy na „cmentarzysku statków”, gdzie Agnieszka spotyka Macieja Tomczyka tnącego na złom wrak okrętu „Mateusz Birkut”.

W „Notesach” nie brakuje momentów frustracji, zwątpienia we własne siły, w to, że uda się domknąć film w sensowną myślowo i artystyczną całość. Wajda wraca też nieustannie do własnych filmów, poddaje je surowej ocenie. O „Kanale” (1957), który przyniósł mu pierwszą nagrodę w Cannes, pisze w 1962 r., że to „film najbardziej zmarnowanych możliwości”. Po premierze „Ziemi obiecanej” notuje: „Jednak nie. Dlaczego to takie impresyjne, rozlaźle, polskie, o wodnistych konturach, pretensjonalne w sumie”.

Przedwiośnie, które nie przyszło

Wielu pomysłów, o których pisze Wajda, nigdy udało się przenieść na ekran. Choć o „kinie niebyłym” Wajdy pisał już obszernie prof. Tadeusz Lubelski, to „Notesy” dają w nie wyjątkowy wgląd, pozwalają śledzić twórczy proces niezdolny znaleźć szczęśliwego, filmowego finału.

Niektóre „filmy niebyłe” ograniczają się do jednozdaniowej notatki rejestrującej pomysł – np. adaptacji „Króla Ubu” w postaci wielkiego historycznego widowiska „z husarią” na ekranie albo polsko-radzieckiej koprodukcji o relacjach Puszkina i Mickiewicza, na którą próbował go namówić Andrzej Żuławski.

Najważniejszym z niepowstałych filmów Wajdy jest bez wątpienia adaptacja „Przedwiośnia”. Pierwsze notatki krążące wokół pomysłów na filmowe ugrzywienie Żeromskiego pochodzą z marca z 1956 r., →

→ ostatnie z początku XXI wieku. „Przedwiośnie” Wajdy nie powstało za sprawą splotu obiektywnych i subiektywnych czynników, w wyniku oporu władz PRL wobec powieści krytycznej wobec bolszewickiej Rosji, oraz problemów samego Wajdy, by dokładnie wyartykułować to, co właściwie chce przez „Przedwiośnie” powiedzieć.

W 1956 r. trzydziestoletni reżyser pisze: „Film (...) warto zrobić z dwóch powodów: 1. Jest duży ładunek dyskusji, a więc tego, co teraz przeżywamy: jaka ma być Polska. (...) 2. Wątek romansu nadaje się znakomicie na film z wyższych sfer, którego bardzo nam tu dziś trzeba”. W kolejnych latach Wajda wypisuje kolejne, wzajemnie sprzeczne pomysły na „Przedwiośnie”: od przeniesienia go w rzeczywistość odbudowy kraju po II wojnie światowej, po skupienie się na wątku Nawłoci.

Te wszystkie nieudane próby znalezienia filmowego klucza skłaniają do postawienia tezy o „Przedwiośniu” jako filmie, który nie mógł powstać, bo stanowił ukryte serce dzieła Wajdy, bijące w jego najważniejszych filmach, gdzie artysta stawiał te same pytania, co dzieło Żeromskiego: o Polskę i wielkie prądy dziejowe XX wieku – na czele z radzieckim komunizmem, którego sąsiedztwo określiło naszą historię na prawie stulecie – o polską nowoczesność i właściwe dla niej konflikty polityczno-społeczne, o tradycyjną, ziemiańsko-inteligencką formę polskości, którą tak jak Żeromski w wątku Nawłoci kino Wajdy poddawało jednocześnie mitologizacji i demitologizacji.

„Pan polityk!”

Kino krążące wokół tych pytań czyni z Wajdy filmowca politycznego, „Notesy” pozwalają go zobaczyć także jako polityka. Zaskakująco interesujące są notatki z okresu 1989-91, gdy artysta zasiada w Senacie. Okazuje się być bardzo bystrym obserwatorem naszej rodzącej się demokratycznej polityki, wiele jego

pisanych na gorąco spostrzeżeń bardzo dobrze znosi próbę czasu.

Gdy obóz solidarnościowy dzieli „wojna na górze”, Wajda – co biorąc całą jego biografię jest oczywiste – wiąże się z obozem Tadeusza Mazowieckiego. A jednocześnie bardzo trzeźwo zdaje sobie sprawę, że w starciu z Wałęsą – jego legendą i charyzmą – pozbawiony obu tych cech Mazowiecki jest bez szans, a otwarty konflikt między dwoma przywódcami obozu posierpniowego osłabi go jako całość.

„Przedwiośnie” to film,
który nie mógł powstać,
bo stanowił ukryte serce
dzieła Wajdy, bijące w jego
najważniejszych filmach,
**gdzie artysta stawiał
te same pytania,**
co dzieło Żeromskiego.

Reżyser z bliska obserwuje nieudolną kampanię Mazowieckiego, beznadziejnie inteligenckiego kandydata, próbującego porwać społeczeństwo, w którym inteligencja stanowi zdecydowaną mniejszość, w dodatku najbardziej wewnętrznie skłóconą ze wszystkich grup społecznych.

W bardzo zabawnej notatce Wajda opisuje rozmowę z Henrykiem Woźniakowskim w sztabie Mazowieckiego, gdy w kampanii pojawia się problem z antysemickimi atakami na premiera. Wajda przytomnie radzi, by nie podejmować tematu, a już na pewno nie odpowiadać na „zarzuty” o żydowskie pochodzenie, legitymując Mazowieckiego przed całą Polską z sięgającej do średniowiecza szlacheckiej genealogii jego rodziny: „Nie podejmować tematu herbu Dołęga. Nie dość, że sam temat haniebnny, to jeszcze naraża na śmieszność – Żyd z herbem i to Dołęga; zabije kampanię wystarczająco niedołązną”.

Wajda zauważa też problem wzrostu znaczenia religijnej prawicy, wtedy skupionej głównie w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, i kierunku, w jakim ta chce przesunąć kraj. Jak reżyser przyznaje uczciwie w swoich notatkach, sam

nie zawsze potrafi przeciwstawić się tym zmianom. W październiku 1990 r., tydzień po przegłosowaniu, przy poparciu Wajdy, przez Senat bardzo restrykcyjnej ustawy aborcyjnej reżyser pisze: „Do dziś nie mogłem znaleźć sobie miejsca, jak mogłem głosować za ustawą aborcyjną. Tak byłem ogłupiony, że w pierwszym głosowaniu uznałem Nie za maksimum: znak, że ktoś jest przeciw. Ale kiedy projektodawcy sprytnie cofnęli się z karalności kobiety, uznałem, że zyskałem dużo; nie myśląc o sobie w całym tym świństwie. Ustawa (...) daje tylko fanatykom i wariatom brzytwę do ręki... i ja sam im ją wciskam”. Słowa te brzmią tym mocniej, że spór o aborcję trwa cały czas i jak na razie nic nie wskazuje, by był z nim w stanie poradzić sobie obecny Sejm.

Jednocześnie im bliżej współczesności, tym polityczny zmysł obserwacji Wajdy zdecydowanie traci na ostrości. Reżyser coraz częściej postrzega polityczną i społeczną rzeczywistość Polski jako obszar starcia „partii inteligenckiej” – uosobionej najpierw w Unii Wolności, a następnie w wywodzącej się z niej frakcji PO – i atakującej ją ze wszystkich stron „hołoty”. Niektóre wpisy z ostatnich lat, zwłaszcza z okresu, gdy PiS wraca do władzy, mogą zostać spokojnie wykorzystane przez propagandę PiS jako przykład „pogardy elit do Polaków”.

Artysta we wspólnotcie

Ten zarzut jest jednak wyjątkowo chybiony wobec Wajdy. „Notesy” pokazują twórcę połączonego wyjątkową w historii nie tylko polskiego kina relacją ze swoją historyczną, obywatelską czy narodową wspólnotą. Wyprawy Wajdy na Zachód – niezależnie czy wystawia „Biesy” w teatrze Yale z udziałem zaczynającej aktorską karierę Meryl Streep, czy kręci „Dantona” (1982) z Gérardem Depardieu – zawsze okazują się dla Wajdy rozczarowujące. Kino, choć jest sztuką uniwersalną, choć posługuje się językiem obrazu, brzmi dla niego prawdziwie tylko w jego własnym języku, może aspirować do uniwersalności, wyłącznie wyrastając z doświadczeń konkretnej wspólnoty.

Wajda doskonale zdaje sobie sprawę ze specyfiki swojego usytuowania w PRL. Twórca, który jednocześnie reprezentuje społeczeństwo wobec autorytarnej władzy, wypowiada treści, jakich nie można wypowiedzieć w innej przestrzeni niż



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

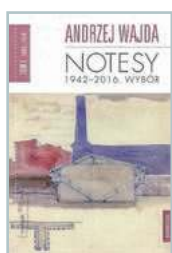
sztuka, stanowi jego głos za żelazną kurtyną, a z drugiej strony jako nagradzany reżyser zajmuje relatywnie uprzywilejowaną pozycję w systemie.

Na planie „Człowieka z marmuru” notuje w trakcie wydarzeń radomskiego czerwca: „Nie przyszło mi do głowy, by nie pracować w ten dzień. Robię film ważny, nie tylko dla siebie, ale także dla innych, a ten pretekst mógłby przekreślić dalszą realizację. Boję się rzeczywistości i nie mogę wziąć w niej udziału, bo chcę w niej istnieć jako artysta. Jakie to małe, głupe i nieprawdziwe... ale między mną i resztą stoi potęga biurokracji, bez której jestem tylko sobą – bez możliwości działania”.

Po przełomie 1989 r. ten model „umowy społecznej” w dużej mierze traci sens, a nowy chyba ciągle się kształtuje. Zapiski Wajdy z ponad ćwierć wieku III RP pełne są rozważań na temat tego, do czego on sam i jego kino potrzebne są dziś publiczności. Wajda chce być ciągle dla niej istotny, szuka tematu na wielki film współczesny, ale nigdy nie udaje się mu go zrealizować, najważniejsze filmy, jakie kręci po 1989 r. to widowiska historyczne. Kręci je jednak z myślą o znaczeniu historii dla współczesnych. Przygotowując adaptację „Pana Tadeusza”, zapisuje pomysł finału: tytułowy bohater znajduje się nagle we współczesnej Polsce, gdzie dworek Sopliców jest zrujnowaną siedzibą byłego PGR-u.

Znaczenie Wajdy dla narodowej kultury i pamięci będzie weryfikować kolejne pokolenie widzów jego filmów, które odczyta je na swój sposób, być może za najbardziej istotne uznając dzieła dziś odsunięte na dalszy plan. „Notesy” dostarczają fascynującego kontekstu dla dalszych odczytań tego dzieła, pozwalają zajrzeć za twórcze kulisy i zakorzenić je w biograficznym i historycznym konkrecie.

© JAKUB MAJMUREK



Andrzej Wajda,
NOTESY 1942-2016,
redakcja Tadeusz
Lubelski i Agnieszka
Morstin, Universitas,
Kraków 2024



Oleksandr Rojtburd (1961-2021), montaż wideo ujęć z „Pancernika Potiomkin”
Sergieja Eisensteina, 1998 r.

Miasto nad morzem

PIOTR KOSIEWSKI

W ukraińskiej tożsamości zachodzą zmiany. O tym, w jaki sposób Ukraina opowiada na nowo o swej przeszłości i buduje tożsamość, jak radzi sobie z kolonialnym rosyjskim dziedzictwem, opowiada wystawa „Odesa”.

ZNACZĄCY JEST TYTUŁ WYSTAWY W MIĘDzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie: „Odesa. Długi wiek XX w sztuce”. Nazwę miasta napisano przez jedno, a nie dwa „s”, i to nie błąd. Twórcy ekspozycji odwołują się do ukraińskiej, a nie rosyjskiej nazwy miasta i proponują, by także w Polsce wprowadzić korektę historycznie już przyjętej pisowni. Niby to niewielka zmiana, ale język jest jednym z kluczowych narzędzi budowy tożsamości i nawet drobne jego korekty mogą mieć fundamentalne znaczenie.

Klucz do świata

Odesa zatem, a nie Odessa – przyjmując zaproponowaną przez twórców wystawy

zmianę pisowni – została założona przez Katarzynę II w 1794 r. jako port, a jednocześnie centrum Noworosji, czyli podbitych za jej rządów terenów nad Morzem Czarnym. Jej powstanie było realizacją ideałów oświeceniowego miasta, zbudowanego na regularnym uporządkowanym planie, przejrzystego i przestronnego. I do dziś należy do najlepiej zachowanych założeń urbanistycznych w Europie, z oryginalną zabudową z XIX i początku XX w. – w 2023 r. została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Od samego początku była miastem wielu narodów i języków. Mieszkali tu Grecy i Włosi, Ukraińcy, Tatarzy i Rosjanie, Turcy i Polacy. Byli też Żydzi, którzy

→ mieli tu znacznie więcej swobód niż w Petersburgu czy Moskwie. W 1900 r. stanowili około 31 procent z 450 tys. mieszkańców. I to z Odesy wywodziło się wiele ważnych postaci o żydowskich korzeniach, w tym słynny bankierski ród Ephrussich, opisany przez Edmunda De Wala w przejmującym „Zajacu o bursztynowych oczach”.

U progu XX w. Odesa stała się czwartym pod względem wielkości miastem rosyjskiego imperium: po Sankt Petersburgu, Moskwie i Warszawie. Z założonym w 1865 r. uniwersytetem, muzeami, teatrami, własną operą. Jednocześnie ucieleśniała kolonialne ambicje Rosji. Imperialny program był wpisany w samo miasto, które po rewolucji październikowej przechodziło z rąk do rąk, by – zajęte ostatecznie przez Armię Czerwoną w 1920 r. – stać się częścią sowieckiej, a potem niepodległej Ukrainy.

Od początku pełnoskalowej wojny w 2022 r. Odesa jest nieustannie atakowana, a wiele jej zabytków uległo zniszczeniu. Symboliczne są losy wzniesionego w końcu XVIII w. Soboru Katedralnego, który po kolejnych rozbudowach stał się jedną z największych świątyń w całym Imperium Rosyjskim. Został on zburzony przez władze sowieckie w 1936 r. W latach 1997-2005 starannie go odbudowano. W 2023 r. padł ofiarą Rosjan.

Co więcej, jak podkreśla Roger Cohen na łamach „The New York Timesa”, Odesa nie jest jednym z wielu atakowanych miejsc, w których rozgrywa się ta wojna, lecz jej centralnym punktem. „Nie tylko dlatego, że stanowi klucz do Morza Czarnego, ale także dlatego, że ze szczególną intensywnością rozgrywa się w niej walka między rosyjską i ukraińską tożsamością – imperialną przeszłością i demokratyczną przyszłością, systemem zamkniętym i otwartym na świat. To właśnie to miasto, niepokorne i uparcie inkluzywne, symbolizuje wszystko, co Putin chce zniszczyć w Ukrainie”.

Długie XX stulecie

Powstała we współpracy z Odeskim Narodowym Muzeum Sztuki ekspozycja przedstawia spojrzenie od wewnątrz Ukrainy. Nie jest też obiektywną monografią sztuki w tym mieście, lecz, jak podkreśla jej współkuratorka Żanna Komar, próbą ukazania „sposobu myślenia



Ihor Husiew, z cyklu „Trzecia wojna światowa”, 2022-2023 r.

Po prawej:

Darja Kolcowa, „...i przywróciłabym to poezji, gdybym wiedziała jak”, witraż, 2022 r.

współczesnego społeczeństwa ukraińskiego oraz tego, jak Ukraińcy postrzegają własne dziedzictwo kulturowe”.

„Odesa” opowiada o długim XX stuleciu w sztuce. To okres szczególny, bo jak pisze Wira Ahejewa we wnikliwym, wydanym także po polsku tomie „W cieniu imperium”, w Ukrainie ten wiek „nigdy nie przeszedł do historii, nadal nie da się go w sposób bezstronny i wyważony wyjaśnić, tworząc ekspozycję muzealną lub przygotowując publikację dokumentów archiwalnych”. Trzeba go raz po raz na nowo opowiadać, co nie jest łatwe, bo to było, dodaje Ahejewa, w jej kraju stulecie katastrof i niszczenia dorobku kolejnych pokoleń. Ginęli twórcy, płonęły archiwa i muzea. Nie raz wydawało się, że historia się cofnęła i trzeba zaczynać od początku, bo nie można przywołać dorobku poprzedników.

Wystawa w MCK jest zatem opowieścią o zerwaniach, lukach, stratach, a jednocześnie o ciągłości. O tym, jak Odesa traciła i odnajdowała swą „wieloaspektową tożsamość”. Wpisuje to miasto w dzieje kultury europejskiej, a jednocześnie powstającą w niej sztukę wyrывa „z lokalnej wizji przeszłości i umieszcza ją w szerszym kanonie sztuki ukraińskiej”.

Wolność zamordowana

„Odesa” przedstawia sztukę od czasów poszukiwań z pierwszych dekad XX w. poprzez stalinowskie represje, okres postalinowskiej odwilży i sztukę nieoficjalną

lat 60. po prace powstałe w czasie obecnej wojny. Jednocześnie jest to spojrzenie na sztukę tego okresu z określonego punktu widzenia, z bardzo świadomymi pominięciami. Na wystawie nie ma chociażby artystów związanych z założonym w 1890 r. Stowarzyszeniem Malarzy Południowo-rosyjskich, ważnym dla życia artystycznego w Odesie, także dla twórców ukraińskich. A miasto miało swe własne tradycje, m.in. działała tu Odeska Szkoła Artystyczna, której początki sięgają 1865 r. Jednak twórcy wystawy uznali za kluczowe poszukiwania, które podejmowały na własny sposób dialog z tym, co działo się w sztuce zachodniej.

Twórcy ekspozycji przypomnieli, że w latach 20. Odesa stała się centrum ukraińskiego przemysłu filmowego. Z Odeską Wytwórnią Filmową był związany wybitny reżyser teatralny Łeś Kurbas, ważni pisarze, jak Mykoła Bażan, wreszcie Ołeksandr Dowżenko, najwybitniejszy ukraiński twórca filmowy.

Stalinizm lat 30. zakończył czas wolności artystycznej w mieście. Zabroniono wyświetlania awangardowych produkcji, a sama wytwórnia zajęła się kręceniem filmów przygodowych i dla dzieci. Łeś Kurbas został rozstrzelany 3 listopada 1937 r. z innymi wybitnymi ukraińskimi twórcami i działaczami społecznymi. Ofiarą czystek padł też Cwi Emski-Mohylewski, malarz i ważna postać dla tutejszego życia artystycznego, dyrektor Odeskiego Muzeum Sztuki. W 1937 r.



JACEK TARAN X2

oskarżono go o szpiegostwo oraz agitację kontrrewolucyjną i zamordowano. Na wystawie jest jedno z jego ostatnich dzieł: pejzaż „Kachowka”. Pokazujący te same tereny, które zostały zalane wodą po wysadzeniu przez Rosjan zapory na Dnieprze w czerwcu 2023 r., co było jedną z najdramatyczniejszych chwil obecnej wojny.

Tragicznym wydarzeniem w dziejach Odesy był Holokaust – jego ofiarą padła znaczna część żydowskiej społeczności miasta, w tym także ci, którzy wcześniej wyjechali z ZSRS. W 1942 r. aresztowano we Francji Sandra Fasiniego, malarza i fotografa, i jego żonę. Oboje deportowano do Auschwitz. W tym samym obozie zamordowano Wołodymira Baranowa-Rossinę, którego twórczość, próbująca dokonać syntezy malarstwa i muzyki, w ostatnich latach jest na nowo odkrywana i uznawana za jedno z najciekawszych zjawisk w sztuce pierwszej połowy XX w.

Schody i okno

Pewną przestrzeń wolności przynosi dopiero odwilż czasów Chruszczowa. Wystawa pokazuje próby odejścia od socrealistycznych dogmatów w sztuce oficjalnej lat 60., jednak przede wszystkim znalazła się na niej sztuka nieoficjalna tego czasu, prekursorska dla kolejnych pokoleń, jak wystawa, zorganizowana w 1961 r. przez Wiktora Maryniuka w prywatnym mieszkaniu. Sześć lat później Stanisław Syczow i Wałentyn Chruszcz powiesili swe prace

na ogrodzeniu teatru-opery. Wisiały za ledwie trzy godziny, ale była to pierwsza niezależna ekspozycja w przestrzeni publicznej miasta, początki niezależnego ruchu artystycznego. W kolejnych dekadach przyniósł on m.in. tamtejszą formę konceptualizmu i *performance*, m.in. organizowane w latach 80. akcje polegające na zbiorowym wykonywaniu niby oczywistych czynności, ujawniające absurdy ówczesnej rzeczywistości.

Jednocześnie jest to ekspozycja o tym, jak mierzą się tamtejsi artyści z kluczowymi dziś wyzwaniem. Jednym z nich jest rosyjskie dziedzictwo i nadal dominujące wyobrażenia o Odesie.

Przez dziesięciolecia patrzono na nią przez prozę Izaaka Babla, który tu się urodził i w „Opowiadaniach odeskich” stworzył bardzo sugestywny obraz miasta, jego codziennego życia, obyczajów, lokalnego folkloru. Jednak przede wszystkim Odesa to dramatyczne sceny na schodach w „Pancerniku Potiomkin” Sergieja Eisensteina, jedne z najsłynniejszych ujęć w dziejach kina, nieustannie przywoływane, przytaczane, naśladowane. Nic dziwnego, że właśnie od tych schodów zaczyna się wystawa. Ołeksandr Rojtburd, jeden z kluczowych artystów dla sztuki w Ukrainie ostatnich 30 lat, sięgnął po ujęcia z „Pancernika”, manipulując nimi, zniekształcając, wprowadzając dystans, ironię, tym samym rozbijając patos oryginalnego dzieła Eisensteina.

Jednak przede wszystkim artyści i artystki mierzą się z wojną i jej następstwami. Ona, jak mówią niektórzy, w Odesie się zaczęła. 2 maja 2014 r. doszło do walk ulicznych między uzbrojonymi sympatykami Rosji a zwolennikami Majdanu. Po obu stronach zginęli ludzie. Ostatecznie promoskiewscy demonstranci zamknęli się w budynku związków zawodowych. Wybuchł tam pożar, w którym zginęły 42 osoby. Po latach Mykoła Karabinowycz wszedł do pustych, zaniedbanych pomieszczeń. Jego film to szukanie śladów dawnych wydarzeń.

Nigdy nie udało się wyjaśnić przyczyn pożaru. Został on natomiast wykorzystany przez rosyjską propagandę jako jedno z uzasadnień okupacji wschodniej Ukrainy. To wydarzenie pokazało głęboki podział między tymi, którzy wybierali proeuropejską Ukrainę, a tymi, którzy przyszłość widzieli w Moskwie. Od tego czasu zaczyna się zmieniać sama Odesa. Wzrasta zainteresowanie ukraińską kulturą. Zmienia się życie artystyczne. Miasto dokonuje ostatecznego wyboru, a po 24 lutego 2022 r. zaczyna się także odchodzenie od języka rosyjskiego.

Pozostaje pytanie o to, jak mówić o doświadczeniu samej wojny. Jak opowiadać o niej, nie konkurując z mediami, zwłaszcza społecznościowymi. I jak radzić sobie z nieuchronnym przesylem obrazami konfliktu, swoistym opatrzeniem się z przemocą, normalizacją wojny. Wystawę otwierają ujęcia odeskich schodów, które – jak okno – otwierają miasto na morze. Okna też ją zamykają. Darja Koltowa wykonała cztery znacznej wielkości witraże. W swej stylistyce przypominają te, które powstawały w ostatnich dekadach ZSRS – ich projektowanie było jedną z nielicznych przestrzeni pewnej wolności dla chcących tworzyć oficjalnie artystów. Poszczególne płyciny szkła podzielone są grubymi pasami – przypominają taśmy, którymi zaklejało okna w pierwszych miesiącach wojny. To przedstawienie pór dnia widziane właśnie z takiej perspektywy. Życia w katastrofie, które mimo okoliczności, nadal trwa.

© PIOTR KOSIEWSKI

ODESA. DŁUGI WIEK XX W SZTUCE,
Międzynarodowe Centrum Kultury,
Kraków, wystawa czynna do 1 września br.,
kuratorzy: Julija Berdijarowa,
Żanna Komar, Walerija Plechotko.

Rzeźbienie w pulpie

ANITA PIOTROWSKA

Bohaterki piją z tyłu zatrutych studni, że efektem musi być melanż seksu, przemocy i czarnego humoru. Co ma jednak działać detoksykacyjnie.

CHOCIAŻ W POPKULTURZE CZY MODZIE wypada dziś stylizować się na lata 90., to nostalgia za ejtisami jest ciągle na fali. Czego dowodem niecierpliwe oczekiwanie na finałowy sezon serialu „Stranger Things” albo goszcząca obecnie w polskich kinach „MaXXXine”. Ich twórcy, bracia Dufferowie czy Ti West, mają osobiste powody, by mitologizować czy fetyszyzować tamten neonowy okres – właśnie w ejtisach przeżywali swoje wczesne dzieciństwo.

Urodzona w 1990 r. Rose Glass raczej nie mogła się załapać na boom wideo i „Dynastię”, modę na aerobik z Jane Fondą i mocno wywatowane ramiona tudzież początki MTV. Czasy, o których często mówi się, że były (a już na pewno w amerykańskiej polityce, ekonomii i show biznesie) epoką „na sterydach”, wychowana w Anglii reżyserka poznawała zatem z ekranu. I to już prędzej z DVD niż kultowych dziś VHS-ów. Ów dodatkowy filtr sprawa, że „Love Lies Bleeding” nie wyrasta z nostalgii, raczej z jadącej po bandzie retrostylizacji. A zrazem z krytycznego wywracania ówczesnych popkulturowych i obyczajowych schematów. Czy, nawiązując do

tytułu, więcej w tym atrakcyjnego filmowego oszustwa i perwersyjnej miłości do kina sprzed prawie czterech dekad, czy może jednak historii miłosnej, która coś istotnego z nami robi? Wiele zależy od nastawienia do samej estetyki i otwartości na mniej konwencjonalną zabawę.

Dziewczyna, pistolet, a przede wszystkim masa mięśniowa, naoliwiona i jak strucla zasupłana – tak przedstawia się jeden z plakatów do filmu i taka właśnie ikonografia będzie nim rządzić. Nie przypadkiem akcja, osadzona w końcówce mitycznej dekady, rozpoczyna się na małym miasteczku siłowni w stanie Nowy Meksyk. Tam pracuje Lou (grana przez Kristen Stewart), tam poznaje młodą kulturystkę Jackie (Katy O'Brian), tam też wypracowuje się rzeźba lokalnych Schwarzeneggerów i Stallone'ów. Dobiegająca właśnie końca era Ronalda Reagana to przede wszystkim prężenie mięśni – w polityce międzynarodowej, gospodarce i również na ekranie. Ów kult siły, pomieszany z konserwatywnymi wartościami i systemową drapieżnością, tworzy w „Love Lies Bleeding” mieszanek wyjątkowo obrzydliwą. Uosabia ją grany przez Eda Harrisa długowłosy ojciec Lou, właściciel między innymi lokalnej strzelnicy, gdzie zatrudnia się świeżo przybyła do miasteczka Jackie. To dziewczyna z zupełnie innego porządku – wagabundka z trudnym dzieciństwem i niebiałym pochodzeniem, która marzy o sukcesie na kulturystycznych mistrzostwach w Las

Vegas. Natychmiast wpada w oko znużonej, noszącej w sobie mroczne sekrety Lou. W tle (choć właściwie to na pierwszym planie) trzeszczą pompowane mięśnie, połyskują igły z anabolikami, pulsuje elektroniczne brzmienie Clinta Mansella, migają kadry niczym z ówczesnych reklam. Przed nami ostry romans napędzany kobiecym – co wcale nie znaczy, że bardziej zrównoważonym – testosteronem.

Scenariusz, napisany przez Glass razem z pochodzącą z Polski Weroniką Tołuską (współreżyserką głośnego serialu „Reniferek”), opiera się w dużej mierze na ekscesie. Tak pokazana jest dzika namietność między Lou i Jackie oraz ich wściekłość, kiedy szwagier tej pierwszej i przygodny kochanek drugiej po raz kolejny skatuje swoją żonę. W tym momencie dramat erotyczny przeistacza się w makabryczne czy wręcz eksploatacyjne kino kobiecej zemsty i ucieczki. W przeciwieństwie do młodszych filmowo „Thelmy i Louise” to nie ich samochód wylądowuje zaraz w przepaści. Będą także inne fajerwerki, w tym gęsty klimat osaczenia rodem z kina neo noir, wizje niczym z body horroru czy ludzka miazga jak ze slashera klasy B. Oczywiście, wszystko z dużym przymrużeniem oka, bo przecież głównie o zabawę w tym chodzi. Podobnie jest z seksualnością. Będzie też zjadanie robaków, grzebanie palcem w otwarte ranie, słowem: iście lynchowska groteska.

Twórczyni „Saint Maud” traktuje to wszystko niczym dobrze znany i zgrany



RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

LOVE LIES BLEEDING

– reż. Rose Glass.

Prod. Wielka Bytania/

/USA 2024.

Dystryb. Gutek Film.

W kinach od 2 sierpnia.

Rose Glass, brytyjska reżyserka i scenarzystka, zadebiutowała przed trzydziestką wyśmienitym horrorem religijnym „Saint Maud” (2019), który przyniósł jej duże uznanie i zaowocował propozycją ze strony prestiżowego amerykańskiego studia A24. Tam właśnie powstał jej drugi film, „Love Lies Bleeding”, który miał swoją premierę na tegorocznym festiwalu Sundance.

Na zdjęciu: Kristen Stewart (z lewej) oraz Katy O'Brian w filmie „Love Lies Bleeding”, 2024 r.

sztafaż, aby opowiedzieć historię, jaka w tamtych czasach w głównym nurcie amerykańskiej kina z pewnością by powstać nie mogła. Czyli lesbijskie *love story* napakowane coraz bardziej stylizowaną i skomercjalizowaną wówczas przemocą. Daje przy tym popis realizacyjnej sprawności nie tylko imitacyjnej, bo wyrosłej raczej z kultury remiksu niż z sentymentalnych powrotów. I tak jak poprzedni film o nawiedzanej pielęgniarce paliatywnej, pomimo licznych inspiracji klasyką, okrzyknięto dziełem odnowicielskim dla współczesnego horroru, tak „Love Lies Bleeding” wydaje się wręcz bezwstydnym w swoim pasożytnictwie. Autentyczna jest za to jego dzika filmowa energia, podobnie jak erotyczna chemia między postaciami odtwarzanymi przez Stewart i O'Brian. Zwłaszcza ta ostatnia aktorka, zaprawiona w kulturystyce i sztukach walki, przyciąga uwagę – i nie tyle swą seksualną cielesnością, ile raczej jej subwersywnym potraktowaniem na ekranie.

Szarłat zwisły – polska nazwa tytułowej rośliny ogrodowej, brzmi zdecydowanie mniej sexy. I prędzej kojarzy się z krwistoczerwonym czy amarantowym kwiatostanem niż z pożywnym amarantusem (to ten sam gatunek), co dałoby się przełożyć też na thriller Glass. Na pierwszy rzut oka bardziej przegięty w formie niż wywrotowy w treści i dający sporo czysto kinowej frajdy, która ani na moment nie oklapnie. Jednakże bohaterki piją po drodze z tyłu zatrutych studni, że efektem musi być melanż seksu, przemocy i czarnego humoru bardziej charakterystyczny dla ekstatyczno-dekadentycznych lat 90. niż beztroskiego kina lat 80. Ów melanż ma działać detoksykacyjnie. Bowiem sprawdzona dynamika i rekwizytorium to jedno, i filtr, taki czy inny, zastosowany w innych rękach mógłby pozostać wyłącznie filtrem. W filmie Glass przebija przez niego współczesna z ducha wrażliwość, czyli wyrażona niekontrolowaną rebelią troska o to, by świat już nigdy nie wyglądał tak, jak w ejtisach, chętnie fałszowanych przez dzisiejszych nostalgików. Może więc ta opowieść o pokonywaniu bezradności, o sile mięśni i łańcuchowo uruchomionej destrukcji, tym razem w arcykobiecy wydaniu, powstała nie tylko dla zabawy. A nawet jeśli, to całkiem sporo udaje się z tej pulpy wyrzeźbić. ©

Lektor: Zakazane oblicza



■ Silvina Ocampo

FURIA I INNE OPOWIADANIA

Przełożył Tomasz Pindel.

Postawie Alberto Manguel.

Wydawnictwo Literackie,

Kraków 2024, ss. 254.

Seria „Inne konstelacje Olgi Tokarczuk”

URODZINY ADRIANY, O KTÓRYCH OPOWIADA NARRATOR opowiadania „Fotografie”, są uroczyste, a młoda jubilatka pięknie się prezentuje w rozłożystej spódnicy z białej organdy. Efekt psują tylko ortopedyczne buty. Jakby mimochodem dowiadujemy się, że Adriana jest sparaliżowana po wypadku i właśnie wyszła ze szpitala – stąd taka feta. Feta niemiłosiernie się przedłuża. Najpierw spóźnia się fotograf, potem kolejne pamiątkowe zdjęcia. Nie może zabraknąć fotografii z babcią, a dziewczynę trzeba do niej zanieść na fotelu. Siódma fotografia – z dziadkiem. Adriana próbuje coś powiedzieć, ale w ogólnym rozgwarze nikt nie zwraca na to uwagi, trzeba przecież rozlać cydr do kieliszków i pokroić tort. „Dopiero później, kiedy skosztowaliśmy tortu i wznieśliśmy toast za zdrowie Adriany, zdaliśmy sobie sprawę, że śpi. Głowa zwisała jej z szyi jak melon”. Śpi? Nie, umarła...

Przepraszam za spojlerowanie, ale chciałem ostrzec, co Państwa czeka w tych trzydziestu czterech bardzo krótkich, gęstych opowiadaniach. Czarny humor, groza pod powierzchnią zwyczajnego życia, straszne dzieci, a także „zakazane oblicza, których nie ukazują nam lustra” (określenie Itala Calvina). „Nie ma czułości bez okrucieństwa” – uważała Silvina Ocampo (1903-1993), argentyńska pisarka i malarka, mistrzyni miniatury.

Jej starsza siostra Victoria stworzyła pismo „Sur”, najważniejszy argentyński periodyk literacki. Związany był z nim Borges; on i mąż Silviny, prozaik Adolfo Bioy Casares, pisali wspólnie pod pseudonimem Bustos Domecq. Środowisko „Sur” odrzuciło Gombrowicza. Gdy Rita Gombrowicz po śmierci męża zbierała materiały do „Gombrowicza w Argentynie”, na pytanie, dlaczego „Sur” w 1947 r. zlekceważył argentyńskie wydanie „Ferdynurke”, Silvina odpowiedziała krótko: „Nie podobała nam się. Odkryliśmy tę książkę później”. I dodała: „Nie rozumiał nas i myśmy go nie rozumieli”.

W ostatnich latach życia, pisze w posłowniu Alberto Manguel, pisarka cierpiała na chorobę Alzheimera. „Błądziła po swoim wielkim mieszkaniu, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie ani kim jest”. Pewnego dnia przyjaciel – którego oczywiście nie rozpoznała – zastał ją przy lekturze książki; oznajmiła mu entuzjastycznie, że przeczytała mu coś genialnego, co właśnie odkryła. Było to jedno z opowiadań z „Furii”... Cóż, miała rację. ©P

OLGA

Drenda: Silni w grupie



W JĘZYKU LEPIORZYM, CZYLI STAROKRÓLICZYM (który odszyfrował i ujawnił nam, ludziom, autor książki „Wodnikowe Wzgórze” Richard Adams; choć niektórzy upierają się oczywiście, że po prostu go wymyślił), każda liczba większa od czterech nazywa się „hrer”.

Króliki bowiem, przynajmniej w książce Adamsa, potrafią liczyć jedynie do czterech. Hrer może znaczyć zatem równie dobrze tysiąc, co i pięć. Ale imię mitologicznego bohatera królików, El-Ahrera, Adams tłumaczył jako „Książę o tysiącu wrogów” – zdecydowanie bardziej imponuje bowiem, gdy wrogów mamy tysiąc, a nie marne pół tuzina.

Księciem o tysiącu wrogów chciał chyba zostać również pewien skądinąd inteligentny człowiek, który dodał mi w rozmowie jakichś niewidzialnych popleczników. Ni stąd, ni zowąd w jego ustach „ty” zmieniło się bowiem w „wy” i zamiast „bo ty uważasz”, zaczął zwracać się do mnie: „bo wy uważacie”. PRL już dawno się skończył, a wraz z nim formy w rodzaju „posłuchajcie, obywatelko”, „chodźcie tu, szeregowy”, dzisiaj kojarzące się głównie z partyjną czy wojskową, sztuczną lub lekceważącą mową. Nie sądzę również, by mój rozmówca zamierzał kulturować dawne zwroty grzecznościowe spotykane na wsi, jakby chciał mnie zagaić: „słyszeliście, kumo”. Nie było mi miło, bo uważałam mówienie per „wy” za niegrzeczność, więc spytałam półzartem, czy to „wy” jak w „wasza wysokość”, bo przecież nie byliśmy razem w partii – na co on próbował tłumaczyć się mgliście, że „no, ty i ludzie tacy jak ty, twoi znajomi”. Dałam już spokój, choć oczywiście mogłabym wypyttywać o nazwiska, bo też

nie wiem, którzy znajomi są tacy niby do mnie podobni i pod jakim względem. Mojemu rozmówcy po prostu wymiana zdań jedynie ze mną musiała wydać się zbyt mało poważna czy ekscytująca: o prawdziwych problemach najwidoczniej dyskutujemy jedynie wtedy, gdy wrogów mamy, niczym El-Ahrera, krocie.

Potem kilkakrotnie zdarzało mi się zasłyszeć czy zobaczyć na piśmie podobne sytuacje, kiedy pojedynczy człowiek niespodziewanie w czyichś oczach morfował w „was”. Powiedzieć komuś „pan się myli”, „głupio gadasz” albo nawet „Kowalski ma kielbie we łbie” to nieefektywny wydatek energii. Co innego, gdy wraz z Kowalskim powalam na łopatki niewidzialną armię „jemu podobnych”.

Z niewidzialnymi sojusznikami również bywa różnie. Śledząc media lokalne z różnych regionów, odnotowałam kilka przypadków zwielokrotnienia „mieszkańców osiedla”, którzy domagali się usunięcia drzewa irytującego ich opadaniem liści albo „brzydkiej” rzeźby plenerowej. Uważniejsze przyjrzenie się sprawie pozwalało ujawnić, że mieszkańców tych często bywa w najlepszym przypadku dwójka, a czasem – jeden samotny wojownik, który chce dodać sobie powagi drogą zwielokrotnienia. „Mieszkańcy” – to brzmi już kategorycznie, jak koniec dyskusji, jak woła ludu, która orzekła. Pewien lokalny polityk z południowej Polski miał też zwyczaj wyrażania opinii w stylu „ja i moi koledzy uważamy”, choć tych kolegów zapewne nie pytał wcale o zdanie. To było nawet zupełnie wzruszające i na swój sposób pocieszne – choć na stanowisku, to wyraźnie musiał czuć się zbyt niepewnie, żeby jego samodzielne zdanie miało się liczyć.

Niezależnie od motywacji, są to niezmiennie bitwy fałszywe i daremne zarazem, jak walka ze złudzeniem, z makiętą. Nie ma żadnej hordy wrogów. Wyrażając jakieś zdanie, każdy musi mówić za siebie i brać odpowiedzialność za swoje słowa, a co gorsza, spojrzeć drugiemu człowiekowi w oczy. Koniec końców, ja tutaj mówię za siebie, sama, choć za zgodą redakcji. To oczywiście może wydawać się nieco straszne, ta konieczność podpisywania się za każdym razem własnym nazwiskiem. „Człowiek jest zawsze sam na sam ze sobą”, pisał niegdyś William Golding – a świadomość tej samotności może wywoływać strach. Ale pomyślmy, jak ekscytujące musiały być pojedynki, jaki to etos wokół nich zbudował się w kulturze! A pojedynek – to przecież samodzielne ryzyko straty, ale i samodzielna odwaga i chwała.

A kto lubi przyrodnicze metafory i analogie, i stare dobre „Wodnikowe Wzgórze”, niech przypomni sobie zdjęcia z pojedynków zajęcy, bo starokróliczym w powieści miały posługiwać się również zajęcy; zwierzak ten to w kulturze symbol strachliwości, lecz w pojedynku stara się zawzięcie, co sił w łapkach. Być jak ten zajęć! To dopiero przygoda, po co wtedy tysiąc wrogów? ©

Mniej
niż hrer



Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo: Chwała zawłaszczeniom



PIĘĆ TYSIĘCY CHŁOPA DO WYKARMIENTA, pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby. Wszyscy pamiętamy, jak się udał ten niemożliwy catering nad Jeziorem Tyberiadzkim. Czytając szósty rozdział ewangelii Janowej, utożsamiam się z przerażonym Filipem. Mam zawsze

szczerzy szacunek do ludzi zdolnych ogarnąć masowe żywienie, choćby stołówkę w wiosce olimpijskiej. Ale wiem, że jeśli ma być sprawnie, szybko, bezpiecznie, to nie może być zarazem smacznie. Właśnie dlatego nie czułem szczególnej ciekawości, co się tam będzie w Paryżu działo.

Warto tylko odnotować decyzję zarazem polityczną, jak i ciekawą antropologicznie – wybór czterech wariantów kuchni: do wyboru jest opcja francuska, azjatycka, „światowa” oraz halal. Chrześcijaństwo wszelkiej denominacji na pewno się mieszczą w opcji światowej, zwłaszcza w piątek – dwie trzecie dań w wiosce jest obowiązkowo bezmięsne, z czego połowa jest wegańska. Poprawność klimatyczna sprawia, że żaden prowiant nie będzie wożony samolotem. I dlatego nie dało się zaspokoić oczekiwań drużyn karaibskich, które prosiły o świeżą marakuję. Obyło się jednak bez afery.

Aferę za to musieli zrobić akurat Brytyjczycy, gdy zabrakło im jajek na śniadanie i grillowanego kurczaka – przez pierwsze dni trzeba było te potrawy reglamentować. Ale to nie te chwilowe braki były powodem pilnego wprowadzenia z Londynu kucharzy dla prowadzenia osobnej kuchni. Jak donosiły z jadowitym sykiem londyńskie tabloidy, w stołówce podawano „surowe mięso”. Obok jedzenia zab to kolejna obrzydliwość, z jakiej można sklecić stereotyp. So-czyste nie znaczy surowe, ale weź to wyjaśnij narodowi, który pośród wielu kalectw kuchennych ma i takie, że uznaje steki wyłącznie wysmażone na podeszwę. Jeśli coś ciekawego jadają, to zasługa kuchni pościąganych z dawnych kolonii, czyli życiodajnego procesu mieszania tradycji. Nie wiedzieć czemu dziś potępia go nie tylko tożsamościowy beton, ale także lewica – jako jakoweś „zawłaszczanie”.

Choć więc gigastółka nie jest ekscytująca, to nie za bardzo chce mi się z niej wychodzić, bo inne draki nie są nawet śmieszne. Zanim Céline Dion zaśpiewała piosenkę Piaf, utwór Charles’a Aznavoura wykonała Aya Nakamura. O występ poprosił ją

sam prezydent, dobrze rozumiejący, że jak ktoś rozbija bank miliardem odtworzeń na Spotify, to warto się pochwalić. Dołożył jej jako akompaniament orkiestrę Gwardii Narodowej. Z rasi-stowskiego ścieku przytoczę jako najłagodniejsze słowa Marine Le Pen, że to „upokarzające”. Zgadliście, Aya Nakamura nie wygląda jak siostra Marianny z tabliczki na urzędzie, urodziła się bowiem w Mali. Na dodatek śpiewa w slangu, wtrącając sporo słów afrykańskich i angielskich, stróża czystości mówią wręcz, że to „obcy język”. Może na szczęście trochę obcy, bo, jak ktoś kądśliwie zauważył, tylko dzięki wtrętom i kontaminacji francuski okazuje się językiem do zatańczenia.

Biali Francuzi szybko się pocieszyli złotem zdobytym przez Francję w turnieju rugby. Szkoda, kibicowałem Fidzi, prawdziwemu bohaterowi mojego ulubionego sportu. Tak jak na co dzień kibicuję Juvenii Kraków, której stadion najpierw zacząłem odwiedzać regularnie z powodów smakowych, zanim na dobre zrozumiałem, jak piękna potrafi być owalna piłka (w odróżnieniu od okrągłej kopanej). Nie, nie przyciągnęły mnie tam *fish and chips*. Otóż na trybunach przy Błoniach ekipa z Węgierskich Specjałów gotuje w trakcie meczów wspaniale lecz. Doprawdy, chwała zawłaszczeniom i pastiszom.

Zielone risotto Isi



Ostatnio dużo, za dużo uwagi poświęcałem ponurakom okopanym w jedzeniowych tożsamościach. Aż tę szarą powłokę przebił promień młodzieńczej energii, którą podarowała mi trzy razy ode mnie młodsza koleżanka z baru i jej szalone, nieraz trafne pomysły kuchenne, którymi zaskakuje swoich bliskich. Życzę jej, by zachowała chęć beztrudnego kombinowania nawet wtedy, kiedy nauczy się, że własna knajpa albo karmienie rodziny to działalność wymagająca troski i kompromisów. Oto niezłe risotto wzięte od niej. Zapisalem sobie na stałe w najważniejszym zeszycie.

320 g ryżu arborio **peczeńk** szczawiu
pół pečenka pietruszki **garść** mięty
dwie todygi selera **1** cebula **■** białe wino
■ bulion warzywny **■** kozi twarożek **■** sok z cytryny

Wszystkie **liście** szybko blendujemy – Isia dodaje odrobinę **czosnku**, choć dla mnie on jest zbędny. Lekko zakwaszamy **sokiem z cytryny**, żeby się nie utleniały. **Dusimy** drobno pokrojoną **cebulę** na **oliwie**. Kiedy się zeszkli, dodajemy drobno pokrojonego **selera**, po chwili **ryż**, który prażymy krótko, zalewamy **winem**, dalej stopniowo **bulionem**. Po około 10 minutach dodajemy liściową masę. Dalej gotujemy w bulionie i kiedy będzie gotowe, wkręcamy **kozi twarożek**. Możemy jeszcze dokwasić delikatnie sokiem z cytryny i dodać dla zapachu nieco tartej skórki. ©



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest tłumaczem i redaktorem.

Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



ADAM JAK CEDR

„Ten wieczór będę nosił w sercu przez długie lata” – obiecał ks. Adam Boniecki. Urodziny naszego redaktora seniora świętowaliśmy w gronie przyjaciół, współpracowników, naszych mecenasów i sympatyków „TP”.

JACEK TARAN

OFICJALNE OBCHODY ZACZĘŁY SIĘ OD MSZY ŚWIĘTEJ, KTÓREJ głównym celebrazem był sam Jubilat. Kazanie wygłosił jezuita ksiądz Jacek Prusak. W swojej mowie przywołał słowa psalmisty z Psalmu 90: „Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt, lub, gdy jesteśmy mocni, osiemdziesiąt; a większość z nich to trud i marność (...) naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy osiągnęli mądrość serca”. Jaką zatem miarą liczyć lata, które wykraczają poza biblijną skalę – pytał kaznodzieja.

Podkreślał też, że sprawowana Eucharystia jest mszą dziękczynną za życie będące ciągłym daniem siebie. Przywołał tu słowa, które w autobiografii zawarł brytyjski pediatra i psychoanalityk Donald Winnicott: „Boże, czy będę mógł żyć, kiedy będę umierał”.

Jezuita interpretuje te słowa jako modlitwę o pełnię życia do samego końca, modlitwę o stan, w którym osiąga się prostotę i pełnię wiary. To również nasza prośba i modlitwa do Boga, mówił jezuita, by zostawił nam Adama tak długo, jak będzie chciał, bo jest nam potrzebny.

Ksiądz Prusak nawiązał też do nakładanych na księdza Adama zakazów mówiąc, że jego życie „było w stanie pomieścić różne zdarzenia, nawet takie, które nie powinny mieć miejsca, które były skandalem i do dziś nie zostały odwołane”.

Na zakończenie mszy, której oprawę muzyczną zapewnił organista prof. Krzysztof Latała, głos zabrał ksiądz Boniecki, dziękując przyjaciołom i rodzinie za uczestnictwo i wspólne świętowanie jego jubileuszu. Ze zgromadzonymi na mszy →

GRAŻYNA MAKARA



JACEK TARAN



JACEK TARAN



JACEK TARAN



JACEK TARAN

GRAŻYNA MAKARA



5



1. Koncert zespołu Ibrahim Trio:
Joachim Mencil (lira korbowa),
Szymon Madej (perkusja)
i Wassim Ibrahim (oud)
2. Ewelina Burda i Michał Kuźmiński
3. Maria Dąbrowska-Boniecka,
Ewa Dąbrowska-Coleman,
ks. Adam Boniecki,
Wojciech i Dorota Pawłowscy
oraz wiceprezydent
Krakowa Stanisław Kracik
4. Wiceminister Jacek Karnowski,
Janusz Jankowiak
i b. wójt Kadzidla (Kurpie)
Dariusz Łukaszewski
5. Ks. Adam Boniecki i Piotr Mucharski
na scenie z cedrem
6. Janina Ochojska, Dorota Segda
i Przemysław Wilczyński

Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej
Manggha. Kraków, 27 lipca 2024 r.

6

→ przyjaciółmi podzielił się refleksją o zmianie w postrzeganiu Boga i swojej wiary po przeżytym udarze. Mówił o świadomości śmierci, trudzie odnowy wiary i ufności pokładanej w Bogu. Zakończył słowami, które dały nam nadzieję – że udało mu się to wreszcie poukładać i ma zamiar jeszcze trochę pożyć.

Świętowanie urodzin księdza Adama miało swój ciąg dalszy w Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Prowadzący uroczystości, zastępcy redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”, Ewelina Burda i Michał Kuźmiński, przypomnieli wydarzenia, które miały miejsce dokładnie dziewięćdziesiąt lat temu. Pośród nich, obok urodzin Jubilata, znalazły się: pierwszy film o Kaczorze Donaldzie, debiutancki koncert Elli Fitzgerald oraz inauguracja budowy kopca Piłsudskiego w Krakowie.

Niezwykle uroczystym i podniosłym punktem tej części obchodów urodzin ks. Adama był koncert zespołu Ibrahim Trio (Joachim Mancel, Szymon Madej i Wassim Ibrahim), który zaprezentował muzykę Lewantu, łącząc w swo-

jej interpretacji tradycyjne brzmienie i stylistykę z muzyką elektroniczną i jazzem. Muzycy swoim artystycznym kunsztem i niepodrabialnym stylem przenieśli gości Jubilata w okolice Ziemi Świętej i czasy, w których powstały psalmy. Jak choćby ten, w którym wspomina się o sile i potędze cedrów Libanu.

Właśnie to drzewo, cedr, stało się głównym prezentem, jaki ksiądz Adam otrzymał od swoich przyjaciół i współpracowników. Cedr – symbolizujący w Biblii niezniszczalność, długowieczność i potęgę, piękno i majestat – jest też symbolem przeciwstawienia się temu, co słabe i śmiertelne, co przemija i nie zostawia śladów. Drzewo zostało posadzone w poniedziałek 29 lipca na krakowskich Plantach, w okolicy ulic św. Anny i Podwale.

Na zakończenie wspólnego świętowania głos jeszcze raz zabrał ksiądz Adam:

– Chciałbym podziękować wszystkim, którzy chcieli wziąć udział w tej uroczystości. Można było pójść nad Wisłę, albo spotkać się w salce, gdzie zwykle pijemy

herbatę, i też byłoby dobrze, ale uznano, że warto to uczcić tak wspaniałą uroczystością.

Adam, z właściwym sobie humorem, podkreślił też, że wspomnienie lipcowego wieczoru będzie nosił w sercu przez długie lata, za co otrzymał gromkie brawa. Wspólnie odśpiewano „sto lat”, a chórowi gości ze sceny dyrygował reaktor naczelny Piotr Mucharski.

Kiedy się myśli o życiu Adama i jego spuściźnie, kiedy słucha się słów poetów, cytowanych przez Jacka Prusaka w homilii podczas jubileuszowej mszy, przypominają się słowa noblisty, Czesława Miłosza, który w swoim „Traktacie moralnym” pisał: „Żyjesz tu, teraz. Hic et nunc. / Masz jedno życie, jeden punkt. / Co zdążysz zrobić, to zostanie, / choćby ktoś inne mógł mieć zdanie”. Adam swoim życiem, słowami, ale też humorem, zostawia w nas ślady nieusuwalne. Naznacza nas w sposób, którego zmienić nie dadzą rady nawet ci, którzy inne mają zdanie.

Drogi Adamie – bądź z nami jak najdłużej.

© JACEK TARAN

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

WSPÓŁWYDAWCA



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

ZA WSPARCIE ORGANIZACJI URODZIN KS. ADAMA BONIECKIEGO DZIĘKUJEMY:

MECENASOM

**ERGO
HESTIA**

WP
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

PARTNEROM:

Kraków

Warszawa

GDĄŃSK

Sopot

**UNIA
METROPOLII
POLSKICH**
DR PAWEŁ ADAMOWICZ

POLIN Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

**WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA**
z siedzibą w Rzeszowie

znak

WFM
wydawnictwomam.pl

Poleski
SERVUS

h
HARDE

3Q
manggha

**MODERN
CATERING**

FINE WINE

Walstead
CENTRAL SQUARE

Prestige 15^{lat}
MJJM

VRP
FUNDACJA

za'ks
sprzyjamy wyobraźni

**100-lecie
HERBEWO**
1894-2024

GEERS
DOBRY SŁUCH

**aparthotel
STARE MIASTO**
KRAKÓW

Podziękowania dla:

prof. KRZYSZTOFA LATAŁY | JACKA KARNOWSKIEGO | DANIELA SEIDLER, MARCINA STYPKI i MUZEUM SZTUKI i TECHNIKI JAPOŃSKIEJ MANGGHA
EWELINY BEREZY i DANIELA NIEDŹWIECKIEGO z MODERN CATERING | BOGDANA PIĘTOWSKIEGO, JANA NOWAKA i KRZYSZTOFA SUŁKA z FINE WINE



Czcigodny Księżu Redaktorze,

z okazji 90. urodzin pragniemy złożyć Księdzu najserdeczniejsze życzenia dalszych lat pełnych zdrowia, energii i satysfakcji z kontynuowania niezwyklej misji kształtowania sumień i umysłów kolejnych pokoleń Polaków. Niech każdy następny dzień przynosi radość z pracy, której efekty są tak cenne dla społeczności Krakowa i całej Polski.

Z wyrazami szacunku,
*pracownicy i kierownictwo drukarni
Walstead Central Europe*



Czcigodny Jubilacie,

proszę przyjąć moje gratulacje i najlepsze życzenia w dniu jubileuszu

90. urodzin.

Włączając się w dziękczynne Te Deum Księdza, składam piękny dorobek posługi Jubilata na ołtarzu w prymasowskiej katedrze, przy relikwiach św. Wojciecha w Gnieźnie.

Niech przeżywane 90-lecie urodzin stanie się nieustannym źródłem radości i wdzięczności Bogu za owoce życia

i pracy w służbie Ewangelii i człowiekowi, który jest drogą Kościoła.

Z życzeniami łączę dar serdecznej, braterskiej modlitwy,

WOJCIECH POLAK

ARCYBISKUP METROPLITA GNIEŹNIEŃSKI PRYMAS POLSKI





Ks. Adam Boniecki obchodzi w lipcu dziewięćdziesiąte urodziny

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Poprosiliśmy redaktora seniora naszego pisma, żeby przy tej okazji zrobił nam wszystkim prezent i odpowiedział na kilka pytań. Nie naszych – Twoich.

Czy ma dowody na istnienie Boga? Czy miewa sny, w których nie jest księdzem? Za co lubi wiersze Gałczyńskiego?

W poprzednich odcinkach pytania zadawali m.in.: Magda Umer, Mariusz Szczygieł, Wojciech Mann, Jerzy Müller, rabin Michael Schudrich, pani Matylda i pani Agnieszka.

Wszystkie odpowiedzi czytaj na: TygodnikPowszechny.pl/boniecki

Jeśli chcesz zadać pytania, napisz na: zapytajAdama@tygodnikpowszechny.pl

Redaktor senior odpowiada na Wasze pytania

ANDA ROTTENBERG, historyczka sztuki, krytyczka, kuratorka wystaw:

Adamie, nie korciła Cię apostazja, gdy Twój Kościół zamykał Ci usta?

KS. ADAM BONIECKI: Nie, nie korciła mnie apostazja i chyba nie korciłaby, gdyby Kościół zamknął mi usta.

Kościół nigdy nie zamknął mi ust, zawsze mogłem pisać w „Tygodniku”. Apostazja jest czymś generalnym, a zakaz wypowiedzania się w mediach – czymś bardzo partykularnym. Może gdybym był młodszy...

HUBERT PIECHOCKI, dziennikarz i korektor:

Chciałbym zapytać o obecność wyjątkowych zwierząt w życiu Księdza – czy jakieś były lub są?

KS. ADAM BONIECKI: Miałem kota. Właściwie to nie był mój kot – znaleźli go właściciele domu, w którym mieszkałem. Ale oni przychodzili raz w tygodniu, a kot był ze mną stale. Był mądry i dobry. Niezależny i przyjacielski. I bardzo wierny. Oczywiście wierny mnie, a nie właścicielom. Czekał zawsze przy furtce na mój powrót. Na kolana wskakiwał czasami. Niestety, zjadł jakąś truciznę i umierał przy moim łóżku. Nie było sposobu, by mu pomóc.

PANI ANNA: Dzieli nas sześćdziesiąt lat, a jednak czytając wypowiedzi Księdza, widzę, że ta różnica

wieku nie dzieli, a łączy. (...) Piszę z Poznania i z tego też miasta życzę Księdzu niekończącej się radości z życia, bo wierzę, że tak się da. Co jednak, gdy ta radość znika? Mojej 86-letniej babci tego uczucia zabrakło, jest po próbie samobójczej. Otacza ją opieka lekarzy, najbliższej rodziny, moja. Bierze leki i niedługo zaczyna terapię. Jest mi przyjaciółką, powierniczką, osobą wierzącą. Sama wierzę przede wszystkim w dobrych ludzi i taka też dla innych staram się być.

Jak pokazać babci, że żyć warto, niezależnie od wieku? Rozmawiamy codziennie, a czuję, że nie umiem jej pomóc.

KS. ADAM BONIECKI: Niezależnie od wszystkiego – Pani babcia potrzebuje miłości i tej miłości jest pewna. Starość jest pełna niespodziewanych zmian, z którymi człowiek nie zawsze może sobie poradzić. Ale Pani babcia na pewno Panią kocha, bez względu na to, jak się zachowuje. I czuje się przy Pani bezpieczna.

Każdy człowiek jest światem odrębnym, nie możemy na siłę próbować go przemienić.

Pani musi okazywać babci te same uczucia, tę samą miłość, jaką Pani okazuje, wiedząc, że nie da się zmusić kogoś, by wykresał z siebie inne uczucia. Choć one tam są, nawet jeśli w tej chwili nie dostrzegamy. Trzeba i to uszanować.

ADAM KRZYWIEL, farmaceuta:

Przez całe życie napotykałyśmy na chwilę zachwyty czy też „błysków” – jak to określiła w swoim tomiku

poezji Julia Hartwig. Może to wynikać z kontemplacji przyrody, ze zdumienia i zadziwienia nad słowem, muzyką albo obrazem. Czy Ksiądz mógłby podzielić się z czytelnikami takim wspomnieniem, które szczególnie zapadło w pamięć?

KS. ADAM BONIECKI: Są jeszcze inne powody do zachwyty – drugi człowiek. Nie mogę ich opisać, bo takich momentów zachwyty było i jest zbyt wiele w moim życiu. Zresztą – widzi się góry, poznaje człowieka – dlaczego coś, albo ktoś, nas zachwyca? Żeby to wyjaśnić, trzeba by napisać książkę (może książeczkę). Jest nieszczęściem człowieka, jeśli tłumaczy zachwyty, uważając je za coś złego albo za słabość.

MONIKA OCHEŁDOWSKA, dziennikarka i redaktorka:

Jakiej słuchasz muzyki?

KS. ADAM BONIECKI: Jestem na tyle nie-muzykalny, że nie powinienem wymieniać żadnej. Nie byłoby to jednak prawdą, bo słucham, z przyjemnością... I przy tym pozostajemy.

WOJCIECH PEŁOWSKI, dziennikarz:

Czy wierzy Ksiądz w potwory?

KS. ADAM BONIECKI: Oczywiście, że wierzę, ale nie mówmy o nich, żeby ich nie wywoływać, na naszą zgubę.

PAN BOGDAN: Jestem czytelnikiem

„TP” od lat 60., wtedy lekturę zaczynałem od felietonów Kisiele. Obecnie uczęszczam do szkoły biblijnej, ale nie uzyskałem odpowiedzi na pytanie:

Jaka jest relacja między Starym a Nowym Testamentem? Rozumiem, że pytanie jest obszerne, bo przecież nie jest to ani kontynuacja, ani uzupełnienie. Mamy też dwa różne obrazy Boga?

KS. ADAM BONIECKI: Nowy Testament jest jednak kontynuacją Starego. („Czytaliście w Starym Testamencie, a ja Wam powiadam...”). Nowy Testament też nie jest wyczerpujący. Istnieje przecież rzeczywistość Boga, której żaden Testament nie jest w stanie ująć. Ludzkości i ludziom przydają się stopnie wtajemniczenia, które zakończy wizja uszczęśliwiająca, czyli oglądanie Pana Boga twarzą w twarz.

Ale jak to wygląda, będę mógł powiedzieć dopiero po śmierci (oczywiście powiem).

RAFAŁ STEFANIAK, niespełniony pisarz, pracownik korporacji, stały czytelnik: **Księżu Adamie, w ubiegły weekend moja siostra brała ślub i stąd moje pytanie: co można powiedzieć ludziom, którzy zaczynają nowe życie, by mogli je wieść w jak najlepszy sposób?**

KS. ADAM BONIECKI: Trzeba im powiedzieć to, co dyktuje serce. Czasem mówi się piękne rzeczy, a życie potem jest życiem. Pobożnie powiem, że ważniejsze jest, by pomodlić się za nowożeńców, nie tylko na ślubie, ale od ślubu modlić się za



Ks. Adam Boniecki i Anna Goc w redakcji „TP”, Kraków, 28 czerwca 2024 r.

GRAŻYNA MAKARA

nich zawsze, choć krótką chwilę. To też nie jest remedium na wszelkie zasadzki czyhające na ludzi, ale zawsze coś.

PIOTR ADAM: Mam 65 lat i starość od pewnego czasu zaprzęta moje myśli. Kiedy Ty zacząłeś o niej myśleć? Jak się do niej przygotować?

Czy myślenie o starości to przygotowanie do myślenia o śmierci?

KS. ADAM BONIECKI: Myśleć o nadchodzącej starości na pewno trzeba, bo potem może być za późno. Nie tylko myśleć, ale pozbywać się niepotrzebnych rzeczy, nawyków itd., co nie jest takie łatwe. Przygotowywać się do śmierci teoretycznie należy przez całe życie. W praktyce człowiek rzeczywiście się do niej przygotowuje, kiedy ona zapuka do naszych drzwi.

W każdym razie warto pamiętać, że umrzemy.

ADRIAN MARKOWSKI: Wyobraźmy sobie, że jest Ksiądz świadkiem paruzji. Może Ksiądz zwrócić się do powtórnie przychodzącego Chrystusa, ale tylko w formie jednego zdania lub pytania. Jak zatem mogłoby brzmieć Księdza zdanie/pytanie Doń skierowane?

KS. ADAM BONIECKI: Jedno zdanie? Chyba trzeba się jakoś przywitać.

HALINA CACH: Jestem w pociągu, wybieram się z wizytą do rodziny, stąd pytanie o wehikuł czasu – gdyby był dostępny, z kim Ksiądz Redaktor chciałby się spotkać, może poznać tamte realia z bliska?

KS. ADAM BONIECKI: Z królową Jadwigą.

©® Opracowała ANNA GOC

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

NOWOŚĆ!

Wygodna subskrypcja odnawialna Tygodnika. **7 dni za darmo**, później o połowę taniej.

Nagradzane dziennikarstwo, wydanie cyfrowe z płatnością cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu

- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

LISTA PRZEBOJÓW

Dowiedziałem się, że świętowanie zwycięstwa odbędzie się w weekend.

Nie dałem po sobie nic poznać. Głupio byłoby zapytać, co w takim razie odbywa się w mieście od tygodnia? Przecież to Neapol.

BARTOSZ KIEŻUN

W OPOWIEŚCIACH O NEAPOLU GŁÓWNE ROLE ODGRYWAJĄ leniwi królowie, genialni artyści albo najlepsi na świecie pizzaioli. W tej zaczniemy od eleganckich baristów. W czasie, gdy przedstawiciele kawowej trzeciej fali prychają na widok gości chwytających za cukierniczkę, w Caffè Mexico przy piazza Dante w Neapolu specjaliści od parzenia kawy wysypują łyżeczkę cukru każdemu klientowi bez pytania.

Piazza Dante

Oczywiście da się tego uniknąć, ale nie da się ukryć, że mocno palone ziarna wybornie smakują z odrobiną cukru. Można też założyć, że skoro miejsce istnieje od 1960 r., to może bariści wiedzą, co robią. „Innowacja” to słowo nieznane w Neapolu i szybkiego dostosowania się do światowych trendów nie należy się tu spodziewać.

Samuele Passalacqua w 1948 r. kupił pierwszą maszynę do palenia kawy, a w 1960 r. założył kawiarnię. Architekci wnętrz błysnęli inwencją w lokalu przy piazza Dante 86. Były szalone lata 60., ludzie latali w kosmos, kobiety nosiły mini, a cała Italia podrygiwała w rytmie piosenki Edoarda Vianello „Guarda come dondolo”. Powstało wnętrze pełne stali nierdzewnej i pomarańczowego plastiku w nieco futurystycznym stylu. Włosi byli zachwyceni. I to nie tylko Włosi z Neapolu. Kiedy korespondent „La Stampy” Mario Soldati spróbował kawy w Caffè Mexico, napisał do redakcji w Turynie, że to najlepsza kawa w całej Italii.

Dziś, zupełnie jak przed wieloma laty, po wejściu należy zapłacić za kawę kasjerowi, który z paragonem podaje klientom kupon w określonym kolorze. Ten należy podać chłopakom parzącym kawę w ekspresach z dźwignią. Ci zaś zaparzą kawę zgodnie z zamówieniem złożonym u kasjera, uprzednio wysypując do filiżanki łyżeczkę cukru.



Po śmierci Samuele biznes przejęli jego synowie Biagio, Armando i Emilio, po nich pracować w rodzinnym biznesie zaczęło kolejne pokolenie, a potem jeszcze jedno i dziś Caffè Mexico prowadzi czwarta już generacja członków rodziny Passalacqua. Do 2014 r. wszystko odbywało się pod czujnym okiem Biagia, który zwykł chwalić się, że pije sześć kaw dziennie. A umarł w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat.

Neomelodica

Z głośników w Caffè Mexico sący się neomelodica, czyli neapolitańskie discopolo z camorra w tle. Jej matką jest *canzone napoletana*, pieśń neapolitańska, która w XIII wieku zawiadnęła sercami mieszkańców miasta pod Wezuwiuszem. Piosenki śpiewane przez neapolitańskie gospodynie, które wysławiały piękno świata i zestawiały je z trudami codzienności, stały się wszechobecne. Śpiewano je na ulicach, przy praniu, przy piecze-



Piazza Bellini w Neapolu, czerwiec 2018 r.

niu chleba. Canzone odżyła w XIX wieku, kiedy zorganizowano pierwszy poświęcony jej festiwal. Jednak prawdziwego wiatru w żagle nabrała, gdy zaczęto nagrywać pierwsze płyty, a emigranci z Neapolu zasilili Nowy Jork. Ameryka pokochała pieśni neapolitańskie zwłaszcza, gdy Elvis Presley zaśpiewał „It's Now or Never”, czyli „O sole mio” po angielsku.

Tyle o matce. Ojcem neomelodiki jest *sceneggiata napoletana*, czyli teatr muzyczny wywodzący się z Neapolu, który określano jako muzyczną operę mydlaną. Typowa *sceneggiata* składała się z monologów, dialogów, piosenek i tańców. Jej szalenie prościutka fabuła skupiała się na takich zagadnieniach: miłość, namiętność, zazdrość, honor, zdrada, cudzołóstwo oraz zemsta. Na scenie wystarczały trzy osoby: *isso* – czyli bohater, *essa* – czyli bohaterka i *malamente* – czyli złoczyńca.

Kryzys muzyczny pod Wezuwiuszem pojawił się w latach 80. Super sentymentalna i szalenie tradycyjna *canzone*

napoletana nie oddawała już ducha ulicy, opowiadała bowiem o świecie idealnym. Potrzebny był głos prawdziwego Neapolu, głos osiedli, włoski odpowiednik hip hopu. I wtedy pojawiła się neomelodica i zmieniły się tematy piosenek. Pojawiła się bieda, nastoletni seks, narkotyki oraz mafia.

Świat włoskiej rodziny okazał się światem rozbitym, w którym matki wychowują dzieci samodzielnie, bo ojcowie są w więzieniu albo na cmentarzu i to nie po to, by odwiedzić dziadka. Życie neapolitańskich przedmieść przestało być tajemnicą. W Neapolu znów wszyscy śpiewali, tym razem jednak nie o słończku, tylko o siostrze w ciąży.

W całych Włoszech ogromny opór wzbudziły teksty o mafii, o ukrywaniu się przed policją i opiewanie mafijnych morderców. Świat neomelodiki nie przejmował się tym wcale, a Tony Colombo, jedna z jego najjaśniejszych gwiazd, koncertował na całym świecie. I to pomimo policyjnych nalotów i konfiskat

→ majątku. Nikomu nie wadziło też i nie wadzi jego małżeństwo z Tiną Rispoli, wdową po Gaetanie Marino, szefie klanu Scissionisti z Secondigliano.

Pizza

Słowo „pizza” po raz pierwszy wybrzmiało w X wieku, gdzieś w połowie drogi między Rzymem a Neapolem. W Neapolu na przełomie XIV i XV wieku wszyscy wcinali kawałki ciasta obłożone ziołami, kawałkiem sera albo ryby, zwilżone oliwą albo smalcem. W takiej formie było to jedzenie wszystkich tych, którym się nie przelewało. Było szybko, było pożywnie, no i najważniejsze – było tanio.

W tym momencie pojawia się pachnący bazylią placek nazywany *mastunicola*, przez świat uznany za właściwego przodka pizzy. Nikt nie wie, skąd wzięła się nazwa, ale jest piękna legenda. Mistrz Mikołaj, po włosku Nicola, miał piekarnię przy rua Catalana. Pewnego dnia w 1490 r. rzucił na pizzę ostry owczy ser, smalec, bazylię i sporo czarnego pieprzu i stworzył przebój kulinarny, który zaczęto nazywać imieniem piekarza: *mastunicola*, bo w języku neapolitańskim „*mastu*” znaczy tyle, co mistrz.

Ferdynand I Burbon, obsadzony na neapolitańskim tronie przez Hiszpanów, po prawdzie niezbyt wykształcony osiłek, zamiast ziewać przy dyskusjach o poezji i sztuce, wołał jeść pizzę, którą pokochał miłością absolutną. Był gotów zrobić naprawę wiele, by jąść ją codziennie. Jego żona, Maria Karolina z Habsburgów, nie podzielała tej miłości. By zjeść pizzę, Ferdynand potajemnie przebierał się za chłopą i wymykał się z królewskiej rezydencji do ciasnych uliczek.

Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy po śmierci Ferdynanda I na czele królestwa stanął jego następca. Miał on rozmach znacznie większy od swego poprzednika i zamiast wymykać się do miasta, by rozkoszować się wyczynami pizzaioli, zaprosił do siebie piekarza Domenika Testę i jako pierwszy podał pizzę królewskim gościom. I tak przez wzgórze Capodimonte, gdzie stała inna rezydencja królewska, dziś będąca genialnym muzeum, pizza wkroczyła na salony.

W 1889 r., już po zjednoczeniu Italii, na tronie przysiedli na chwilę członkowie dynastii sabaudzkiej. Pochodzili z Piemontu, bardziej wówczas francuskiego niż włoskiego, więc kiedy pojawili się w Neapolu, musieli przeżyć spory szok. Wbrew legendzie to nie królowa Małgorzata wyszła do pizzerii. Oj nie. Wysłano tam kogoś, a że królewski wysłannik nie chciał chodzić daleko, zajął więc do lokalu Brandi, rzut beretem od królewskiej siedziby przy placu nieopodal. Trafił na Rafaella Esposito, który przygotował dla królowej Małgorzaty pizzę z pomidorowym sosem, mozzarellą i bazylią. Królowa się zachwyciła – jak piszą historycy. Możliwe, że chodziło o politykę. Możliwe, że królowa wiedziała, co dobre. Oczywiście możliwa jest też kombinacja obu tych czynników. Mozzarella zrobiona była z tłustego mleka bawolic, bazylia była aromatyczna, bo wygrzana w neapolitańskim słońcu. Ciasto z pszenicy durum delikatne jak królewskie jedwabie, a całości dopełniły dojrzałe pomidory.

Collezione Farnese

Mozna też śmiało założyć, że królowa Małgorzata zachwyciła się również wizytą w neapolitańskim muzeum. Historia Collezione Farnese zaczyna się pod koniec XV wieku. To wtedy Giulia Farnese, włoska szlachcianka spokrewniona z całym

mnóstwem papieży, wyszła za mąż za Orsina Orsiniego. Miała piętnaście lat, a jej uroda była już wówczas legendarna. Wybranek rodziny, bo przecież nie jej własnego młodego serca, miał lat szesnaście i podobnie jak żona nie miał zbyt wiele do powiedzenia w kwestii małżeństwa.

Giulia nie znalazła zbyt wiele szczęścia w ramionach małżonka. Za to spodobał się jej wuj Orsina, Rodrigo Borgia, kardynał. Romans trwał, a zgodę na niego wyraziła matka Orsina. Związek wszedł w największy rozkwit, gdy Rodrigo został wybrany papieżem. Giulia wykorzystwała kochanka, by zapewnić swojej rodzinie, a także rodzinie męża ogromne wpływy w Państwie Kościelnym. Nakłoniła papieża do mianowania kardynałem jej brata Aleksandra, którego nazywano publicznie szwagrem papieża. Giulii też nie szczędzono złośliwości, a określenie Oblubienica Chrystusa jest jednym z najdelikatniejszych.

Kluczowe w historii neapolitańskiego muzeum nie jest to, że Aleksander, młody kardynał, zasłynął z rozwiązłego trybu życia, ale to, że w 1534 roku został papieżem Pawłem III. Jeszcze ważniejsze wydaje się być to, że wspólnie ze swoim bratankiem Aleksandrem Farnese zaczęli zamawiać dzieła sztuki u najwybitniejszych artystów epoki i skupowali antyczne rzeźby, które odnajdowano na placach budowy w Rzymie. Kupowali całe zbiory gromadzone przez rzymskie rodziny. Papieżowi zdarzało się także konfiskować rzeczy, na których mu zależało. W ten sposób na przykład z pamiątkami po antyku pożegnała się rodzina Colonna. Całość kolekcji prezentowano w rodzinnym pałacu przy piazza Farnese w Rzymie. Jej największą chlubą był wspaniały Herkules odnaleziony w Termach Karakalli. Mówi się, że Farnese dostali go w darze od kardynała Federica Cesi.

Kolekcja zadrżała w posadach, gdy Elisabetta Farnese wyszła za mąż za Filipa V, pierwszego Burbona na hiszpańskim tronie. Syn Filipa Karol został królem Neapolu i Sycylii. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego cenne pamiątki po przodkach są przechowywane w jednym z rzymskich pałaców. Postanowił przenieść kolekcję do Neapolu. Pomysł spotkał się z silnym sprzeciwem papieża, dlatego udało się go zrealizować dopiero Ferdynandowi IV, synowi Karola w 1787 r.

Calcio

Kawa, sztuka i pizza tracą na znaczeniu, gdy w grę zaczyna wchodzić piłka nożna. Przekonałem się o tym w maju ubiegłego roku. Zaraz po zaparkowaniu samochodu pod wynajętym mieszkaniem usłyszałem, że zespół SCC Napoli zdobył właśnie *scudetto*. Uśmiechałem się, wydawało mi się dość wiarygodnie, ale chyba było widać, że nie mam pojęcia, o czym mowa. Nastąpiły więc wyjaśnienia, że z obliczeń wynika, że Neapol został mistrzem Włoch i że ma *scudetto*. Pierwsze zrozumiałem, drugie było chyba mniej istotne, przynajmniej dla mnie, dla moich rozmówców było jakby odwrotnie, bo odmieniali to słowo na wszystkie sposoby. W każdym razie dziś świętujemy – usłyszałem.

W pół godziny całe miasto ozdobiły białe i niebieskie pasy z grubej folii. Opleciono nimi dosłownie wszystko. Balustrady balkonów, ławki, słupki chroniące pieszych przed atakiem samochodów i kosze na śmieci. Sprawdziłem w internecie, co to jest *scudetto*. Wyszło mi, że tarcza z dobiącą strój wygranej drużyny. Taka afeta o kotylin? Wśród kakofonii dźwięków przywodzących na myśl wojnę pozwoliłem sobie wyrazić po cichu nadzieję, że kiedy tylko umilkną petardy,



PABLO CASTAGNOLA / ANZENBERGER / FORUM

Kibice SCC Napoli świętują zdobycie scudetto, maj 2023 r.

sprawę piłki będziemy mieli z głowy i będę mógł zająć się kuchnią Neapolu.

Następnego dnia okazało się, że nie do końca. Wszyscy wokoło nerwowo szeptali, że ogłoszenie wyników było sporym falstartem. Szeptali, bo najwyraźniej mieli zdarte gardła od wrzasków poprzedniego wieczora. Okazało się, że mecz z Salerno albo z Sanremo, który miał potwierdzić wygraną, drużyna z Neapolu zremisowała i w sumie nic nie jest jeszcze jasne. Choć jednocześnie wynikało, że niezależnie od wszystkiego i tak są mistrzami Włoch. Nie byłem w stanie pojąć o co chodzi, ale ucieszyłem się, że jest nieco ciszej niż poprzedniego dnia. W kawiarni z ustami zapchanymi sfogliatellą, chrupiącym ciastkiem nadziewanym kremem, kiwałem głową, że wiem o wszystkim i że uwielbiam piłkę nożną, i potwierdzałem, że „*Forza Napoli!*”.

Po południu w kolejce do pizzerii 50 Kalo miałem nadzieję na podsłuchiwanie rozmów, bo wiadomo, że najlepiej czekając na jedzenie rozmawia się właśnie o nim. Nadzieja była płonna. Wszyscy jak jeden mąż prowadzili matematyczne rozważania. Trzeba będzie wygrać w Udine w środę i będzie można świętować – mówili. Znowu? – pomyślałem i wpadłem w małą panikę. Po 45 minutach usiadłem i zamówiłem pizzę zwaną *marinara*, której powstanie, wbrew plotkom, nie ma nic wspólnego z marynarzami. Doceniłem niewielki, złoty brzeg, nienapomniany do rozmiarów piłki lekarskiej. Cieszyłem się sosem z pomidorów San Marzano oraz faktem, że pizzę po upieczeniu polano rozsądną porcją naprawdę dobrej oliwy.

Po kilku dniach pełnych dźwięków wybuchających petard i wrzasków w Antica Pizzeria & Trattoria al 22 usłyszałem, że dziś wszystko stanie się jasne. Zrozumiałem, że pizaioli nie rozmawiają o sędzie ostatecznym, tylko, o zgrozo, znowu o piłce nożnej. W metrze domyśliłem się, że mecz w Udine został wygrany. Pociąg przypominał statek szaleńców. Wszyscy trąbili i gwizdali, wydawali piekielnie głośne dźwięki piszczałkami zakupionymi chwilę wcześniej na jednym ze stojących wszędzie straganów i śpiewali hymn drużyny, który i ja znałem już prawie na pamięć. Pandemonium

wokoło pozwalało przypuszczać, że świętowanie weszło w fazę decydującą.

Następnego dnia przy śniadaniu, które tym razem składało się z wybornego *pasticcio*, kruchego ciastka nadziewanego kremem, i filiżanki cappuccino w Pasticceria Salvatore Cutolo, dowiedziałem się, że świętowanie zwycięstwa odbędzie się w weekend. Nie dałem po sobie nic poznać. Głupio byłoby zapytać w kawiarni, co w takim razie odbywa się w mieście od tygodnia?

To, co wydarzyło się w sobotę, wyglądało zupełnie tak samo jak przejażdżka pociągiem w środę, tylko że całe miasto wyglądało jak pociąg. Ulice były pełne. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, dzieci i dziadkowie wydzielali się, jakby ich ogniem piekielnym ktoś przypalał. Dymiły niebieskie świece dymne, co powodowało, że wszyscy milkli na chwilę, bo trudno się drzeć, kiedy się kaszle. Powiewały flagi, pisały klaksony, a ja uznałem, że jeśli chcę zjeść kolejną pizzę, to tym razem tylko w wersji *portafoglio*. To *margherita* lub *marinara*, nieco mniejsza od klasycznej, z cieńszym brzegiem, złożona na cztery części i sprzedawana na wynos. Usiąść i tak nigdzie nie miałem szans.

W majową noc przeżyłem drugiego sylwestra w tym samym tygodniu, wpatrując się w pokaz sztucznych ogni nad Zatoką. Niedzielę przeznaczyłem na czytanie o historii Neapolu, bo nie chciałem wpaść pod skuter prowadzony przez dwunastolatka z białą-niebieską flagą w dłoni i świecą dymną w ustach.

W poniedziałek na śniadanie wybrałem się z nadzieją, że temat piłki mamy już za sobą. Okazało się, że w sumie tak. Wszyscy wracają do pracy, a świat wraca do normalności – oznajmiła mi właścicielka kawiarni – ale w środę świętujemy, bo drużyna zjeżdża w końcu do Neapolu. Zapłakałem nad własnym losem. Miała być pizza, a jest piłka. Cóż – nie da się ukryć – poznałem prawdę o Neapolu. Są tam trzy religie: jest Bóg, jest piłka nożna i jest pizza. I tylko lepiej nie pytać, która z części tej trójcy jest najważniejsza, bo można się zdziwić.

© BARTOSZ KIEŻUN

Autor jest dziennikarzem i blogerem kulinarnym. Z wykształcenia antropolog kultury, z zamiłowania kucharz. Właśnie wydał kolejną książkę „*Neapol. Łakomym okiem*”.

TOMASZ

Stawiszyński: Czuli fundamentaliści



NIE TYLKO LETNIE ROZPRZĘŻENIE STAŁO, jak sądzę, za falą czy też raczej morzem wściekłości i nienawiści, które wylało się na Jerzego Bralczyka po jego wypowiedzi o „zdychających” zwierzętach i „umierających” ludziach. Wyraźnie zaznaczam – w me-

rytorycznym sporze wokół poruszonych przez niego kwestii stoję zdecydowanie po stronie Koheleta. Na pewno to znacie, ale na wszelki wypadek zacytuję. „Ponieważ rzeczywiście ten sam jest los człowieka, co los zwierzęcia: jedno umiera tak samo jak drugie i to samo tchnienie ożywia ludzi i zwierzęta. Człowiek więc nie przewyższa zwierzęcia, lecz wszystko jest marnością. Wszystko zmierza do tego samego miejsca: wszystko powstało z prochu i wszystko do prochu znów wraca” (Koh 3, 19-20). Powtórzę – zgadzam się z Koheletem, więc nie zgadzam się z Bralczykiem. Rozumiem jednak, że ktoś może myśleć inaczej niż ja. I uznaję, że ma do tego prawo. Składałam zaraz na początku taką deklarację, bo, jak wiadomo, nie jest to dzisiaj ani trochę oczywiste.

Wbrew rozmaitym opiniom, nie sądzę również, żeby sprawa dotyczyła wyłącznie zmienności języka. Rzecz sięga głębiej i dlatego wywołuje tak ekscesywne reakcje. Idzie tu nie o stylistykę, lecz raczej o zasadnicze kwestie światopoglądowe, mianowicie: wyjątkowość (lub nie) człowieka pośród żywych stworzeń. W szczególności, o jego domniemaną nieśmiertelną duszę, którą – jak głoszą wciąż jeszcze wpływowe w tej kulturze religie – wyłącznie on posiada i dlatego „tchnienie istot ludzkich wznosi się do góry, a tchnienie zwierząt schodzi na dół do ziemi”. To znowu Kohelet (3, 21), który oczywiście po-

wyższej tezy wcale nie uznaje, a zarazem znalazł się przecież w ortodoksyjnym kanonie. Niezależnie jednak od tego, jakie mamy w tej sprawie zapatrywania, problem dotyczy kwestii językowych tylko o tyle, o ile język odzwierciedla nasze filozofie i ogólne postawy wobec świata.

Nawiasem mówiąc, wiadomo, że odzwierciedla, choć moim zdaniem nie w takim zakresie, w jakim to współcześnie niektórzy ideowi oraz ideologiczni puryści postulują. Ale to już kwestia na osobne rozważania. Dzisiejsze pytanie brzmi: dla czego sędziwy i dotąd lubiany językoznawca stał się nagle obiektem najdzikszego hejtu? Płynącego zresztą – częściowo – od strony deklaracyjnych „galerników wrażliwości”, szafarzy tolerancji, zwolenników komunikacji bezprzemocowej.

Otóż mam wrażenie, że splotło się tutaj kilka spraw. Dokładniej rzecz biorąc – trzy. Po pierwsze, postępująca niezdolność do uznawania, że inni mają odmienne poglądy, i że wolno im je mieć. Że zatem nieprawdą jest, jakoby poza obszarem „naszych” słusznych przekonań rozpościerały się jakieś bez wyjątku trzęsawiska i bagniska, terytoria opanowane przez dzikich, na które człowiek rozumny ani myśli się zapuszczać. Po drugie – fatalne w skutkach i całkiem fałszywe przekonanie, że moralna słuszność usprawiedliwia przemoc, choćby tylko słowną. I że skoro niesłuszność należy tępić wszelkimi sposobami, to znaczy, że normy zachowania i mówienia obowiązują tylko słusznych wobec słusznych. Po trzecie natomiast – dominujące dziś lęk i niepewność, a do tego jakiś wyczuwalny brak, tęsknota, pragnienie (o tym, jakie – kiedy indziej).

To właśnie sprawia, że na coraz więcej spraw reagujemy coraz częściej iście fundamentalistyczną furią. Nierzadko – jak w sprawie Bralczyka – przystrojoną w kostium czułości oraz empatii.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK
POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzmy, że świat da się naprawić.**

08.08, 20:00
Funk de Nite & Andy Ninvalle

11.08, 20:00
Little Egoists

18.08, 20:00
Ibrahim Trio

20.08, 20:00
Krzysztof Ścierański Quartet

25.08, 20:00
Boba Jazz Band

27.08, 20:00
Grażyna Auguścik & Jarosław Bester

31.08, 20:00
Urszula Dudziak & Grzech Piotrowski

04.09, 20:00
Stary Bluesman w Zakopanem
– Tadeusz Pocieszynski Trio

08.09, 20:00
Kapela Jana Karpiela BułECKI
KONCERT FINAŁOWY



08.08 - 08.09.2024

ZAKOPANE

Dom U Wnuka *
ul. Kościeliska 8

Premierowe wydarzenie w nowej
Sali Artystycznej w zabytkowym
Domu Wnuka w Zakopanem*!

* historyczne (XIX i XX w.)
miejsce spotkań m.in.
H. Sienkiewicza,
H. Modrzejewskiej,
S. I. Witkiewicza,
czy K. P. Tetmajera.

• jazz • etno • folk • blues • fusion •

Kup bilet godzinę przed koncertem
lub na ticketmaster.pl



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu
Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”,
realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca



Projekt zrealizowano
przy wsparciu finansowym
Województwa Małopolskiego.

cracovia
music
agency

wyborcza.pl

24tp.pl

TYGODNIK
Podhalanski